

**FLIS: JAK ROZKUĆ
POLITYCZNY BETON**

**MARNE SZANSE
DZIECI ZE WSI**

**ZIEMIA,
PLANETA PELÉGO**

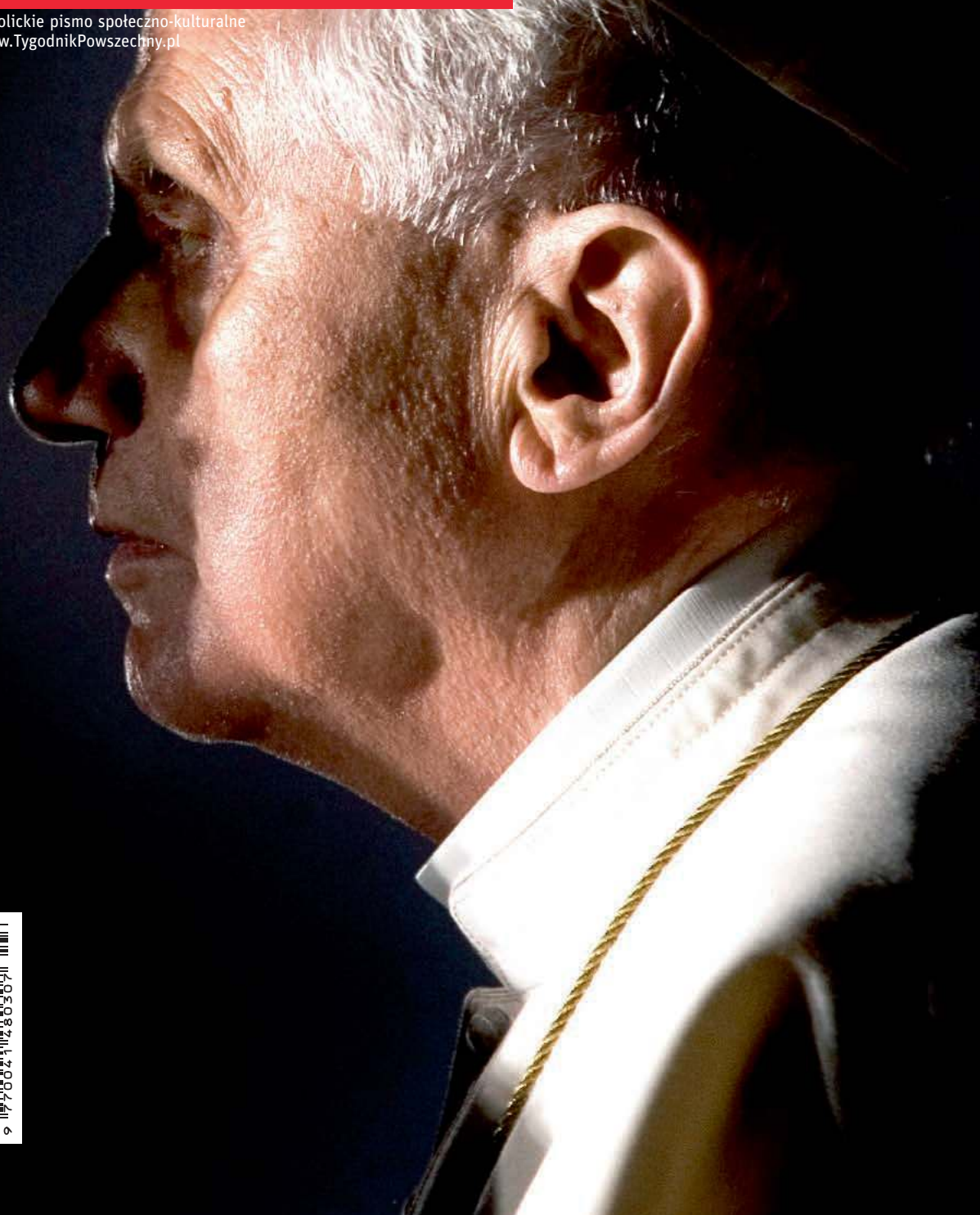
Kraków 15 stycznia 2023 nr 3 (3836)

cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

BENEDYKT XVI Ostatni taki papież



Zamów prenumeratę wydania drukowanego „TP”!

nie zużywa prądu!

pachnie!
...szeleści

* można
czytać
wspólnie

możę
kolekcjonować
i zabrać do lasu

możę po nim
kreślić!

przyciąga
wzrok

czytam →
bez dostępu
do internetu

nie zbiera ciasteczek

w ogóle ładnie wygląda!

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TP”

Prenumeratę wydania drukowanego można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela
Agnieszka Dyrz w godz. 11.00–15.00
od poniedziałku do piątku
pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej
informacji oraz wsparcia technicznego udziela
Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00
pod nr. tel. 668 475 263 lub adresem e-mail:
kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić
przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

Cennik ważny od 3 listopada 2022 r.

RODZAJ PRENUMERATY	OKRES	CENA	
		Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
13 wydań	3 m-ce	160 zł	200 zł
52 wydania	rok	550 zł	680 zł
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne	rok	640 zł	770 zł
4 Wydania Specjalne – kwartalniki	rok	90 zł	
52 wydania – w ofercie POKOLENIA*	rok	480 zł	
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne – w ofercie POKOLENIA	rok	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów oraz posiadaczy
Karty Dużej Rodziny

Zapraszamy na stronę: TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate



PARTNER MARKETINGOWY

SALES||manago
marketing automation



Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

KS. ADAM

Boniecki: Przemija postać świata

PAPIEŻ FRANCISZEK UBRANY W DZIWNY STRÓJ, przypominający bardziej kapę niż ornat, mówił nad grobem: „Benedyckie, wierny przyjacielu Oblubieńca, niech twoja radość będzie doskonała, gdy będziesz słyszał ostatecznie i na zawsze Jego głos!”. Franciszek nie wdawał się w wyliczanie zasług zmarłego. Wiedział, co robi. Mógł wejść w szczegóły, przedstawić zasługi, wymienić przynajmniej niektóre książki, dorobek z lat papiestwa i sprzed papiestwa, mógł mówić długo, ale nie chciał. Powiedział: „Benedyckie, wierny przyjacielu Oblubieńca”. Najważniejsze w bogatym życiu jest to, co liczy się także po śmierci. Pogrzeb papieża Benedykta miał być prosty i taki był, również w tym wymiarze.



Nie są do siebie podobni. Ani Benedykt nie był podobny do Jana Pawła II, ani Franciszek do Benedykta. Benedykt był bardziej pisarzem i myślicielem niż mówcą (choć, gdy było trzeba, stawał się nim). Ileż to razy na spotkaniach z dziennikarzami, wystawiony na niespodziewane pytania, nieraz stawiane z myślą, by go zaskoczyć i wcale nie głupie, Ratzinger z uśmiechem rozbrajał te bomby, rozkładając pytanie na czynniki pierwsze. W Polsce był kilka razy, jeden raz jako papież. Przemawiając do księży, powiedział, czego nie powinni robić. Lepiej nie mówić teraz, jak było z zastosowaniem się do tej wskazówki. Tej bomby nikt tu nie miał zamiaru rozbrajać.

Napisał mnóstwo książek. Nie piszę, że wszystkie warto przeczytać – chociaż warto (moja ulubiona to „Wprowadzenie w chrześcijaństwo”). Ale pamiętajcie, że stał na specyficznym stanowisku, stawiając na intelekt – nie przeciwstawiał go wierze. Uważał wręcz, że wiara nie zwalnia z wymogu poprawnego, ale wielostronnego, myślenia.

Rezygnacja z funkcji papieża – fakt właściwie niemający precedensu, bo rezygnacje z urzędu papieskiego w prze-

szłości miały całkiem odmienny charakter – sprawiła, że Benedykt XVI wszedł do historii w specjalny sposób i na innych prawach niż poprzedni papieże. Z mocy jego decyzji, na innych prawach przychodzą też kolejni. Dla przeciętnego katolika pozostawało zagadką, skąd decyzja o abdykacji, jakie rzeczywiście były jej przyczyny, bo podane wtedy przez Benedykta zdają się nie wystarczać. Dopiero później, po kolejnych książkach, stało się jasne. Benedykt widział potrzebę papieża z innym temperamentem, bardziej bojowym. Kogoś, kto miałby siły, żeby walczyć we własnym domu. Chciał kogoś takiego jak Franciszek. Nigdy nie zapomnimy papieża Franciszka kładącego w geście pożegnania ręce na trumnę Benedykta przed wejściem do bazyliki.

Ratzinger może być uważany za papieża i teoretyka epoki, która odchodzi. Choć może być też uznany za papieża, który wyprzedził swój czas. Na pewno decyzja o abdykacji, czyli jednak desakralizacja urzędu, była taką decyzją. Przecież Ojcowie Święci nie abdykują. Ale biskupi Rzymu, zwierzchnicy Kościoła katolickiego, prymasi Włoch? Czemu by nie? Kiedyś powiedział, że wracamy do idei Kościoła jako małej trzódki. Potem, już jako papież, starał się złagodzić to powiedzenie. Mówił, że było ono nazbyt pesymistyczne, że trzódka nie jest taka mała i przyszłość niekoniecznie oznacza ubytek wiernych. Czy pod koniec życia tak myślał?

Czy – jak sugerowali niektórzy uczestnicy pogrzebu – były papież Ratzinger zostanie rychło wyniesiony na ołtarze? Nie wiem i przyznam, że nie jest to dla mnie ważne. Ważny jest ten dziwny papież z innej epoki, który był prorokiem, a nawet jeśli nie, to z pewnością człowiekiem przewidującym, widzącym więcej niż inni, wprowadzającym nas w przyszłość oświecaną – mimo wszystko – wiarą.

© P

TYGODNIK
POWSZECHNY

O co walczył Benedykt XVI?

Serwis specjalny poświęcony zmarłemu papieżowi oraz nasz redakcyjny godzinny podcast „Nieświęty papież” podsumowujący jego pontyfikat – czytaj i słuchaj na [TygodnikPowszechny.pl/benedykt-xvi](https://tygodnikpowszechny.pl/benedykt-xvi)



24 Stare historie z nowym żarem

JAROSŁAW FLIS
Ramy naszego życia politycznego są jak budynki na terenach sejsmicznych. Nawet jeśli się chwieją, są w stanie przetrwać solidne trzęsienie ziemi. A jednak ten rok może się okazać zaskakujący.



36 Otwarta przestrzeń życia

PIOTR SIKORA
A gdyby nie było żadnych moralnych powinności: reguł, zakazów ani nakazów? Jak by wtedy wyglądało dobre życie?



44 Szczęśliwego roku

MARCIN ŻYŁA ZE STATKU LEKARZY BEZ GRANIC NA MORZU ŚRÓDZIEMNYM

Dwa dni po wypadku, dogładając ocalonych, Nejma powiedziała: „Widzieliśmy cud, a tuż wcześniej jego dokładną odwrotność. Na to nie ma słów, nie ma nawet myśli właściwych”.



58 Prapradziadkowie

ROZMOWA Z GRZEGORZEM NIEDŹWIEDZKIM, PALEONTOLOGIEM:
Dinozaury z województwa mazowieckiego, brzmi egzotycznie, prawda? Młdałem z gorąca, w wyrobisku było ze 40 stopni. Pół godziny później znaleźliśmy pierwsze bloki piaskowca z tropami dinozaurów. Wryło mnie w ziemię.



64 Inna komunia

ROZMOWA Z BEATĄ STANKIEWICZ, MALARKĄ:

Pochodzę z galicyjskiego tygla, gdzie mieszkają się narodowości, języki i wyznania. Inność jest dla mnie czymś naturalnym. Fascynującym, pociągającym. Nie budzi we mnie lęku.



78 Ziemia, planeta Pelégo

MICHAŁ OKOŃSKI

Sen o jedności rodzaju ludzkiego i piekło nierówności. Niewinność gry i komercyjna machina. Lądowanie na Księżycu i mundial w Meksyku. Cały świat w życiu jednego piłkarza.

6 Do stu tysięcy nauczycieli!
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

7-11 Obraz tygodnia

22-23 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

■ ■ **KRAJ**

24 Stare historie z nowym żarem
JAROSŁAW FLIS

28 Nie państwa sprawa
STEFAN SĘKOWSKI:
Panoszenie się polityków w publicznych spółkach sprawia, że coraz częściej do głowy przychodzi myśl: a może by to wszystko sprywatyzować na cztery wiatry?

31 Terminatory
MAŁGORZATA NOCŃ:
Wyrównywanie szans młodzieży z miasta i wsi to wciąż fikcja

■ ■ **WIARA**

36 Otwarta przestrzeń życia
PIOTR SIKORA

40 Ikony wojny
MAREK MELNYK:
Rosjanie, mimo że zabijają, kradną i gwałcą, na wszelki wypadek nie zapominają o wzywaniu na pomoc Boga

■ ■ **ŚWIAT**

44 Szczęśliwego roku
MARCIN ŻYŁA

48 Nowe szaty Bibiego
KAROLINA PRZEWROCKA-
-ADERET Z TEL AWIWU:
W izraelskim rządzie takiej mieszkanki jeszcze nie było

TEMAT TYGODNIKA



GUGLIELMO MANGIAPANE / REUTERS / FORUM

12 Jak Benedykt zmienił Kościół
PIOTR SIKORA

Jego pontyfikat był jednym z bardziej znaczących w historii.

16 Ostatni taki papież
EDWARD AUGUSTYN

Myślał, że może być jednocześnie subtelnym teologiem i obdarzonym wielką władzą urzędnikiem Kościoła. To przekonanie stało się przyczyną wielu nieporozumień, także wtedy, gdy został papieżem i przyjął imię Benedykt XVI.

■ **DODATEK** ■

62 Komu (nie) ufać w sprawie klimatu?

■ **FELIETONY** ■

35 TOMASZ STAWISZYŃSKI
43 WOJCIECH BONOWICZ **53** JACEK PODSIADŁO
76 OLGA DRENDĄ **77** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ **82** BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: PAPIEŻ BENEDYKT XVI, KWIECIEŃ 2007 R.
FOTOGRAFIA:
ALESSANDRA BENEDETTI / CORBIS / GETTY IMAGES

Redaktorka prowadząca: EWELINA BURDA

50 Jak pokonać smoka
MARTA ZDZIEBORSKA
Z CHICAGO:
Trwa pogoń za wydobyciem metali ziem rzadkich

■ ■ **HISTORIA**

54 Dwadzieścia jardów
PATRYCJA BUKALSKA ZE
SZKOCJI: *Jak katastrofa statku „Iolaire” zmieniła mieszkańców wyspy Lewis*

■ ■ **NAUKA**

58 Prapradziadkowie
ROZMOWA Z GRZEGORZEM
NIEDZWIĘDZKIM

■ ■ **KULTURA**

64 Inna komunika
ROZMOWA Z BEATĄ
STANKIEWICZ

68 Coś na ścianę
DIANA SAŁACKA:
Czy w rankingach najdroższych dzieł znajdziemy odpowiedź na naszą tęsknotę, dumę i dylematy tożsamości?

71 Niewygodne drzewa i monastyr
JAKUB MEJER Z GRUZJI:
Kiedy sztuka miesza się z polityką. Czystki wśród konserwatorów, muzealników i urzędników kultury z rzadka wywołują tu protesty

74 Rejs w chmurach
ANITA PIOTROWSKA
o filmie „W trójkacie” Rubena Östlunda

75 Świat odbity w języku
LEKTOR o książce Elizy
Kackiej „Strefa zgnięty”

■ ■ **ZMYŚŁ**

78 Ziemia, planeta Pelégo
MICHAŁ OKOŃSKI

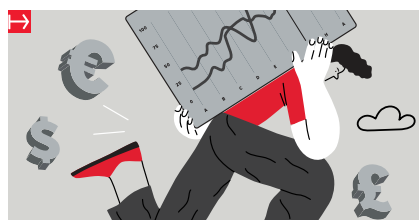
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➡ **Co zobaczyć na VOD**

Jak wiele da się wydobyć z kilku minut amatorskiego nagrania sprzed ponad osiemdziesięciu lat? Najlepsze filmy na VOD poleca
ANITA PIOTROWSKA | TygodnikPowszechny.pl/co-obejrzec-w-weekend

➡ **Nowy Rok w Rosji**

Putin zamierza nadal walczyć, rzucając na front nowe rakiety, drony oraz kolejne partie mięsa armatniego – pisze
ANNA ŁABUSZEWSKA | TygodnikPowszechny.pl/rosyjskaruletka



Serwisy specjalne: patrz szerzej

GOSPODARKA TRZESZCZY

Wojna, waluty i inflacja: co nas czeka?

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/GOSPODARKA



f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y /TYGODNIKPOWSZECHNY



DO STU TYSIĘCY NAUCZYCIELI!

To nie demografia, którą straszy minister Czarnek, dobije polskich pedagogów. Uczynią to ekonomiczna nęda, pikujący prestiż zawodu i jego bezprecedensowe w skali III RP upolitycznienie.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

ZTĄ NOWINĄ STERNIK OŚWIATY POSPIESZYŁ tuż przed Nowym Rokiem. W wywiadzie dla Radia Zet powiedział, że w związku z niżem demograficznym, który odbije się głównie na szkołach ponadpodstawowych, czeka nas w ciągu dwóch-trzech lat zwolnienie 100 tys. nauczycieli. I choć ta wypowiedź nie ma mocy sprawczej – pomimo energicznych starań centralizacja oświaty nie doszła jeszcze do poziomu, na którym minister ustalałby popyt na nauczycieli – to nie sposób jej zignorować.

Co do samej istoty trudno się spierać: o tym, że demografia prędzej czy później przeora korytarze i klasy, a co za tym idzie – pokoje nauczycielskie, wiadomo od dawna. Już zresztą w pewnym sensie to robi: starzenie się społeczeństwa wraz z małą popularnością zawodu nauczyciela sprawiają, że polski pedagog ma dziś średnio 47 lat, podczas gdy jeszcze nieco ponad dekadę temu miał zaledwie czterdziestkę.

W tej chwili do szkół chodzą dzieci i nastolatki, które przyszły na świat w latach 2003-2015, kiedy to średnia roczna urodzeń przekraczała

*Rozpoczęcie
roku szkolnego
w Szkole
Podstawowej
nr 16
w Lublinie.
1 września
2021 r.*

380 tys. I rzeczywiście, w przyszłości będzie pod tym względem gorzej, choć radykalna zmiana, wbrew słowom Czarnka, nie dokona się w ciągu najbliższych lat; roczniki bezpośrednio po 2015 r. nie były wcale mniej liczne. Licea, które według ministra miałyby wkrótce zacząć pustoszyć, właśnie zmagają się ze szturmem podwójnych roczników (ma to związek z faktem, że niecałą dekadę temu do szkół szły przemieszane roczniki sześciu- i siedmioletków); miejskie placówki raczej szukają nauczycieli, niż ich zwalniali. Za mniej niż dekadę zaczęła się jednak wyludniać. Już teraz rodzi się niewiele ponad 300 tys. dzieci rocznie, a wedle prognoz w ciągu kilku lat spadniemy poniżej 300-tysięcznego progu. Czy będzie to oznaczać uszczuplenie armii nauczycieli o 100 tys., jak wieszczy minister, czy o kilkadziesiąt, jak przekonują niektórzy eksperci, tego nie da się dziś rozstrzygnąć.

Najważniejsze pytanie nie dotyczy jednak tego, ile osób demografia zmusi do odejścia, tylko ilu kolejnym odejście ochota, by zmuszać samych siebie do stania przy tablicy. Już dziś przecież miejscami – zwłaszcza w placówkach wielkomiejskich – mnożą się wakaty (między miejscowymi brakami kadrowymi a perspektywą zwolnień np. na wsiami nie zachodzi sprzeczność) i nie brak opinii, że odchodzą ci najbardziej ambitni. W zeszłym roku badania przeprowadzone na ponad 800 stołecznych pedagogach przez UW i władze Warszawy pokazały, że niemal połowa myśli o zmianie pracy. Bo też po co dziś młodemu, obrotnemu matematykowi albo angiści znoj za 3-4 tysiące zł na rękę w pakiecie z ministrem opowiadającym mediom o „bezprecedensowych” podwyżkach?

To nie demografia dobieje w nadchodzącej dekadzie polskie środowisko nauczycielskie, a co za tym idzie szkołę – uczynią to prędzej spadająca z każdym rokiem siła nabywczą pensji, pikujący prestiż zawodu, a także jego bezprecedensowe w skali III RP upolitycznienie. Stopniowe zmniejszanie liczebności środowiska nauczycielskiego – docelowo niech będzie nawet o więcej niż 100 tys. – przy równoczesnych radykalnych podwyżkach i przywróceniu odpowiedniej rangi tej profesji stanowiłoby realną reformę polskiej edukacji. Tylko że na to minister – zajęty głównie robotą ideologicznego śledczego tropiącego „lewackie” organizacje pozarządowe – nie ma żadnego pomysłu. ©P

Jak Orlen zadbał o nasz dobrostan

MAREK KĘSKRAWIEC



MAMY KOLEJNĄ WOJNĘ, W KTÓREJ poglądy polityczne zastępują chłodne analizy. Z pozoru absurdalna, bo wywołaną nie podwyżkami cen, ale faktem, iż nie nadeszły. Chodzi oczywiście o marże polskich rafinerii. Pod koniec roku osiągnęły one rekordowe poziomy, co przekładało się na wysokie ceny paliw na stacjach, pomimo korzystnej koniunktury na światowych rynkach. Jak dziś wiadomo, decydujący o polityce cenowej Orlen utrzymywał duże marże tylko po to, by nagle, dzień przed końcem roku drastycznie obniżyć ceny hurtowe. I nie dopuścić tym samym do szoku milionów Polaków, którzy w styczniu obudziliby się z horrendalnymi cenami paliw – z powodu powrotu standardowej stawki VAT i wzrostu akcyzy.

Decyzje zapadły zapewne najwyższym szczeblu, biorąc pod uwagę, że Orlen to klejnot w koronie, a właściwie oczko w głowie zarówno premiera Mateusza Morawieckiego, jak i prezesa Jarosława Kaczyńskiego. Uznali oni najwyraźniej, że państwo zabawi się nie tylko w gospodarza, ale również w psychoterapeutę. Ten zaś doszedł do wniosku, iż zamiast obniżać ceny w grudniu i gwałtownie podwyższyć je w styczniu o ponad złotówkę na litrze (takie zapowiedzi mogłyby doprowadzić

do paniki na stacjach w okolicy świąt), zastosuje mechanizm łagodnej linii poziomej w miejsce sinusoidy.

Jest w tym logika, choć nie jestem pewien, czy władza powinna bawić się w naszego terapeuta, tym bardziej że zazwyczaj najlepiej wychodzi jej manipulacja „pacjentem”; wystarczy włączyć „Wiadomości” TVP. Albo czy powinna przypominać korporację, w której najważniejszy jest grudeń, bo wtedy „robi się wyniki”, a w styczniu „się zobaczy”. Państwo nie jest koncertem, z nastawionym niemal wyłącznie na zysk zarządem, tylko wielkim organizmem, w którym dojrzała władza powinna zwracać uwagę na ważne niuanse, mogące zaburzyć spokój społeczny. A on właśnie został naruszony.

Fakt: szok cenowy w styczniu, kiedy wielu z nas stara się spoglądać z nadzieją w przyszłość, to nic dobrego. Tyle że cwana polityka Orlenu została rozszyfrowana już w pierwszym dniu, a narracja o ochronie Polaków przed szokiem ustąpiła odczuciu, iż państwowy koncert cały grudeń robił nas w balona i gromadził zyski (ceny przed opodatkowaniem stały się w Polsce jednymi z najwyższych w Europie), by na początku ważnego wyborczego roku uniknąć szumu. Nawet jeśli uznamy, że chcieli dobrze jak nigdy, to wyszło jak zawsze. ©P

Wsiąść do pociągu coraz droższego

PKP INTERCITY BIJE REKORDY. Spółka najpierw ogłosiła, że w 2022 r. przewiozła 59 mln pasażerów (o 10 mln więcej niż w najlepszym dotychczas 2019 r.), ale już dwa dni później poinformowała o kolejnej podwyżce cen biletów. Najmocniej odczuwają ją pasażerowie pociągów ekspresowych i EIP (pendolino) – za przejazd zapłacą ponad 17 proc. więcej. Od 11 stycznia za podróż do Warszawy z Gdańska, Krakowa czy Katowic zapłacimy 199 zł. Wzrosną opłaty za przewóz roweru i psa.

Kolej tłumaczy podwyżkę rekordowymi cenami energii oraz inflacją, ale prawda jest bardziej złożona. PKP Intercity ma faktyczny monopol na przewozy dalekobieżne w Polsce, co nie sprzyja obniża-

niu cen. Zupełnie inaczej jest np. w Czechach, gdzie za przejazd z Ostrawy do Pragi (356 km) najwyższa cena biletu (bez promocji) to ok. 110 zł. Drugim aspektem jest polityka państwa, dzięki której mamy jedne z wyższych opłat za korzystanie z torów w Europie, ale jednocześnie utrzymujemy ogromną sieć bezpłatnych autostrad (zwanych u nas drogami ekspresowymi). Na prawie rok zniesiono VAT na paliwa, ale dalekobieżnych pociągów nie objęły żadne ulgi w ramach tarczy antyinflacyjnej. Szkoda, że państwo, w którym ludzie ewidentnie chcą jeździć pociągami (najmniej emisyjnym środkiem transportu), jest tak mocno skoncentrowane na samochodach. Dla porównania: w Niemczech właśnie wprowadzono miesięczny bilet na transport publiczny w całym kraju za 49 euro. To niewiele więcej niż jeden przejazd Warszawa–Kraków.

©P KRZYSZTOF STORY

Szczyt zachorowań na gripę wciąż przed nami

LICZB, podobnie jak w przypadku covidu, nie ma sensu podawać – skala testowania, a za nią oficjalne dane o zakażeniach nie oddają aktywności wirusa grypy w trwającym sezonie infekcyjnym. Co wiadomo na pewno: szpitale niemal się już zapęłniły, a w wielu oddziałach trzeba robić dostawki. Część placówek ogranicza też możliwość odwiedzin. Eksperti zwracają uwagę, że wirusy RSV i grypy zaatakowały w tym roku gwałtowniej i wcześniej. Tak jakby chciały zapęłnić lukę po mniej obecnie zjadliwym SARS-CoV-2. Szczyt fali jest zapewne przed nami.

Grypę od infekcji paragrypowych odróżnia wysoka gorączka (39-40 st.) oraz szereg groźnych powikłań, które może spowodować – od zapalenia płuc począwszy, przez zapalenie mięśnia sercowego, po powikłania neurologiczne. Znacznie bardziej są nimi zagrożone osoby starsze i pacjenci po przeszczepach, chorujący na astmę, POChP czy choroby układu krążenia.

Można się przed zagrożeniem niesionym przez gripę zabezpieczyć metodami, które znamy z walki z covidem: noszeniem masek w przestrzeni publicznej, unikaniem tłumów i – szczepieniami. Te ostatnie nie cieszą się popularnością: rocznie przyjmuje je tylko kilka procent Polaków. Państwo zachęca do nich nieśmiało, a ułatwienia w dostępie wprowadza zbyt późno.

© MACIEJ MÜLLER

Na drogach jest mniej źle

PO RAZ PIERWSZY roczna liczba śmiertelnych ofiar wypadków drogowych spadła poniżej 2 tys. osób – wynika ze wstępnych danych Biura Ruchu Drogowego KGP. W 2022 r. miały miejsce 21 324 wypadki, o 1492 mniej niż w 2021 r. Zginęły 1883 osoby. Za przekroczenie prędkości powyżej 50 km/h w obszarze zabudowanym prawo jazdy straciło ok. 29 tys. osób, o połowę mniej niż w 2021 r. Złapano też mniej pijanych kierowców: 98 tys. w 2022 r., przy 102 tys. w 2021 r.

W ocenie policji podziało zaostrzenie kar, ale też kierowcy nabyli ratujących życie odruchów, np. zwalniania przed przejściami. Jak w wypowiedzi dla PAP podkreśliła jednak Maria Dąbrowska-Loranc z Centrum Bezpieczeństwa Ruchu Drogowego ITS, żeby ten trend utrzymać, potrzebne jest poczucie nieuchronności kary. Tymczasem w całej Polsce jest 587 fotoradarów, w Czechach 636, we Francji 3625.

Jak dodała Dąbrowska-Loranc, liczba zabitych w wypadkach na milion mieszkańców pozostaje w Polsce wysoka: w rekordowo dobrym roku 2022 to ok. 50 osób, średnia w Europie za 2021 r. wynosiła 45.

© MK / PAP / RP.PL

KRAJ W SKRÓCIE

NOWY ROK, STARY PREZES

„Polska opozycja dziś to realizacja popularnego przysłowia: na złość mamie odmrozę sobie uszy. Postępują wbrew rozsądkowi, wiedzy i logice” – powiedział Jarosław Kaczyński w pierwszym wywiadzie po wyjściu ze szpitala, gdzie przeszedł operację kolana.



TOMASZ JASTRZĘBOWSKI / REPORTER

NOWY ROK, STARA PREZES

Ponad jedna trzecia składu Trybunału Konstytucyjnego nie uznaje Julii Przyłębskiej i chce wyboru nowego prezesa: wedle informacji „Rzeczpospolitej” co najmniej sześciu sędziów uważa, że kadencja Przyłębskiej dobiegła końca 20 grudnia, a ona – naturalnie – jest innego zdania.

NOWY ROK, NOWE TROFEUM

Pani prezes ma zresztą bogate spektrum zainteresowań: ostatnio wystąpiła z wnukami na korcie tenisowym w materiale „Wiadomości” TVP poświęconym Idzie Świątek, która w plebiscyście „Przeglądu Sportowego” została wybrana sportowcem roku.

NOWY ROK, NOWE NADZIEJE

Rząd tymczasem próbuje dogadać się między sobą w sprawie kształtu ustaw sądowych, co – po przywróceniu standardów praworządności – umożliwiłoby Brukseli wypłatę pieniędzy z KPO. Premier Morawiecki spotkał się w tej sprawie z posłami Solidarnej Polski ministra Ziobry, którzy mieli mu powiedzieć, że najpierw musi przekonać prezydenta.

Czy euro się Polsce opłaca

MAREK RABIJ



WEJŚCIE CHORWACJI DO STREFY EURO podsycało pytania o perspektywę przystąpienia Polski do europejskiej unii walutowej. Zwolennicy tego kroku przekonują, że zamiana złotego na euro rozwiązałaby szereg problemów gospodarczych – na czele z inflacją, która w grudniu, jak podał GUS, wyniosła w Polsce 16,6 proc. W strefie euro ceny rosną niemal dwukrotnie wolniej, bo grudniowy odczyt inflacji dla 19 krajów (jeszcze bez Chorwacji) pokazał 9,2 proc. W arsenale argumentów za szybkim wejściem do strefy euro pojawia się także opinia, że obstawanie przy złotym czyni z Polski marudera bliskiego politycznie z Kremlem Węgrom oraz Bułgarii i Rumunii – krajom, na których ciąży opinia członków drugiej kategorii, co pokazała choćby odmowa przyjęcia ich do strefy Schengen.

Nie ulega wątpliwości, że dla części polskiego społeczeństwa euro stało się symbolem przynależności do zachodnioeuropejskich struktur oraz instytucji politycznych, które wciąż uważamy za mocniejsze od rodzimych. Pierwszy przykład – Narodowy Bank Polski. Będąc w strefie euro, istotnie mielibyśmy z głowy rozmaitych Adamów Głapińskich, delegowanych przez ich środowiska polityczne na odcinek monetarny, bo gospodarzem polskiego krwioobiegu walutowego byłby Europejski Bank Centralny. W praktyce oznaczałoby to jednak utratę monetarnej suwerenności. W tej pulapce znalazły się np. kraje bałtyckie, które nie mogą nawet spróbować dusić podwyżkami stóp przy ponad 20-procentowej inflacji. EBC utrzymuje bowiem stopy poniżej 3 proc. – czyli na poziomie korzystnym raczej dla Francji, Hiszpanii i Niemiec, które nie mają takich problemów z drożyzną, z jakimi zmagają się bałtyckie peryferia strefy euro. Brak rodzimej waluty pozabawia też gospodarkę Litwy, Łotwy i Estonii swego buforu, jakim może być zmienne kursy do euro. To właśnie osłabienie złotego do unijnej waluty pomogło Polsce uniknąć recesji podczas kryzysu wywołanego upadkiem Lehman Brothers.

Zapewne w końcu przyjmiemy wspólną walutę. Do tego zobowiązuje nas traktat akcesyjny z 2004 r. Warto jednak zrobić to w korzystnym momencie. Nie teraz. ©



SERGIO LIMA / AFP / EAST NEWS

POWTÓRKA Z KAPITOLU? W niedzielę 8 stycznia kilka tysięcy zwolenników Jaira Bolsonaro, byłego prezydenta Brazylii, wtargnęło do budynków rządowych, demolując m.in. siedzibę Sądu Najwyższego i Kongresu. Zniszczono też biura w pałacu prezydenckim. W starciach z policją rannych zostało kilkadziesiąt osób, a ponad dwieście przewieziono do aresztu. Nowy, lewicowy prezydent Lula da Silva zapowiada surowe ukaranie sprawców, co potwierdził specjalnym dekretem pozwalającym na zastosowanie środków niezbędnych do zaprowadzenia porządku w stolicy, ale napastników skrytykował także Bolsonaro. Zamieszki w Brazylii potępilli m.in. Joe Biden i Emmanuel Macron, nazywając je kolejnym zamachem na demokrację. ©© JT

Same „świnie” nie zmieniają biegu wojny

WOJCIECH PIĘCIAK



PRĘDZEJ LUB PÓŹNIEJ TO SIĘ PEWNIENIE STANIE, choć byłoby lepiej, gdyby stało się jak najszybciej. Jeśli armia ukraińska ma dalej walczyć, kraje zachodnie muszą zacząć dostarczać jej to, przed czym się dotąd wzbrażały: nowoczesne czołgi, które od stu lat pozostają podstawowym narzędziem ofensywy (i skutecznej manewrowej defensywy).

Dyskusja na temat zachodnich czołgów dla Ukrainy trwa od początku rosyjskiej inwazji (zachodnich – bo Polska i kraje naszego regionu oddały już kilkaset swoich; gorszych niż tamte, ponieważ sowieckiej technologii, ale nie gorszych od tych, jakie ma wróg). W minionym tygodniu dyskusja ta weszła w nowy etap po tym, jak Francja, Niemcy i USA podjęły decyzję, by przekazać Ukrainie broń, której dotąd nie dostarczały: Francuzi samochody pancerne, z racji silnego uzbrojenia zwane czołgami kołowymi (nie wiadomo ile), Amerykanie 50 bojowych wozów piechoty Bradley, a Niemcy 40 podobnych wozów Marder (tj. Łasica; niemieccy grenadierzy, którym służą od wielu dekad, zwą ją pieeschcottliwie

„Żelaznymi Świniami”) (Niemcy przekazały też baterię antyrakiet Patriot – choć jeszcze niedawno i na to nie byli gotowi).

Prezydent Zełenski powiedział, że w ten sposób dostawy broni wchodzą na nowy poziom. To słowa na wyrost: „świnie” nie są bronią przełamującą, nie zmieniają biegu wojny. Co natomiast może zmienić decyzja trzech rządów, to dynamikę dalszej dyskusji. Coraz więcej niemieckich polityków postuluje, by ich rząd przekazał wreszcie Ukraincom czołgi Leopard. I dopiero taka decyzja byłaby przełomowa, również w szerszym wymiarze: kraje Europy mają łącznie 2 tys. leopardów, ale bez zgody Niemiec nie mogą ich oddać dalej. Sukcesywne przekazywanie ich Ukrainie byłoby z technicznego i logistycznego punktu widzenia krokiem najbardziej naturalnym.

I najszybszym: wywołany do tablicy publikacją „Wall Street Journal” (gazeta podała, że Polska rozważa oddanie Ukrainie swoich 240 leopardów), premier Morawiecki dał do zrozumienia, że możemy to zrobić – o ile będzie wola polityczna szerszej sojuszniczej koalicji. ©©

Czy izraelskie wycieczki znów przyjadą

WRACA TEMAT izraelskich wycieczek edukacyjnych szlakiem Zagłady, wstrzymanych do odwołania w czerwcu 2022 r., a wcześniej przerwanych przez pandemię. Bezpośrednim powodem tej decyzji izraelskiego ministerstwa edukacji był brak zgody polskich władz na uzbrojenie ochrony, z którą wycieczki zwykle podróżują (Izrael ma obowiązek przydzielenia jej krajowym delegacjom niezależnie od tego, dokąd się wybierają). Warszawa tłumaczyła, że nie może pozwolić na wizerunek Polski jako kraju niebezpiecznego. Kością niezgody stały się też treści nauczane podczas wycieczek, na które Polska chciała mieć wpływ.

Jak informuje „Tygodnik” Łukasz Jasina, rzecznik polskiego MSZ, ponowne rozmowy na ten temat odbyły się przed świętami, ale nadal nie ma ostatecznej decyzji. Osiągnięto wprawdzie porozumienie w kwestii przekazywanych treści, ale brak go w temacie uzbrojenia ochroniarzy. Rzecznik informuje, że strona izraelska zobowiązała się do przekazania nowego pomysłu na rozwiązanie problemu. O tym, że prace są w toku (z udziałem Szin Betu, odpowiednika ABW), poinformowała była minister edukacji Jifat Szasza-Bitton. Sprawę przejmuje teraz jej następcą Joaw Kisz. Do zamknięcia numeru izraelskie MSZ nie odpowiedziało na przesłane przez „TP” pytania.

Wycieczki mają dla Izraela duże znaczenie: organizowane od lat 60. XX w., stały się najważniejszym elementem edukacji o Holokauście. W ostatnich dekadach Polskę odwiedzały dziesiątki tysięcy izraelskich nastolatków (w wieku 16-18 lat) i dla wielu z nich miało to osobisty wymiar: poznawali miejsca życia i męczeństwa swych przodków. Jednak izraelscy rodzice i nauczyciele nie są wobec tych wyjazdów bezkrytyczni, a niektóre szkoły wręcz zrezygnowały z ich organizacji. Mówi się m.in., że wycieczki wzmacniają nacjonalizm.

Mało prawdopodobne, że nowy, skrajnie prawicowy izraelski rząd będzie zainteresowany rezygnacją z uzbrojenia ochroniarzy. Sytuacja na Bliskim Wschodzie pozostaje napięta, a Izrael obawia się ataków terrorystycznych poza swoimi granicami. W sytuacji, w której obie stolice mają ważne argumenty, trudno o kompromis.

© KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET z Izraela

Szlachetność Ulmów załatwi wiele spraw

ZUZANNA RADZIK



FRANCISZEK WYDAŁ DEKRET O MĘCZEŃSTWIE rodziny Ulmów, co otworzyło drogę do jej beatyfikacji. Pojawiły się jednak wątpliwości, czy błogosławionym może zostać siódme, nieochrzczone i prawdopodobnie urodzone w czasie egzekucji dziecko. Będzie to pierwszy taki przypadek w historii Kościoła, podobnie jak pierwsza beatyfikacja całej rodziny. Miłośnicy tradycyjnej teologii podnieśli lament, że beatyfikacja nienarodzonego dziecka będzie sprzeczna z wielowiekowym nauczaniem Kościoła o tym, że nieochrzczeni nie mogą dostąpić wizji uszczęśliwiającej.

Głosy na tyle mocne, że odpowiedział na nie postulator procesu beatyfikacyjnego ks. Witold Burda, wyjaśniając, że przede wszystkim można uznać, iż chrzest nastąpił nie z wody, lecz z krwi – była to praktyka starożytnego Kościoła w przypadku męczenników katechumenów. Przypomniał też intuicję zawartą w obchodowym 28 grudnia liturgicznym wspomnieniu świętych Młodzianków (zładzonych przez Heroda) oraz powołał się na dokument Międzynarodowej Komisji Teologicznej z 2007 r. o nadziei zbawienia dzieci nieochrzczonych.

Dokument ów wyjaśniał, że teoria o nieochrzczonych dzieciach pozostających w limbo (otchlani) jest jedynie teologiczną hipotezą. Ostrożnie starał się szukać rozwiązania godzącego zbawczą wolę Boga, powszechne działanie łaski w relacji do sakramentów oraz związek grzechu pierworodnego i braku możliwości wizji uszczęśliwiającej. Ale brał też pod uwagę kontekst dzisiejszego świata i rozwój teologii. Czy beatyfikacja siódmego dziecka Ulmów stanie się praktycznym potwierdzeniem jego nieśmiałych intuicji?

Biedni Ulmowie, pasują jak ulał do wszystkich ważnych tematów. Można ich użyć do obrony honoru narodu polskiego, z ich szlachetności czyniąc argument za szlachetnością nas wszystkich. Można też zaprząć ich do walki z aborcją, sięgając po męczeństwo nienarodzonego dziecka. Teraz okazuje się, że mogą się nadać również do przeciągania teologicznej liny o zbawienie nieochrzczonych dzieci.

Ich historia jest po prostu zbyt dobra, by jej używanie nie kusiło. Zbyt szlachetna i ujmująca. Już widać, jakim wyzwaniem w polskim Kościele będzie czcić wkrótce błogosławionych Józefa i Wiktorię Ulmów oraz ich dzieci, nie załatwiając nimi przy okazji swoich innych, bieżących spraw i sporów.

© ©

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

OFENSYWA

W dniu śmierci Benedykta XVI jego sekretarz abp Georg Gänswein udzielił wywiadu telewizji EWTN, znanej z wrogości do papieża Franciszka. Mówił m.in. o szczególnie bolesnych dla papieża emeryta decyzjach następcy. Tydzień po pogrzebie papieża mają ukazać się drukiem pamiętniki Gänsweina z czasów pracy u boku Benedykta XVI.

PRZEJĘCIE

Zwierzchnik Prawosławnego Kościoła Ukrainy metropolita Epifaniusz po raz pierwszy odprawił 7 stycznia bożonarodzeniową liturgię w soborze Wniebowzięcia Matki Bożej w Ławrze Pieczerskiej w Kijowie. Wraz z końcem 2022 r. wygasa umowa użytkowania soboru przez Ukraiński Kościół Prawosławny, podległy Patriarchatowi Moskiewskiemu.

WIZYTA

Franciszek przyjął na prywatnej audiencji emerytowanego biskupa Hongkongu kard. Josepha Zen Ze-kuna. Hierarcha, krytykujący chiński rząd i spolegliwość Watykanu wobec Chin, odzyskał od władz paszport na pięć dni, by uczestniczyć w pogrzebie Benedykta XVI.

POŻEGNANIE

W wieku 87 lat zmarł ks. Roman Rogowski, wybitny teolog, emerytowany profesor Papieskiego Wydziału Teologicznego we Wrocławiu, członek Klubu Wysokogórskiego, autor m.in. „Mistyki gór”.



**DIANA
SAŁACKA,**
autorka tekstu

„Coś na ścianę”, będzie gościnią porannej audycji radia RDC w środę o godz. 7.40. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl
Warszawa 101 FM | Płock 101,9 FM
Ostrołęka 100,8 FM | Radom 89,1 FM
Siedlce 103,4 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

Orszaki to nie tylko zabawa

„**MOJĄ MYŚL KIERUJĘ** do Orszaku Trzech Króli, który odbywa się dzisiaj w wielu miastach i wioskach w Polsce” – powiedział Franciszek po odmówieniu modlitwy „Anioł Pański”. W tym roku przez nasz kraj przeszły 753 Orszaki (o 100 więcej niż w ubiegłym roku), w których wzięło udział 1,5 mln osób. Organizowana od 14 lat zabawa, której towarzyszą jasełka, przebierańcy, korowody i kołędowanie, tradycyjnie odbywa się 6 stycznia w uroczystość Objawienia Pańskiego. Inicjatorem i głównym koordynatorem akcji jest Fundacja Orszak Trzech Króli.

Nie tylko do zabawy ograniczył się Orszak w Łodzi – już trzeci rok z rzędu z inicjatywy abp. Grzegorza Rysia towarzyszyła mu zbiórka charytatywna „Dar dla Nowonarodzonego”. Zebrano ponad 74 tys. zł – pieniądze przeznaczone będą na sfinansowanie 500 godzin zajęć z logopedii dla dzieci z zespołem Downa w Łodzi oraz na pomoc dla ok. 100 dzieci z potrzebujących wsparcia rodzin żyjących w Bejrucie.

© © ASK

Przyszłość Kościoła leży w Afryce i Azji

NA STU MIESZKAŃCÓW świata przypadało w 2000 r. 17,3 katolika, a 20 lat później: 17,7. To globalne ujęcie zacierza jednak istotny trend: o ile w tym czasie liczba katolików w Europie spadła (z 41,3 do 39,6 proc.), to w Afryce wzrosła z 16,5 do 19,3 proc. W Azji wzrosły są nieco mniejsze (z 2,9 do 3,3 proc.), a sytuacja w Amerykach pozostaje stabilna. Są to najnowsze dostępne dane: za watykańskim „Annuario statisticum Ecclesiae” podał je GUS.

Kryzys struktur Kościoła najwyraźniej widać w liczbie siostr zakonnych: dwie dekady temu było ich na świecie 801 tys., obecnie 619 tys. Ale znowu: o ile w Europie ich liczba spadła z 366 tys. do 208 tys., to w Afryce wzrosła z 52 tys. do 79 tys., a w Azji nastąpił wzrost o rząd wielkości: z 13 tys. do 175 tys.

Afryka w ciągu 20 lat podwoiła liczbę księży: z 27 tys. do 50,5 tys. Wzrost odnotowuje też Azja: z 43 tys. do 71 tys. W Europie ich liczba tymczasem spadła z 209 tys. do 164 tys. Także w tej kategorii Afryka i Azja wyrównały więc globalne spadki.

W jednej kategorii Kościół odnotowuje natomiast znaczące wzrosty: chodzi o liczbę biskupów. W 2000 r. było ich na świecie 4541, dwie dekady później 5363. Dotyczy to wszystkich kontynentów, także Europy (wzrost z 1497 do 1678).

© © MAM

KULTURA W SKRÓCIE

STULECIE
NOWOSIELSKIEGO

W Galerii Bielskiej BWA otwarto ekspozycję poświęconą twórczości Jerzego Nowosielskiego, malarza, teologa i pisarza ikon, oraz Stanisława Niemczyka, architekta znanego przede wszystkim z realizacji sakralnych. Na wystawie zobaczyć można projekty polichromii Nowosielskiego dla tyskiego kościoła Ducha Świętego, a także projekty sakralne przechowywane na co dzień w Muzeum Ikon w Supraślu. Projekty kościołów Niemczyka skonfrontowano z fotografiami zrealizowanych budowli.

ZBIORY
DOMINIKANÓW

W otwierającym się właśnie Muzeum Dominikanów w Krakowie będzie można zobaczyć ponad 200 eksponatów, w tym najstarszą zachowaną chorągiew kanonizacyjną na świecie, alabastrowe figurki Jezusa i apostołów z XV w. oraz XIII-wieczne witraże.

PRZYGODY
NIEZGÓDKI

Zakończono zdjęcia do „Akademii Pana Kleksa” w reż. Macieja Kawulskiego. Film przedstawia historię Ady Niezgódki, która pod opieką szalonego profesora Ambrozego Kleksa poznaje świat baśni i rozwija niesamowite umiejętności, a także wpada na ślad, który pomoże jej rozwikłać pewną rodzinną tajemnicę. Premiera jeszcze w tym roku.



DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA” co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd” Agnieszki Lichnerowicz w radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce www.tokfm.pl



DANTE FENOLIO / BE&W

SZKLANE ŻABY niewidzialność mają we krwi. *Hyalinobatrachium fleischmanni* (na zdj.) za dnia potrafią zakamuflować się w otoczeniu, gdyż odbijają większość padającego na nie światła. To rzadka umiejętność u kręgowców, u których wiele światła pochłaniają czerwone krwinki. Szklane żaby rozwiązały ten problem w nowatorski sposób: w czasie snu nawet 89 proc. ich czerwonych krwinek zostaje zassanych do krystalicznych struktur w wątrobie, dzięki czemu stają się o dwie trzecie bardziej przezroczyste. U wielu organizmów tak gęsto upakowane krwinki posklejałyby się ze sobą, dlatego autorzy odkrycia twierdzą, że poznanie leżącego u podstaw tego zjawiska mechanizmu może pomóc w opracowaniu leków przeciwnakrzepowych. © P ŁK

Podzwonne dla palaczy

MIESZKAŃCY NOWEJ ZELANDII, którzy urodzili się po 1 stycznia 2009 r., nie kupią legalnie papierosów w całym swoim życiu. W każdym razie nie kupią ich w swoim kraju. Rząd pięciomilionowego państwa na Pacyfiku postanowił, że uczyni je wolnym od palenia krok po kroku i zaczynając od najmłodszych. Począwszy od 2027 r., gdy to pokolenie osiągnie pełnoletniość, minimalny wiek, w jakim wolno będzie kupić tytoń, będzie co roku sukcesywnie podnoszony o rok, coraz bardziej zawężając legalną dostępność.

Ograniczenia dotyczą nie tylko młodych. Liczba sklepów, w których będzie można kupić wyroby tytoniowe, zostaje zmniejszona z 6 tys. do 600, i mogą to być tylko sklepy specjalistyczne. Papierosów i tytoniu nie kupi się już w kiosku czy supermarkecie. Zmniejszana będzie też zawartość nikotyny w papierosach (z 15 miligramów nikotyny na gram tytoniu docelowo do 0,8 miligrama), co ma uczynić je mniej uzależniającymi.

Nowa Zelandia od dawna jest w czołówce krajów zwalczających palenie. Także za sprawą cen: paczka papierosów kosztuje tam równowartość ponad 20 euro. Wprowadzając teraz nowe przepisy, najradzykalniejsze w świecie (za ich złamanie grozą drakońskie kary), rząd w Wellington chciałby, by do 2025 r. odsetek palaczy w społeczeństwie spadł do mniej niż 5 proc. (dziś to 8 proc.). A w dalszej przyszłości, by palenie w ogóle odeszło do historii.

© P WP / FAZ, AP, DPA

Rafa blaknie, ryby się mylą

JAK SPRAWDZIĆ, czy pływający obok krewniak stanowi zagrożenie i trzeba szykować się do ataku, czy wystarczy groźnie pomachać mu płetwą grzbietową, by kupić sobie święty spokój? Ryby żyjące na rafach koralowych coraz częściej mają problem z podejmowaniem takich decyzji, a wszystko przez blaknięcie raf koralowych.

Sally Anne Keith z Uniwersytetu w Lancasterze i współpracownicy obserwowali populacje ryb z rodziny chetonikowatych („ryby motyle” to bardziej opisowa nazwa) na 17 rafach na Pacyfiku. Nurkując i śledząc daną rybę przez 5 minut, zarejestrowali łącznie 3770 interakcji między nimi. Spotkania między osobnikami różnych gatunków miały bardziej gwałtowny przebieg w trakcie blaknięcia rafy (giną wtedy żyjące na koralowcach glony, a cały ekosystem zmienia się nie do poznania). W nowym krajobrazie rybam dużo rzadziej udawało się rozpoznać z daleka i „dogadać” za pomocą mowy ciała, częściej zaś podpyływały do siebie bliżej i toczyły agresywne, ryzykowne walki. Taka brawura tylko wzmacnia negatywne efekty blaknięcia rafy i związane go z nim braku pożywienia.

© P KRZYSZTOF STORY

JAK BENEDYKT ZMIENIŁ KOŚCIÓŁ

Jego pontyfikat był jednym z bardziej znaczących w historii. Umożliwił uwolnienie urzędu biskupa Rzymu z dwóch ról, w które został przez wieki wpłątany: sakralno-ojcowskiej i politycznej.

PIOTR SIKORA

TO BYŁ MECZ, NIE PAMIĘTAM, KTO Z KIM GRAŁ, ALE JAKIŚ ważny. Miałem siedem lat, siedziałem na oparciu wersalki i wpatrywałem się w czarno-biały telewizor. Do pokoju wpadł mój ojciec, klaszcząc w dłonie i powtarzając z przejęciem: „Wojtyła papieżem! Wojtyła papieżem! Wojtyła papieżem!”. Dlaczego on się tak gorączkuje, pomyślałem, przeszkadza oglądać. Po jakimś czasie zrozumiałem: biskup Krakowa został najważniejszym człowiekiem na świecie. Oczywiście, byłem dumny, choć i zły na niesprawiedliwy zwyczaj, który każe, by opuścił moje miasto i pojechał do jakiegoś Rzymu – to Kraków powinien być od teraz centrum świata!

A potem były miliony na Błoniach albo w Nowej Hucie – gdzie podczas „papieskiej” mszy rolę kościelnego chóru przejęły balkony wieżowców osiedla Złotego Wieku, ⇨

Ponad 200 tys. osób oddało hołd Benedyktowi XVI, którego ciało było przez trzy dni wystawione w bazylice św. Piotra. Watykan, 3 stycznia 2023 r.







SIMONE RISOLUTI / VATICAN MEDIA / MATERIAŁY PRASOWE

*Trumna papieża emeryta została opieczętowana i włożona do metalowej skrzyni, którą umieszczono w trumnie dębowej i złożono w grobowcu w Grotach Watykańskich.
3 stycznia 2023 r.*

→ a każdy pełny ludzi uczestniczących w celebracji przez przykładane pobożnie do oczu lornetki. Ah!, zobaczyć wyraźnie białą postać Ojca Świętego... Wyjdzie czy nie wyjdzie do okna na Franciszkańskiej?... Jest już późno. Śpiewajmy. Wyszęd! Rozmawia z nami! Na jakim luzie, a o jakich ważnych sprawach! Jeszcze nie wiemy, że za dwadzieścia lat, w Wadowicach, powie też o kremówkach i że tym też się będziemy zachwycać i wzruszać.

Umarł Ratzinger, Benedykt XVI, a ja o Wojtyłę, Janie Pawle II – bo trzeba sobie przypomnieć „naszego papieża”, by zrozumieć, co się obróciło w świecie, i co przeskoczyło w głowach za sprawą człowieka, który z końcem roku Pańskiego 2022 odszedł do domu Ojca.

Myśl o ojcostwie

O ojcostwo zaś, po pierwsze, tu chodzi. O to, czy jesteśmy zawsze dziećmi, czy wolno nam dorosnąć. I o to, czy rację miał Jezus, gdy mówił do tych, którzy z nim chodzili: „Nikogo też na ziemi nie nazywajcie waszym ojcem; jeden bowiem jest Ojciec wasz, Ten w niebie” (Mt 23, 9).

Używanie papieskiego tytułu „ojciec święty” (a zasady polskiej ortografii dopuszczają nawet pisownię dużymi lite-

rami) stoi w bezpośredniej sprzeczności z sugestią Jezusa. Owszem, można by bronić zwyczaju, tłumacząc, że to swego rodzaju konwencja bez głębszego znaczenia. Problem w tym, że taka obrona byłaby niezgodna z faktami.

Sami papieże rozumieli swoją rolę w „ojcowskich” kategoriach. Kiedy Paweł VI w 1971 r. wprowadził przepis nakazujący biskupom rezygnować z urzędu po skończeniu 75. roku życia (co było wówczas zmianą rewolucyjną), zastanawiano się, czy on sam – jako biskup Rzymu – nie zrezygnuje, osiągnąwszy ów wymagany prawem wiek.

Dzisiaj wiemy, że Paweł VI nie wykluczał rezygnacji z urzędu, choć wtedy niewielu znało dwa listy papieża – do sekretarza stanu i dziekana kolegium kardynalskiego – napisane w maju 1965 r., a więc w drugim roku pontyfikatu, gdy Paweł VI cieszył się jeszcze dobrym zdrowiem. Ujawniono je dopiero w 2018 r., za zgodą papieża Franciszka, w książce „La Barca di Paolo” (w Polsce wydanej pod tytułem: „Paweł VI. Czas odwagi”). Zawierały one formułę „dymisji warunkowej” – zrzeczenia się urzędu „w przypadku choroby uważanej za nieuleczalną albo długotrwałą, która nie po-

zwoli skutecznie pełnić funkcji związanych z apostolską posługą; albo w przypadku innej poważnej i przedłużającej się przeciwności, która będzie jednocześnie przeszkodą”.

Do dymisji, jak wiadomo, nie doszło, choć pod koniec życia niejedna choroba dokuczała Pawłowi VI. Jego własnym uzasadnieniem trwania na stanowisku było właśnie ojcowskie rozumienie papieżstwa. W prywatnych zapiskach (opublikowanych we wspomnianej książce) Paweł VI wyznaje, że za najważniejszą godność papieża uważa „ojcostwo, które ustaje dopiero z ostatnim tchnieniem”. „Właśnie dlatego nie ma w zwyczaj, by papież odchodził na emeryturę – pisze – bo nie chodzi tu o funkcję, ale o ojcostwo. Nie można przestać być ojcem. Czuję się ojcem całej ludzkości. Można zrzec się urzędu, ale nie można zrzec się stanu. A takim jest bycie ojcem”.

Poczucie bycia ojcem całej ludzkości nie za bardzo pasowało do osobowości Giovanniego Battisty Montiniego – człowieka raczej nieśmiałego, bez megalomańskich skłonności. Jego źródło było zapewne na zewnątrz – w odziedziczonych schematach myślowych, właściwych dla popularnej przynajmniej od średniowiecza teologii papieżstwa.

Podobną wizję teologiczną przejął Jan Paweł II. W różnych źródłach odnajdujemy informacje, że Jan Paweł II rozważał rezygnację z powodu stanu zdrowia, który znacznie utrudniał pełnienie papieskich zadań. Tym niemniej wizja „ojcowskiego” powołania, któremu trzeba pozostać wiernym pomimo wszelkich trudności, przeważała.

Wizja papieża jako ojca, który jest niezbędny katolikom – dzieciom w wierze – rozpowszechniała się przez wiele wieków. Z pewnością odpowiadała średniowiecznej, hierarchiczno-feudalnej mentalności społecznej. Trwała także w czasach nowożytnych, wspierana do pewnego momentu przez istniejący także w społecznościach świeckich model monarchii absolutnej.

Od końca XVIII w. i przez następne stulecia odrywała się coraz bardziej od pozakościelnych, społecznych wzorców. Wspierana przez część teologów i duszpasterzy musiała jednak trafiać w ważne potrzeby dużej części katolików i katoliczek. Można zaryzykować hipotezę, że dla człowieka religijnego nieuchwytność *sacrum* może stanowić

problem. Gdzieś w nas leży potrzeba, by świętość, boskość miała uchwytne empirycznie, zmysłowo wyraz. Najlepiej, by istniała jakaś ludzka jej postać. Gdy boskość jest nieuchwytna, jej poszukiwanie wiąże się z niepewnością, ryzykiem. Niepewność zaś co do najważniejszych, ostatecznych spraw życia (w życiu) bywa trudna do zniesienia. Stąd potrzeba jakiejś postaci, która by boskość uosabiała, reprezentowała, mogła prowadzić.

Osierocenie

Benedykt XVI zdekonstruował ten sakralny, ojcowski obraz papieżstwa. Abdykował. Wyraźnie przez to pokazał, że biskup Rzymu nie ma w sobie więcej sakralności niż każdy inny biskup. Można powiedzieć, że Franciszkowe zwyczajne „buona sera” (dobry wieczór) – wypowiedziane po wyborze do zgromadzonych na placu św. Piotra – jest naturalną kontynuacją ustąpienia Benedykta.

Być może Joseph Ratzinger zdobył się na ten akt właśnie dlatego, że dzięki swojemu teologicznemu wykształceniu miał świadomość, iż teologiczna wizja papieża jako Ojca Świętego nie ma podstawy w źródłach.

W Nowym Testamencie zaznacza się wyjątkowa rola Szymona Piotra, za którego następcę uważają się papieże. Niemniej idea jakiegoś „ojcostwa” Piotra wobec innych chrześcijan jest w nowotestamentalnej perspektywie absurdem. Św. Paweł pisał w Liście do Galatów, że Piotr był uważany – tak samo jak Jakub i Jan – za jeden z trzech filarów Kościoła w Jerozolimie. Później w tzw. Listach Piotra (pismach powstałych wiele lat po śmierci apostoła) jest on przedstawiany jako jeden ze starszych (prezbiterów), którego wyjątkowość polega na tym, iż jest świadkiem śmierci i zmartwychwstania Jezusa. O ojcostwie Kefasa nie ma ani słowa.

Właśnie na męczeńskim świadectwie wiary Piotra – ale i Pawła – złożonym w Rzymie pierwsi Ojcowie Kościoła opierają autorytet chrześcijańskiej wspólnoty żyjącej w stolicy cesarstwa. Autorytet biskupa Rzymu rośnie przez całe pierwsze tysiąclecie, lecz dopiero reforma gregoriańska z XI w. wprowadza monarchiczny obraz papieża jako głowy Kościoła wyniesionej ponad wszystkich innych chrześcijan, posiadającej jakiś szczególny rodzaj bliskości z Bogiem.

Dzięki swojemu
wykształceniu Benedykt XVI
miał świadomość, że
teologiczna wizja papieża
jako Ojca Świętego
nie ma podstawy w źródłach.
A skoro nie jest ojcem
dla katolików,
może abdykować.

Można zatem powiedzieć, że obraz papieża jako „ojca chrześcijaństwa” rozpoznał się dopiero w drugim tysiącleciu istnienia naszej religii, a jego źródła są na pewno pozaewangeliczne: na pewno feudalne, być może przejęte też z jakichś pogańskich form religijności.

Bezpośrednio po abdykacji Benedykta XVI w Polsce odezwało się mnóstwo głosów wyrażających poczucie osierocenia, szok, że ten papież, który wydawał się tak przywiązany do tradycji, zrobił coś, co zostało odebrane jako rewolucyjne z tradycją zerwanie. Nie wszyscy dostrzegli, że abdykacja Benedykta XVI zakorzeniona była w tradycji jeszcze starszej – sięgającej samych początków.

Nasze polskie poczucie osierocenia było tym silniejsze, im bardziej w swojej religijności uzależniliśmy się od postaci papieża podczas pontyfikatu Jana Pawła II. Teologowie, zamiast samodzielnym myśleniem, zajmowali się głównie opracowywaniem, co na jakiś temat powiedział Jan Paweł II. Powoływali się na niego biskupi i duszpasterze. Krytycznie do polskich hierarchów nastawieni świeccy szukali wsparcia w papieskich myślach z encyklik i przemówień. Wszyscy go podziwiali. A jeśli ktoś go nie podziwiał i ośmielił się krytykować, był uznawany, niemal przez wszystkich, za obrazoburcę i niewdzięcznika.

Papieska polityka

W Polsce przełomu XX i XXI w. wizja papieżstwa miała dodatkowy rys polityczny. Polska fascynacja Janem Pawłem II miała w dużej mierze wymiar nie tyle religijny, co polityczny. Był „ojcem narodu” – gdy głośno wypowiadał to, czego my nie mogliśmy powiedzieć

w przestrzeni zamkniętej przez komunistyczną cenzurę.

Jan Paweł II był papieżem-mężem stanu. Można zaryzykować hipotezę, że w trakcie pontyfikatu Karola Wojtyły polityczna rola papieżstwa, taka, jaką mogło ono odgrywać w czasach po upadku średniowiecznej *christianitas*, osiągnęła swoje apogeum. Sam pomysł, iż można publicznie głosić, że to papież obalił komunizm, mówi wiele, jak w społecznym odbiorze był postrzegany (nawet jeśli stwierdzenie to nie wytrzymuje konfrontacji z faktami).

Wydaje się, że po Benedykcie XVI również polityczna rola papieżstwa zaniknie. Ratzinger nie podjął właściwie roli papieża-polityka o światowej randze. Chciał być – i był – papieżem skoncentrowanym na sprawach z innego wymiaru: liturgii i teologii. Można powiedzieć, że wycofał się z politycznej agory, a papieskie miejsce na tej agorze zostało zajęte przez inne siły. Zasadniczo apolityczny pontyfikat Benedykta XVI otwiera zatem pytanie także o polityczne znaczenie papieżstwa.

Franciszek, ukształtowany przez teologię latynoamerykańską, której ważnym elementem była politycznie wychylona teologia wyzwolenia, próbuje być znacznie bardziej politycznym papieżem niż jego właśnie zmarły poprzednik. Tym niemniej ostatnie lata pokazują wyraźnie, że o ile prorocki głos biskupa Rzymu dotyczący moralnego wymiaru spraw społecznych nadal może być inspirujący, to czysto polityczna rola papieża jako władcy państwa Watykan właściwie nie ma znaczenia. Dyplomatyczne zaś zabiegi watykańskich hierarchów nie tylko nie przynoszą pożądanych efektów, lecz także niszczą moralny autorytet biskupa Rzymu (jaskrawym przykładem tego procesu jest postawa Franciszka i watykańskiego Sekretariatu Stanu wobec rosyjskiej agresji na Ukrainę).

Można powiedzieć, że Benedyktowi XVI Watykan jako państwo nie był potrzebny. Franciszkowi – wyraźnie przeszkadza. Może i tu czeka nas radykalna zmiana. Nie byłaby ona wcale czymś nie do pomyślenia.

Państwo Mussoliniego

Funkcje polityczne i dyplomatyczne dzisiejszego Watykanu są atrapą do czasnej władzy, jaką papież dzierżył przez ponad tysiąc lat, od 752 do 1870 r. →

→ Państwo Kościelne upadło wraz z zajęciem Rzymu przez włoskie wojska (a już parę lat wcześniej straciło na rzecz Królestwa Włoch większość swojego terytorium). Na sześć dekad (1870-1929) Stolica Apostolska straciła suwerenność i państwowość – co w niczym jej nie zaszkodziło. Do pełnienia misji religijnej wystarczyła jej „niezależność duchowa”, szanowana w świecie i gwarantowana przez rząd zjednoczonych Włoch. Kolejnym papieżom niezbyt się to podobało – „wrogie państwo” włoskie bojkutowali, a siebie uważali za „więźniów Watykanu”. Refleksja, że świecka władza i olbrzymie terytoria nie są papieżowi do niczego potrzebne, a wręcz stają się przeszkodą w przywództwie religijnym, pojawiła się powoli. Ale Pius XI, za którego pontyfikatu powstał znany dziś Watykan, miał już tego świadomość i odmawiał przyjęcia większego terytorium, obawiając się utraty autorytetu duchowego. Zgodził się więc na uregulowanie ówczesnego *status quo*, do czego doszło 7 czerwca 1929 r., w dniu podpisania traktatów laterańskich (swoistego konkordatu) pomiędzy pierwszym faszystowskim rządem Włoch a Stolicą Apostolską.

Dzisiejszy Watykan – jako państwo i podmiot prawa międzynarodowego – jest więc dzieckiem Benita Mussoliniego i kard. Pietra Gasparriego, sekretarza stanu za Piusa XI. Na mocy podpisanej umowy Włochy przekazały Stolicy Apostolskiej teren i nieruchomości w obrębie murów leonińskich oraz plac św. Piotra i kilka eksterytorialnych bazylik papieskich. Dały także Watykanowi 750 mln lirów i 5 proc. własnej skonsolidowanej waluty (co równało się miliardowi lirów), które zasiły skarbiec nowo powstałego państwa.

Umowa z Mussolinim ustaliła prawa dyplomatyczne Watykanu. Zapisana w niej została np. neutralność nowego państwa, które nie może brać udziału w konfliktach ani negocjacjach zwaśnionych stron (chyba że zostanie przez te strony zaproszone do rozmów, o ile ich celem będzie zawarcie pokoju). Traktaty przyznają zwierzchnictwo nad państwem jedynie papieżowi, co oznacza, że gdyby ten opuścił Watykan na stałe (na przykład przeniósł swój urząd gdzie indziej), państwo

przestanie istnieć, a terytorium wróci pod włoską jurysdykcję (warto pamiętać, że katedralnym kościołem biskupa Rzymu nie jest bazylika św. Piotra, lecz św. Jana – na Lateranie).

Bez ojca i bez Watykanu

Może czas pomyśleć Kościół bez Watykanu. Biskupa Rzymu jako zwykłego obywatela Republiki Włoch, bez żadnej politycznej władzy. Nie byłoby wtedy Sekretariatu Stanu i dyplomatów w sutannach. Może i całą resztę Kurii Rzymskiej łatwiej byłoby zreformować, gdyż fundusze na jej utrzymanie byłyby z pewnością inne i znacznie mniej osób chciałoby robić karierę w instytucji znacznie biedniejszej niż obecnie.

Biskupi Rzymu nie potrzebowaliby wielkich środków finansowych, dyplomatów i nuncjuszy, gdyż wcale nie musieliby grać roli ojca ludzkości, ani nawet tylko prowadzić Kościoła i wytyczać kierunku jego rozwoju. Nie musieliby wyznaczać biskupów na całym świecie (przez wieki tego nie robili) ani pisać licznych encyklik czy adhortacji (taki aktywizm papieskiego magisterium zaczął się dopiero w XVIII w.).

Owszem, Kościół, rozsiany po całym świecie, istniejący w różnorodnych kulturach, potrzebowałby nadal papieża jako znaku i sługi jedności. Jednak w świecie, w którym przepływ informacji jest tak łatwy jak dzisiaj, taka posługa jedności mogłaby wyglądać inaczej. Najważniejsze byłoby w niej dbanie, by wszystkie wspólnoty Kościoła pozostawały ze sobą w kontakcie, rozmawiały o swojej wierze. Ważnym aspektem funkcji biskupa Rzymu byłoby w tej perspektywie sprawdzanie, czy głosy pojawiające się w takiej rozmowie zgadzają się z wiarą, którą chrześcijanie wyznawali przez wieki, zwłaszcza u samych początków (męczeńskie świadectwo Piotra i Pawła!), i sygnalizowanie, jeśli pojawia się tu jakiś dysonans.

Czy to utopia? Trudno powiedzieć. Jednak uważna obserwacja ostatnich dekad funkcjonowania papieża i Watykanu pozwala stwierdzić: forma państwa, do jakiej jesteśmy przyzwyczajeni, dobiega prawdopodobnie kresu.

© PIOTR SIKORA

Współpraca: EDWARD AUGUSTYN



Ostatni taki papież

EDWARD AUGUSTYN

Myślał, że może być jednocześnie subtelnym teologiem i obdarzonym wielką władzą urzędnikiem Kościoła. To stało się przyczyną wielu nieporozumień, także wtedy, gdy został papieżem i przyjął imię Benedykt XVI.



VATICAN MEDIA / MATERIAŁY PRASOWE

Franciszek żegna Benedykta. Po mszy św. pogrzebowej trumna z ciałem papieża emeryta jest przenoszona z placu św. Piotra do Grot Watykańskich. 5 stycznia 2023 r.

ZIMNO I MGLIŚCIE BYŁO NA PLACU św. Piotra, gdy chowano Benedykta XVI. Choć nie tylko pogoda miała w tym dniu symboliczne znaczenie. Historia nie знаła pogrzebu papieża emeryta. Do rangi symbolu urasta więc każdy gest i słowo – wypowiedziane lub powstrzymane.

Uroczystości były skromne i krótkie (kwadrans dłuższa była msza pontyfikalna w święto Trzech Króli, dzień później). Zwięzła homilia, wygłoszona przez papieża Franciszka, tylko jednym zdaniem odnosiła się do zmarłego, nawet jeśli oparta została na cytatach z jego nauczania. W Watykanie nie ogłoszono państwowej żałoby: urzędy, instytucje i sklepy były czynne, pracownicy mogli wziąć udział w pogrzebie, ale po zakończeniu mieli wrócić do obowiązków.

Także w poprzedzających dniach życie toczyło się normalnie: papież przyjmował gości, mianował biskupów i nuncjuszy, wygłaszał przemówienia i orędzia. Gdy tysiące osób stało w kolejce do bazyliki św. Piotra, by oddać hołd papieżowi emerytowi, w położonej nieopodal auli Pawła VI trwała, jak w każdą środę, audyencja generalna.

Jedni widzieli w tym afront, inni – komunikat, że jest tylko jeden papież, który wciąż żyje. Jeszcze inni – reakcję na ataki, do jakich antyfranciszkowa opozycja przystąpiła niemal z chwilą śmierci papieża emeryta. Zimny i mglisty jest początek nowej fazy pontyfikatu Franciszka. Przez dziesięć lat towarzyszyła mu obecność – cicha, ale wymowna – poprzednika. Liczył się z nią, w większym lub mniejszym stopniu, podejmując decyzje. Podobnie jak ci, którzy pró-

bowali je podważać. Kruche życie Benedykta XVI było gwarantem pokoju.

W nieznanej roli

„Nie ja jestem tym przewodnikiem, którego potrzebujecie” – mówił w filmie Nanniego Morettiego nowo wybrany papież do wiernych zebranych na placu św. Piotra. W 2011 r. pomysł reżysera „Habemus papam” uznano za absurdalny. Dwa lata później rzeczywistość dogoniła fikcję.

Abdykacje papieża – dobrowolne lub pod przymusem – w historii się zdarzały. Ale od 598 lat następcy św. Piotra pełnili funkcję dożywotnio. 28 lutego 2013 r. Benedykt XVI, ogłaszając swoją rezygnację, tłumaczył się brakiem sił, fizycznych i duchowych, do pełnienia urzędu. Miał 86 lat – rok więcej niż jego poprzednik, Jan Paweł II, w chwili śmierci. Może nie chciał, by Kościół kolejny raz przeżywał dramat długotrwałej choroby i agonii papieża. Może nie chciał fundować mu po raz wtóry rządów rzymskiej kurii. A może po prostu się poddał.

Wybrał nieznaną dotąd rolę papieża emeryta, którą sam dla siebie napisał – w pośpiechu i z naiwną wiarą, że może być drugoplanowa i ukryta. Na swojej ostatniej audyencji generalnej tłumaczył: „Nie mam już władzy rządzenia w Kościele, ale w posłudze modlitwy zostaję, że tak powiem, w zagrodzie św. Piotra”.

Na bawarskiej wsi

„Jestem jak stary rolnik z Bawarii, który przekazał gospodarstwo synowi i zamieszkał w Austragshaus” (małym domku w obrębie zagrody) – mówił jesienią 2018 r. Peterowi Seewaldowi.

Na bawarskiej wsi spędził dzieciństwo. Jego ojciec był żandarmem, matka kucharką. Rodzina często się przeprowadzała – profilaktycznie: ojciec miał poglądy antynazistowskie, zmieniał miejsca pracy, zanim nowi przełożeni się zorientowali. Wyrwane z rówieśniczego środowiska rodzeństwo – Maria (ur. 1921), Georg (1924) i Joseph (1927) – liczyło tylko na siebie. Do końca życia byli ze sobą mocno związani: Maria nie wyszła za mąż i opiekowała się najmłodszym bratem – księdzem, biskupem, kardynałem – aż do swej śmierci w 1991 r. Georg został księdzem tego samego dnia co Joseph i był dla niego „duchowym przewodnikiem”. Gdy pod koniec życia oślepl i opadł z sił, 93-letni



WOLFGANG KUNZ / ULLSTEIN BILD / GETTY IMAGES

1968 POSTĘPOWY TEOLOG STAJE SIĘ OBROŃCĄ TRADYCJI

Młodzieżowy bunt pod sztandarami Marksa, Lenina i Mao oraz ściśle z nim związana rewolucja obyczajowa stały się punktem zwrotnym w życiu Ratzingera (nawet jeśli ta zmiana dojrzewała od kilku lat, gdy patrzył sceptycznie na posoborowy optymizm). „Uniwersytet, na którym wtedy byłem dziekanem, zamienił się we wrzący kocioł. W kontaktach z profesorami dochodziło nawet do rękoczynów” – wspominał. Wydarzenia 1968 roku będzie uważał za przyczynę wszelkiego zła, które trawi od tamtego czasu zachodnie społeczeństwo i przenika do Kościoła. „Do fizjonomii rewolucji 1968 r. należało też uznanie za dozwoloną pedofilię” – pisał w 2019 r. w eseju poświęconym kryzysowi nadużyć seksualnych w Kościele.



KNA / SIPA / AVALON / BE&W

1982 DELIKATNY BISKUP ZOSTAJE PANCERNYM KARDYNAŁEM

Mianowanie kard. Josepha Ratzingera szefem Kongregacji Nauki Wiary było najważniejszą decyzją całego pontyfikatu Jana Pawła II. Pod jego rządami kongregacja ukarała zakazem nauczania ponad 110 teologów i uciszała nieprawomyślne głosy w kościelnych mediach. Ogłosiła też kilka kluczowych dokumentów o stanowisku Kościoła w ważnych kwestiach teologicznych (deklaracja „Dominus Iesus”, instrukcja o teologii wyzwolenia) i etycznych (homoseksualizm, prokreacja, eutanazja), czasem bardzo szczegółowych (o hostiach bezglutenowych czy zabiegach izolowania macicy). Od 2001 r. prowadziła postępowania w sprawach o pedofilię księży, dodana do listy najcięższych przestępstw.

→ papież emeryt raz jeden opuścił Watykan i pojechał do Ratzbony pożegnać się z bratem.

Wiejskie kościoły były miejscem pierwszych fascynacji Josepha liturgią. Łacińskie obrzędy śledził z niemieckim mszalikiem w ręku. Dziecięce doznania, potem pogłębione refleksją teologiczną, zaważyły na jego stosunku do „najczystszej starożytnej liturgii rzymskiej”. Jej piękna nie traktował tylko w kategoriach estetycznych. Była dla niego widzialnym znakiem piękna Boga. Uważał, że posoborowa „rewolucja” przyniosła więcej szkód niż pożytku, a w kryzysie liturgii widział jedno ze źródeł kryzysu całego Kościoła.

Z drugiej strony wojny

„Po tym, jak Hitler ze Stalinem brutalnie rozgromili Polskę, zrobiło się spokojnie” – napisze we wspomnieniach z czasów szkolnych. Emerytura ojca pozwoliła Ratzingerom osiąść na stałe na obrzeżach Traunstein. Za namową proboszcza Joseph poszedł do niższego seminarium, ale trudno było mu przywyknąć do życia w internacie – był nieśmiały, lubił spokój i ciszę, nie radził sobie z ćwiczeniami fizycznymi. Po ataku Niemiec na Związek Radziecki, gdy internaty zamieniono w szpitale wojskowe, wrócił do domu i najbliższego gimnazjum.

Zapisano go – jak wszystkich chłopców – do Hitlerjugend. Przeszedł szkolenie wojskowe, bronił fabryki BMW i zakładów lotniczych przed alianckimi atakami (choć – jak zapewniał – był w drużynie pomiarowej i nie musiał strzelać). Potem budował zasieki na granicy z Węgrami, a na sam koniec wojny trafił do piechoty, z której – tuż po śmierci Hitlera – zdezerterował. Na krótko trafił do obozu jenieckiego, ale pod koniec czerwca 1945 r. był już w rodzinnych stronach. Po wakacjach rozpoczął naukę w wyższym seminarium diecezjalnym we Fryzdyndze.

Kariera na włosku

„Książki były rzadkością w zniszczonych i odizolowanych od świata Niemczech” – napisze po latach, wspominając swoją fascynację seminaryjną biblioteką. Pochłaniał nie tylko podręczniki, ale też literaturę piękną i popularnonaukową, zwłaszcza z dziedziny

przyrodniczych, które – po odkryciach Plancka, Heisenberga i Einsteina – otworzyły się na nieprzewidywalność i nieokreśloność świata. Relacja między nauką i wiarą, a także racjonalność tej ostatniej będą go zajmować przez całe życie.

Studia filozoficzne przekonały go, że nie jest tomistą. Logiczny wywód św. Tomasza z Akwinu uważał za zbyt zamknięty i poszufladowany. Nie znalazł w nim odpowiedzi na nurtujące go pytania. Urzekła go natomiast fenomenologia. Jej metodzie – unikaniu jakichkolwiek wstępnych założeń w opisie rzeczywistości – pozostanie wierny jako teolog.

Studia kontynuował na uniwersytecie w Monachium. Na ostatnim roku zgłosił na konkurs pracę „Lud i Dom Boży w doktrynie kościelnej św. Augustyna”, która zajęła pierwsze miejsce i przyjęto ją jako rozprawę doktorską. Trochę więcej kłopotów miał z rozprawą habilitacyjną („O Objawieniu w dziełach św. Bonawentury”), którą jeden z recenzentów uznał za zbyt modernistyczną. Naukowa kariera przyszłego papieża zawisła na włosku – habilitacja była konieczna, by zachować profesorski etat i nie stracić mieszkania. Zdesperowany, stworzył nową wersję pracy, opartą na jednym rozdziale, do którego recenzent miał najmniej zastrzeżeń. Licząca zaledwie 200 stron rozprawa została przyjęta.

Dojrzewanie i poglądy

„To nie ja się zmieniłem, ale oni” – tak w pierwszym wywiadzie po objęciu Kongregacji Nauki Wiary odpowiedział na pytanie o najbardziej postępowych teologów, do grona których i on przez pewien czas należał, tworząc krytyczne wobec Watykanu czasopismo „Concilium”.

Etykietkę „teologa liberalnego” przypięto mu (uważał, że bezzasadnie) podczas pierwszej sesji Soboru Watykańskiego II, na którą pojechał jako doradca kard. Josepha Fringsa z Kolonii. Miał 35 lat i był, wraz z Hansem Küngiem, najmłodszym z soborowych ekspertów. Uznano go za radykała, gdy przedstawił swą pierwszą, krytyczną opinię nt. projektu konstytucji o objawieniu Bożym, choć miał zastrzeżenia głównie do języka, a nie treści dokumentu.

W twierdzeniu, że nie zmienił poglądów, jest sporo przesady. W 1962 r. postulował (wspólnie z Karlem Rahnerem), by papieża wybierali wszyscy biskupi i by Watykan miał obowiązek konsultowania z nimi każdej ważnej decyzji. W 1970 r. podpisał apel o rozpoczęcie dyskusji o celibacie – uważał, że święcenia żonatych mężczyzn to kwestia niedalekiej przyszłości. W 1972 r. przedstawiał argumenty za dopuszczeniem – w pewnych okolicznościach – osób rozwiedzionych do komunii (modyfikacji tego tekstu dokonał już w grudniu 2014 r., gdy stało się jasne, że papież Franciszek chce ten pomysł wprowadzić w życie).

Z drugiej strony, już od połowy lat 60. Ratzinger coraz głośniejszy krytykował środowisko, z którym go łączono. Uważał, że wielu jego kolegów po fachu manipuluje nauką Kościoła, dopasowuje poglądy do zmieniających się mód i oczekiwań, rozmywa tożsamość chrześcijańską. Martwił go chaos, jaki zapanował na Soborze i wokół niego, przez co wiele osób dochodziło do wniosku, że wszystko – także w nauce Kościoła – podlega rewizji.

Burzliwe naukowe lata

„Wśród wolności, do których w swojej walce dążyła rewolucja '68 roku, była powszechna wolność seksualna, która nie uznawała żadnych norm” – pisał papież emeryt w kwietniu 2019 r., widząc w wydarzeniach sprzed pół wieku początek kryzysu w Kościele (w tym tego najnowszego i najgłośniejszego – seksualnego wykorzystywania nieletnich) i przyczynę moralnego oraz intelektualnego upadku zachodniego społeczeństwa. Rewolucja dotknęła go osobiście, stając się punktem zwrotnym w jego życiu.

Rok 1968 zastał go w Tybindze, gdzie był dziekanem wydziału teologii. I choć dotychczas potrafił rozmawiać z każdym, niezależnie od poglądów, a podczas wykładów odwoływał się nawet do myśli marksistowskiej, odnajdując w niej chrześcijańskie elementy, teraz stał bezradny wobec rewolucyjnej, wiecowej retoryki. Ekscesy, w których widział oznaki „ateistycznego totalitaryzmu”, nie ominęły i jego wydziału, gdzie dodatkowo przyjmowały formy profanacji i bluźnierstw.

Z ulgą przeniósł się do spokojniejszego ośrodka, jakim była Ratzbona. Tam osiadł na dłużej (1969-1976), zamieszkał z siostrą we własnym domu z ogródkiem, blisko brata, który był dyrektorem katedralnego chóru. Wcześniejszych lat nie uważał za stracone (ich owocem było choćby słynne „Wprowadzenie w chrześcijaństwo”, wydane w 1968 r. i przetłumaczone na 17 języków), ale dopiero na ratzbońskiej uczelni zrodziło się w nim poczucie, że osiągnął „własną wizję teologiczną”.

Prorocstwo

„Z dzisiejszego kryzysu wyłoni się Kościół, który straci wiele. Zostaną nieliczni i trzeba będzie zaczynać od nowa, niemal od początku. Nie będzie już w stanie utrzymywać budynków, które pobudował w czasach dostatku. Za zmniejszeniem liczby wiernych pójdzie utrata większości przywilejów społecznych. Rozpocznie na nowo – od małych grup, ruchów i mniejszości, które postawią wiarę w centrum swego doświadczenia. Będzie Kościołem bardziej duchowym, który sobie nie przypisuje żadnego mandatu politycznego i nie flirtuje ani z lewicą, ani z prawicą. Będzie Kościołem ubogim i dla ubogich. Wtedy ludzie zobaczą, że ta mała trzódka wierzących to coś zupełnie nowego: odkryją w niej nadzieję i odpowiedź, jakie zawsze w skrytości serca szukali”.

To jedno z najbardziej znanych słów ks. Josepha Ratzingera. Wypowiedział je 24 grudnia 1969 r. na antenie radia Hessian Rundfunk. Wiele osób uważa, że prorocstwo właśnie się spełnia.

Kardynał pancerny

Ratzbońska sielanka skończyła się po siedmiu latach. W maju 1977 r. został biskupem rodzinnej diecezji Fryzyna-Monachium, miesiąc później – kardynałem i jednym z najmłodszych elektorów na podwójnym konklawe w 1978 r. Nie wiadomo, jak głosował w październiku, ale z Wojtyłą znał się dobrze – korespondowali od kilku lat, przysyłał mu do Krakowa teologiczne nowości wydawnicze. Polski papież będzie chciał go mieć w Watykanie. Pierwszą propozycję – objęcia Kongregacji ds. Wychowania – Ratzinger odrzucił. Stanowisko prefekta →



ALESSANDRA TARANTINO / EAST NEWS

2005 WIELKI INKWIZYTOR NAMIESTNIKIEM CHRYSUSA

Został zapamiętany jako papież introwertyczny, cichy, skrzepowany rolą, do której go wybrano. Jego przemówienia nie były porywane, ale precyzyjne i przenikliwe. Chciał renesansu katolickiej tradycji, sięgając do jej skarbcza nie tylko po zapomniane czapki i pelerynki obszyte gronostajem – także po odpowiedzi na współczesne problemy. Ale przywracając prawo do mszy łacińskiej, przyczynił się mimowolnie do polaryzacji Kościoła, a odrzucając liberalno-postępową interpretację soborowych dokumentów, ośmielił tych, którzy odrzucali sam sobór. Był ważnym punktem odniesienia dla sporej części katolików, zaniepokojonych postmodernistycznym chaosem i szukających oparcia w trwałych wartościach.



GREGORIO BORGIA / AP / EAST NEWS

2013 PAPIEŻ EMERYT

Rezygnacja papieża jest przewidziana przez kościelne prawo (kan. 332 KPK), ale status „papieża emeryta” nie był i nadal nie jest skodyfikowany. Ustępując z urzędu, Benedykt XVI sam zdecydował, gdzie będzie mieszkał, jaki strój nosił i jaką aktywność prowadził (trzykrotnie brał udział w ważnych uroczystościach, pisał artykuły i udzielał wywiadów), ale były to sprawy drugorzędne wobec najważniejszej i najtrudniejszej decyzji, jaką podjął: niekomentowania działań następcy, nawet jeśli niektóre z nich były sprzeczne z jego przekonaniami i szły w przeciwnym kierunku, niż on sam wyznaczył. „Papież emeryt” odbiera papiestwu nimb świętości i pokazuje jego ludzki wymiar. Jest – paradoksalnie – symbolem tego, co w Kościele nowe i zaskakujące. ©E/EA

→ Kongregacji Nauki Wiary, strażnika katolickiej doktryny, przyjmie w 1982 r. i pozostanie na nim przez niemal ćwierć wieku. Żadnego innego w swym życiu nie sprawował tak długo.

Był człowiekiem „z zewnątrz” – nie miał związków z papieską kurią, nawet nie studiował w Rzymie. Nowe stanowisko przyjął w przekonaniu, że pozwoli mu pozostać teologiem – miał przecież strzec nauki Kościoła i odpowiadać za jej rozwój.

Stał się symbolem doktrynalnej surowości pontyfikatu Jana Pawła II. „Ponad 110 teologów zostało złożonych z katedr uniwersyteckich czy też ukaranych w inny sposób. Jeden z nich, znakomity teolog europejski, potępiony bez słowa wyjaśnienia, był tak przygnębiony, że myślał o samobójstwie” – mówił „Tygodnikowi” Leonardo Boff, brazylijski teolog wyzwolenia, również ukarany zakazem nauczania. Rozmowy z Ratzingerem – przyznaje Boff – były fascynujące. Zarówno te podczas wspólnej pracy w latach 60. przy redagowaniu „Concilium”, jak i w czasie przesłuchań w kongregacji. Błyskotliwa inteligencja, wiedza, precyzja wypowiedzi, a do tego delikatność, uprzejmość, niemal nieśmiałość, i umiejętność słuchania czyniły z „pancernego kardynała” czarującego i wyrozumiałego rozmówcę. Nikt nie spodziewał się drańskich decyzji.

Czy można być jednocześnie subtelnym teologiem i obdarzonym wielką

Benedykt XVI
sądził, że po abdykacji
znów będzie tylko teologiem.

Tymczasem każdą jego
wypowiedź odbierano
jako wystąpienie
za lub przeciw
urzędującemu papieżowi.

władzą reprezentantem urzędu Kościoła? Ratzinger uważał, że tak, i to było przyczyną wielu nieporozumień, także wtedy, gdy został papieżem. Podczas wizyty w Niemczech zacytował słowa bizantyjskiego cesarza, oskarżające Mahometa o „wszystkie rzeczy złe i nieludzkie”. Gdy wybuchł skandal, tłumaczył, że jego mowa była naukowym wykładem, a nie stanowiskiem papieża. Na pytanie, dlaczego nie pokazał jej watykańskim specjalistom od islamu, odpowiedział z rozbrajającą szczerością: „Żaden niemiecki profesor nie daje nikomu swoich wykładów do sprawdzenia”.

Sądził, że po abdykacji znów będzie tylko teologiem. Tymczasem każdą jego wypowiedź odbierano jako wystąpienie

za lub przeciw urzędującemu papieżowi. I choć zapewniał o lojalności wobec następcy, jego słowa do końca były wykorzystywane przez antyfranciszkową opozycję.

Dobre imię Kościoła

„Ile brudu jest w Kościele, i to właśnie wśród tych, którzy poprzez kapłaństwo powinni należeć całkowicie do Niego!” – mówił kard. Ratzinger w Wielki Piątek 2005 r. podczas Drogi Krzyżowej w Koloseum, ostatniej za życia Jana Pawła II.

Kto inny mógł wiedzieć o „kościelnym brudzie” lepiej niż prefekt Kongregacji Nauki Wiary? Na jego biurko trafiały wszystkie doniesienia o seksualnym wykorzystywaniu nieletnich przez księży. Ale Kongregacja, która umiała szybko reagować na każde nieprawowierne nauczanie, sprawy o przestępstwa seksualne prowadziła powoli, wręcz opieszale. Niewątpliwie kardynał nie miał tu wolnej ręki: Jan Paweł II dawał wiarę „drugiej partii” – jak mówił Ratzinger – która była niechętna ujawnianiu skandali.

Restrykcje na wieloletniego seksualnego drapieżcę Marciała Maciela nałożył dopiero po rozpoczęciu własnego pontyfikatu, ale były dość łagodne – seryjnego pedofila ukarał suspensą i zakazem działalności publicznej (nie zgodził się natomiast na jego proces kanoniczny: Maciel spokojnie dokończył żywota

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc,
Marek Kęskrawiec (kierownik),
Małgorzata Nocui, Michał Okoński, Marek Rabij,
Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Janikowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,
Katarzyna Kubisiowska,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik),
Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
(kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś,
Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin,
Sylvia Frolow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska,
Maja Kuczmarska (kierownik), Mateusz Gawron,
Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska,
Piotr Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydawniczy specjalny: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda,
Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska,
Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik,
Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyski

Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz,
Wojciech Brzeziński, Beata Chomańska, s. Barbara
Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch,
ks. Andrzej Dragula, Jakub Dymek, Jarosław Flis,
Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller,
Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski,
Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński,
Dorota Kosińska, Ryszard Kosiński, Magdalena Łanuszka,
Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski,
Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja,
Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak,
Wojciech Nowicki, Joanna Olech,
Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło, Karolina
Przewrocka-Adereit, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik,
Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek,
abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Ślawek, Michał Sowiński,
Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
Marcelina Zumer-Brysz, Piotr Wójcik

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.

Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczmarska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
Redakcja: redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZIA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

na Florydzie, pod opieką partnerki i córki, wizytując – dopóki starczało mu sił – klasztory założonego przez siebie zgromadzenia).

Problemy seksualnego wykorzystywania nieletnich chciał rozwiązywać dyskretnie, pod „tajemnicą papieską”, ale był pierwszym papieżem, który w ogóle dostrzegł kryzys i próbował na niego odpowiedzieć. Źródła zła w Kościele, w tym księżowskiej pedofilii, doszukiwał się na zewnątrz – w rewolucji obyczajowej, upadku zachodniej cywilizacji i jej wartości – więc nie myślał o rozwiązaniach systemowych, ograniczając się do szeregu środków dyscyplinarnych. Dopiero jego następca przyznał, że jest też wewnętrzna przyczyna problemów – klerikalna teologia, którą przesiąknięte są struktury Kościoła.

Dziś wiemy, że problem znał nie tylko z watykańskich dokumentów. Opublikowany na początku 2022 r. raport na temat pedofilii w diecezji monachijskiej wykazał, że w 1980 r. kard. Ratzinger przyjął w poczet swego kleru księdza oskarżonego wcześniej o czyny pedofilskie. W od-

powiedzi na raport papież emeryt tłumaczył – w przesłanym 80-stronicowym memorandum – że nie znał przeszłości księdza Petera H. i nie brał udziału w posiedzeniu rady diecezji, która rozpatrywała jego sprawę. Gdy to okazało się nieprawdą, przeprosił za „przeoczenie”, popełnione przez prawników, którzy przygotowywali memorandum. Zgodził się też na udział w procesie cywilnym wytoczonym przez jedną z ofiar Petera H. Swoje zeznania miał złożyć do lutego 2023 r.

Ostatni papież

„Módlcie się, abym umiał coraz mocniej kochać swoją owczarnię. Módlcie się, abym nie uciekł w strachu przed wilkami” – prosił wiernych podczas inauguracji swego pontyfikatu 24 kwietnia 2005 r. Trudno było nie wrócić do tych słów, kiedy po ośmiu latach składał urząd. Mówiono, że powodem rezygnacji były skandale, których ciężaru nie mógł udźwignąć (pedofilskie i finansowe), i całkowita utrata kontroli nad kurią.

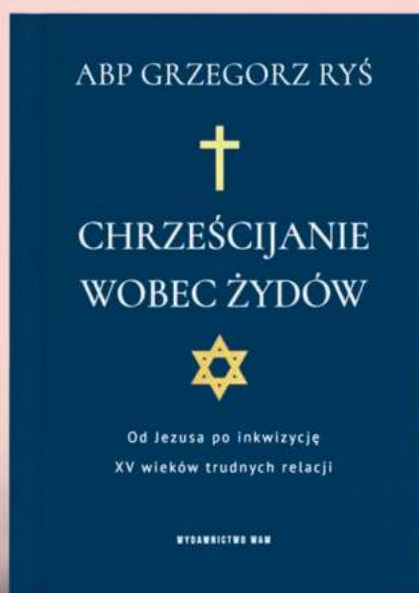
Zaprzeczył temu we wspomnianym wywiadzie z Seewaldem. Zapewniał, że

przyczyna odejścia była o wiele głębsza. W rozmowie padają smutne słowa, pokazujące słabość i zniechęcenie 91-letniego wówczas starca, który ze smutkiem przyznaje, że chrześcijaństwo przegrywa dziś z nową religią, którą stworzyło sobie nowoczesne społeczeństwo. Nowa „wiera” wyklucza wszystkich, którzy nie akceptują jej zasad, takich jak aborcja, *in vitro* czy homoseksualne małżeństwa i rodziny. Jest zwycięstwem relatywizmu, egoizmu i banalizowania zła. On, papież, uznał, że nie miał już sił, by prowadzić Kościół w czasach „światowej dyktatury ideologii pozornie humanistycznych”, kierować tonącą łodzią, „która nabiera wody ze wszystkich stron”.

To najważniejszy powód. Bo Kościół, jeśli przetrwa, to nie w świecie papieża Benedykta. Odradza się gdzie indziej – w Afryce, Ameryce Południowej czy w Azji. Może dlatego wolał oddać ster komuś, kto je bardziej rozumie. Chrześcijaństwo europejskie, zachodnie, które on znał i kochał – upadło. A on był jego ostatnim papieżem.

© EDWARD AUGUSTYN

REKLAMA



NIE MA BLIŻSZYCH SOBIE RELIGII I NIE MA TRUDNIEJSZEJ HISTORII

CHRZEŚCIJANIE WOBEC ŻYDÓW. OD JEZUSA
PO INKWIZYCJĘ. XV WIEKÓW TRUDNYCH RELACJI

Wyjątkowo odważna, erudycyjna, potrzebna.
W swojej najnowszej książce historyk mediewista
abp Grzegorz Ryś w niezwykle sposób ukazuje relacje
chrześcijańsko-żydowskie w starożytności i wiekach średnich.

PREMIERA KSIĄŻKI I SPOTKANIE

z abp. Grzegorzem Rysiem, Marianem Turskim i Markiem Zajacem

Środa, 18 stycznia, godz. 18.00,

Muzeum POLIN, ul. Mordechaja Anielewicza 6, Warszawa

PARTNER:

TYGODNIK
POWSZECHNY



MAŁGORZATA

Kordowicz: Józefi autyzm



KALIGULA CIERPIAŁ NA EPILEPSJĘ BĄDŹ schizofrenię – można dojść do takiego wniosku, czytając Swetoniusza i Tacyta. Ile warte są diagnozy medyczne stawiane postaciom historycznym? Nawet jeśli ze względu na skąpość danych są one palcem na wodzie pisane, uważam takie hipotezy za godne uwagi. Czy można w podobnym tonie „imputować” coś biblijnym herosom? Nie byli oni chodzącymi ideałami, z niekłamanym zainteresowaniem przyjąłam więc sugestię Samuela Levine’a – jurysty specjalizującego się w prawie żydowskim – iż biblijny Józef miał zespół Aspergera. Levine zauważył, że zachowanie Józefa przypomina to, co często obserwujemy u osób w spektrum autyzmu.

Trudności w rozumieniu kontekstów społecznych i w nawiązywaniu relacji z innymi ludźmi, nieprzewidywanie uczuć i reakcji innych oraz nierozumienie niuansów przy wyjątkowej błyskotliwości w wąskim polu zainteresowań – oto codzienność autysty. Mając to na uwadze, przyjrzyjmy się Józefowi. Relacjonuje on swoje sny, kompletnie nie zwracając uwagi na uczucia słuchaczy. Bracia są do niego wrogo nastawieni, zwraca się więc do ojca. Donosi na rodzeństwo, gdyż ma obsesję mówienia prawdy, przy czym nie rozumie, że to tylko pogorszy ich relacje. Gdy Jakub posyła go do pasących trzodę braci, Józef się gubi – odnajdywanie się w przestrzeni to typowa trudność ludzi w spektrum. Będąc już w Egipcie, nie rozumie intencji żony Potifara ani nie umie sobie poradzić z całą sytuacją, bierze więc nogi za pas, zostawiając swój płaszcz, który posłuży za dowód przeciw niemu. W więzieniu używa swoich wyjątkowych umiejętności, żeby wyjaśniać sny. Wcześniej jako siedemnastolatek został nazwany *naar* – dzieciak – i teraz znów mówi tak o nim podczaszy (czyżby dziecinne zachowanie połączone z ponadprzeciętnymi możliwościami intelektualnymi?). Faraon deklaruje, że słyszał, iż Józef umie wyjaśniać sny. Ten wypala, że dzieje się to poza nim, co jest ryzykownym posunięciem wobec monarchy, które można wytłumaczyć nieumiejętnością przewidzenia konsekwencji swoich czynów. Kolejny błąd: młodzieniec, niepytany, udziela rad faraonowi. Ten docenia Józefa i roztacza nad nim parasol ochronny, dając mu odpowiednie ubranie i egipskie imię oraz służbę i żonę, by o niego dbali i pomagali radzić sobie w sytuacjach społecznych. Józef rozkwita, póki nie spotyka znów braci – wówczas wraca do starych wzorców zachowań.

Nie ma znaczenia, czy to wystarczające dowody na potwierdzenie tezy – koherentnej i rzucającej nowe światło na historię biblijną. Neuroróżnorodność nie umniejsza Józefa, natomiast teoria Levine’a przysłuży się osobom, które nie są neurotypowe, i tym, którzy je wspierają. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Brzydki Kościół



POWINNIEN BYĆ PIĘKNY, ALE WCIĄŻ NIE JEST. Jeszcze pięknie, pozłociście się świeci, ale fałszywym światłem, złoto nadające Kościołowi ten blask jest fałszywe, jak fałszywy, bo zimny, jest ogień elektrycznych świec i marna jakość materiału ko-

ścielnych szat, nie mówiąc o muzyce i śpiewie czy kazaniach. Mówimy i słyszymy: Bierzcie, jedzcie, bierzcie, pijcie, a jak już przyjdzie co do czego, to ja, prezbiter, piję, a Boży Kościół co najwyżej może się obliżywać. A na oburzających się na taki stan rzeczy mamy na podporządku bat w postaci katechizmowej formułki: przecież zarówno w chlebie, jak i w winie jest cały Pan Jezus. Słowem, co innego mówimy, a co innego robimy. Powód? Za wszelką cenę chcemy nie tyle być pięknymi, czyli świętymi, a więc świadomymi swojej brzydkiej grzeszności, co pięknie, święcie wyglądać, żeby dawać jak najczęściej najpiękniejsze świadectwa i tym samym skutecznie nawracać różnej maści niedowiarków. A przy okazji, jak już się człowiek tak upiększy i ma na to dowody, choćby tłumy na kazaniu czy długie kolejki do uzdrawiania, egzorcyzmowania, zasypiania czy czegoś podobnego, to zostaje już tylko mały krok do uwierzenia, że jest najpiękniejszym z pięknych. Na szczęście Duch Święty jest nie tylko łagodnym powiewem majowego wiatru, ale również ogniem i potrafi pozłocić szczęśliwcom dobrze dopiec. Ma na służbie dziennikarzy, którzy nawet ojca świętego nie oszczędzają.

„Każdy papież ma swoje mocne strony (...) Chciałbym mówić o mocnych stronach pontyfikatu [Franciszka], dziennikarzom pozostawiam mówienie o brakach, które również istnieją i stają się oczywiste w miarę wydłużania się pontyfikatu. Mimo to mam nadzieję, że z woli Boga uda nam się utrzymać tego papieża jeszcze kilka lat. (...) Franciszek jest papieżem ewangelicznym, nie w sensie konfesyjnym, ale w pierwotnym znaczeniu tego słowa. Absolutnym priorytetem dla niego nie jest doktryna, lecz Ewangelia, żywe orędzie Boga Ojca miłosiernego (...), który przyjmuje, akceptuje, przebacza i jedna wszystko w miłości. Jest to nowy ton, który jest dobry dla Kościoła, ale który nie wszystkim się podoba, a także bywa źle rozumiany jako relatywizm” – mówi kard. Walter Kasper.

Zaraz na początku posługi Franciszek powiedział, że Kościół jest szpitalem, i to polowym. Co to znaczy, wystarczy popatrzeć na Ukrainę. W ciemnej i zimnej piwnicy, na skleconym naprędce stole, w brudzie i smrodzie upapranego krwi lekarze robią swoje. Ale właśnie to „robią swoje” jest prawdą tego, co tam się dzieje, i prawdą tego potwornego miejsca, w którym się dzieje, a jeśli prawdą, to i piękną, i dobrem. Tak, tutaj te wielkie słowa mają sens. Kościół-szpital pełen grzeszników – piękny. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Traditio – reditio

Trzeba wciąż
doskonalić się
w pokoju ducha.

Z APOFTEGMATÓW
OJCÓW PUSTYNI



Najbardziej niespokojne
jest życie tych, którzy
zapominają o przeszłości,
odrzucają teraźniejszość
i boją się przyszłości.

SENEKA



JEDYNY PRAWDZIWY „mechanizm” ewangelizacji: „przyjąłem – przekazuję”. Wielokrotnie formuluje go św. Paweł: „Przekaza-

łem wam na początku to, co przyjąłem: że Chrystus umarł – zgodnie z Pismem – za nasze grzechy, że został pogrzebany, że zmartwychwstał trzeciego dnia, zgodnie z Pismem: i że ukazał się Kefasowi” (1 Kor 15, 3-8; podobnie o ustanowieniu Eucharystii – zob. 1 Kor 11, 23nn.).

Ostatnio Liturgia przyniosła nam pełny opis tej zasady, zawarty w pierwszych czterech wersetach Pierwszego Listu św. Jana. „Uczeń, którego Jezus kochał”, wymienia najpierw drogi, na których dokonuje się *traditio*: usłyszeliśmy, ujrzeliliśmy i dotykaliśmy naszymi rękoma (w. 1). Zwykle zwracamy uwagę jedynie na to, co słyszymy i widzimy od Boga (Słowo i Działanie Boże). Jan dodaje „dotyk”. To ważne. Dotykamy tego, co staje nam się bliskie. Dotknięcie podkreśla też realizm tego, co widzimy – niedowierzającym uczniom w wieczniku Zmartwychwstały Pan mówi: „Dotknijcie się Mnie i przekonajcie: duch nie ma ciała ani kości” (Łk 24, 39). Widzimy Słowo, które stało się Ciałem; dotykamy Słowa, które stało się Miłością! Bo tylko Słowo, które kocha, daje się dotknąć i samo nie boi się dotykać (por. Mt 8, 3; Mt 17, 7; Mk 5, 27 i in.). Takie więc są trzy drogi *traditio*: Słowo, Osoba/Czyn i Bliskość; po naszej stronie: słuch, wzrok, dotyk.

Reditio również dokonuje się na trzech drogach: zaświadczaemy, oznaj-

miamy, oferujemy współuczestnictwo (w. 2 i 3). Jeśli się bliżej przyjrzeć, owa druga triada ściśle komponuje się z pierwszą. W jaki sposób możemy przekazać wiarę innym?

Po pierwsze przez świadectwo. Jest ono tym, co drugi może zobaczyć. Nazywane jest „początkiem ewangelizacji” – i słusznie! Skoro jest zaskakujące, rodzi u adresata pytania. Jeśli zostaną one zadane, otwiera się przestrzeń dla głoszenia/przepowiadania. Słowo to wykład; świadectwo to przykład. Słowo to „kazanie”; świadectwo to „ukazanie”. Słowo bez świadectwa pozostaje teorią. Dzięki nim przesłanie dociera do uszu i oczu adresata – jego wiara może się urodzić, dzięki temu, co słyszy i widzi. Ale to nie koniec! Zainicjowana wiara może się rozwijać jedynie we wspólnotcie. Z uszu i oczu Prawda potrzebuje zejść na poziom serca – miłości; a tej doświadcza się w rzeczywistej wspólnotcie. Ten, kto daje świadectwo i przekaz, ale nie daje wspólnoty – daje za mało. I dlatego Jan zamyka proces *reditio* zaproszeniem do doświadczenia wspólnoty (grec. *koinonia*). Jest to ostatecznie wspólnota nie tylko z wierzącymi siostrami i braćmi, ale też „z Ojcem i Jego Synem, Jezusem Chrystusem” (w. 3). To jest dopiero punkt dojścia: czym innym jest wiedzieć wiele o Bogu, a kompletnie czym innym pozostawać z Nim w bliskiej i życiodajnej relacji.

Tak więc: by przyjąć wiarę, potrzebujemy wzroku, słuchu i dotyku; i by ją przekazać, potrzebujemy świadectwa, słowa i wspólnoty. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (15 – 22 I)

2. niedziela zwykła: Iz 49, 3. 5-6;

Ps 40; 1 Kor 1, 1-3; J 1, 29-34;

Poniedziałek: Hbr 5, 1-10; Ps 110; Mk 2, 18-22;

Wtorek: Hbr 6, 10-20; Ps 111; Mk 2, 23-28;

Środa: Hbr 7, 1-3. 15-17; Ps 110; Mk 3, 1-6;

Czwartek: Hbr 7, 25 – 8, 6; Ps 40; Mk 3, 7-12;

Piątek: Hbr 8, 6-13; Ps 85; Mk 3, 13-19;

Sobota: Hbr 9, 1-3. 11-14; Ps 47; Mk 3, 20-21;

3. niedziela zwykła: Iz 8, 23b – 9, 3;

Ps 27; 1 Kor 1, 10-13. 17; Mt 4, 12-23.

Wybrał PIOTR SIKORA

STARE HISTORIE Z NOWYM ŻAREM

Ramy naszego życia politycznego są jak budynki na terenach sejsmicznych.

Nawet jeśli się chwieją,
są w stanie przetrwać solidne trzęsienie ziemi.
A jednak ten rok może się okazać zaskakujący.

JAROSŁAW FLIS



ADAM BURAKOWSKI / REPORTER

*Sala posiedzeń Sejmu.
Warszawa, 2 stycznia 2023 r.*

NASZE ŻYCIE POLITYCZNE OPARŁO SIĘ zarówno covidowi, jak i rosyjskiej inwazji na Ukrainę, liczącej miliony fali uchodźców, inflacji oraz kryzysowi energetycznemu – i coraz trudniej sobie wyobrazić, co mogłoby je tak naprawdę wywrócić. Jednak poza samą konstrukcją wiele elementów jest niestabilnych i kruchych, a to sprawia, że spora doza niepewności jest nieodzowną częścią naszej polityki. Spodziewajmy się więc mocnych tąpnięć.

W sprawach najwyższej wagi wiele się może zdarzyć jeszcze przed październikowymi wyborami do parlamentu – niczego im nie ujmując, lecz uświadamiając sobie ich realne znaczenie. Rozstrzygnięcia w wojnie za naszą wschodnią granicą, oby jak najlepsze i najszybsze, wymienić

tu trzeba na pierwszym miejscu. To, jak przeżyjemy zimę, jak sobie z nią dadzą radę Ukraińcy i reszta Europejczyków, co się stanie z cenami i jak one wpłyną na gospodarkę i bezrobocie – każda z tych spraw z osobna jest elementem, którego wpływ na polityczną równowagę może być decydujący.

Nowe linie podziałów

Nie sposób przewidzieć, jak się potoczą wymienione sprawy, ale przynajmniej wiadomo, jak wygląda równowaga, na którą miałyby one wpłynąć. W obecnych warunkach można podejrzewać, że nie dojdzie do radykalnego przekształcenia naszej sceny politycznej, ale tylko dlatego, że ona już się mocno zmieniła. Bardzo wyraźną strukturą jest nowy podział polityczny, daleki od tradycyjnej w Europie dychotomii: prawica-lewica. Zastąpił ją inny układ, nazwijmy go „góra-dół”. „Góra”, reprezentowana w znacznej mierze przez główny nurt opozycji, połączyła to, co kiedyś było modelowym prawicowym podejściem do ekonomii, czyli wiarę w nieskrępowaną przedsiębiorczość i sceptycyzm względem transferów socjalnych, z niegdyś lewicową agendą społeczną: niechęcią do zastanych wzorów życia rodzinnego i tożsamości. „Dół”, reprezentowany przez koalicję rządzącą, połączył dwa inne przeciwległe bieguny – wiarę w siłę interwencji państwa w obszarze gospodarki, w szczególności widzianą jako pomoc ludziom mniej zamożnym, z przywiązaniem do tradycji, rodziny i narodu.

„Dolna partia” od siedmiu lat jest górą, ale pomimo potencjalnie szerszej społecznej bazy znalazła się dziś w sondażowym dołku. Została tam zepchnięta nie przez takie, a nie inne ideowe wybory, lecz przez standardowe przypadłości osób sprawujących władzę – nieudolność, nieuczciwość i kłótniowość. Już Konfucjusz twierdził, że ludzie potykają się nie o góry, lecz o kretowiska.

Sondażowy dołek PiS nie jest jednak aż tak głęboki, by niewyobrażalne okazało się wygrzebanie z tych kłopotów. Do wyborów jest jednak coraz mniej czasu, problemów zaś rządzącym raczej przybywa, niż ubywa. Jeden z nich udało się odsunąć na później, lecz on właśnie jest dobrym przykładem słabości tego obozu. Chodzi o kalendarz wyborczy. Lista zagrożeń organizacyjnych, lecz przede wszystkim politycznych, które wynikały z koincydencji wyborów parlamentarnych i samorządo-

wych, była bardzo długa. Problemy z frekwencją oraz zmiany sympatii politycznych pod wpływem sąsiadujących z sobą wyborów lokalnych i krajowych, zdublowane kandydatury, przemieszanie wydatków na kampanie, problemy z rekrutacją członków komisji – to tylko te najważniejsze. Cały ten chaos był jednak zasługą władz naszego kraju, konkretnie efektem złej decyzji sprzed czterech lat i ignorowania już wtedy zgłaszanych ostrzeżeń. Zagrożenie to zostało zażegnane w najgłupszy z możliwych sposobów – kolejnym wydłużeniem kadencji samorządu. Dodatkowo skutkującym nieuchronną już kolizją z eurowyborami, co tylko potwierdza słabość PiS.

Rządzący bali się wyborów lokalnych przed krajowymi, bo klęska w tych pierwszych (PiS w samorządach radzi sobie gorzej niż w walce o parlament) mogłaby wpłynąć demotywująco na ich elektorat, a wzmocnić ten opozycyjny. Jednak przełożenie na przyszły rok wyborów samorządowych jest również korzystne dla opozycji. Zwłaszcza w sprawie, której poświęca ona teraz najwięcej uwagi – ostatecznej wyborczej konfiguracji. Liczba list, w które powinny się pogrupować cztery główne siły przeciwne PiS, jest walkowana od wielu miesięcy i z tą niepewnością pozostaniemy pewnie przez kilka następnych. Nie wiadomo, czy rzecz się rozstrzygnie w marcu, czy w lipcu, lecz jedno jest pewne – rozstrzygnąć się musi przed jesiennymi wyborami.

Rządy bandy czworga

Najmniej pewne są losy tych, których istotne miejsce na krajowej scenie nie jest dobrze „wygrzane” – zajmują je od niedawna bądź dotąd siedzieli większym na kolanach. Problem dotyczy zresztą wszystkich obozów. Ważą się losy Solidarnej Polski i jej sojuszu z PiS. Wewnętrznie niespójna Konfederacja przeżywa zmianę przywództwa w jednej z dwóch głównych frakcji, publicznie podnosząc wzajemne oskarżenia. Ruch Hołowni utrzymuje się na trzecim miejscu sondaży, lecz jego poparcie w roku 2022 zauważalnie się zmniejszyło. Z kolei oddanie przez Jarosława Gowina przywództwa w jego autorskiej partii jest próbą wyjścia z niebytu, odkąd wyszło na jaw, iż najwyraźniej nikt po opozycyjnej stronie nie cieszy się z jego opuszczenia obozu rządowego na tyle, by witać go z otwartymi ramionami na własnych listach.

→ Również przekonfigurowana Lewica, mimo że jakoś otrząsnęła się po zeszłorocznych pęknięciach, nie pogłębia swojej integracji i nie idzie własną drogą, tylko deliberuje nad wspólnym startem z coraz bardziej rozpychającą się w jej stronę Platformą. Zaplecze partii Razem jest bardzo dalekie od entuzjazmu w sprawie łączenia się z PO, ale inaczej jest w środowisku dawnego SLD. Przy okazji partia Tuska przytula kolejnych rozłamowców z tej grupy, wypchniętych przez konflikt z Włodzimierzem Czarzastym. Idą tam, bo lewicowych przyczółków jest już w PO bardzo dużo.

Te liczne rozchwywania nie zmieniają jednak faktu, że zasadniczy zręb sceny politycznej w Polsce stanowią cztery „pełnoletnie” partie, już od dwudziestu lat zdobywające mandaty posłów, burmistrzów i radnych. Ci ostatni będą się przyczyniać do stabilizacji pozycji PiS, PO, PSL i post-SLD w najbliższych wyborach sejmowych, bo pewnie mocniej niż w przeszłości zaczną zabiegać o miejsca na tych listach. Tacy kandydaci zawsze chętniej są widziani i sami się widzą w formacjach, które rosną w siłę i spodziewają się nowych mandatów, niż w tych szykujących się na straty. Z drugiej strony przesunięcie wyborów samorządowych na później ma też ten efekt, że formalnie zabiegając o miejsca w parlamencie, radni będą gromadzić na wszelki wypadek kapitał, który pomoże im utrzymać samorządowe mandaty w kolejnym roku. Tu zasadniczy wzór – wedle którego partie w wyborach sejmowych potrzebują na listach setek lokalnych „naganiaczy”, najlepiej z jakimś politycznym dorobkiem – na pewno się nie zmieni, co najwyżej jeszcze wzmocni. Nie zmieni się też to, że taki zaciąg będzie z bardzo mieszanymi uczuciami przyjmowany przez dotychczasowych posłów. Szczególnie w sytuacji, gdy ich własna pozycja na listach może być wystawiona na próbę także przez uzgodnienia koalicyjne.

Stare partie niby mają już przeciwiczone jakieś praktyki łagodzenia takich pułapek, jednak wszystkie stają się w coraz większym stopniu ugrupowaniami łączącymi różne grupki i partyjki, nie gardzą też politycznymi outsiderami. To wszystko jeszcze bardziej komplikuje sytuację na listach. Nie ma zatem pewności, czy z wewnętrznymi napięciami stare partie poradzą sobie lepiej niż mniej zakorzenieni konkurenci – Polska 2050 i Kon-

Powtarzana w kółko narracja rządzących o ich rozlicznych sukcesach

oraz oczywistej przewadze obozu „propolskiego” nad opozycyjnymi „zdradzieckimi nieudacznikami” nie trafia do serc ogółu Polaków.

federacja. Zwłaszcza że konkurencja wewnątrz listy jest dla osobistego sukcesu polityka ważniejsza od tej między listami.

Jedno pozostanie po staremu. Mimo manewrów wokół Krajowego Planu Odbudowy (i pogłosek o próbach chwilowego zastąpienia przy tej okazji Solidarnej Polski PSL-em), w tej „bandzie czworga” PiS jest bezapelacyjnym samotnikiem. Pozostała trójka całkiem mocno trzyma drugi koniec liny w zmaganiach z rządzącymi. Nie jest to jednak tak oczywista polaryzacja, jak chcieliby ją widzieć najgorzalsi przeciwnicy obozu rządowego. Oni bowiem – paradoksalnie – robią wrażenie, jakby ich ideałem była dokładnie taka sama partia, jaką stworzył Jarosław Kaczyński. Gdzie pozycja kierownictwa jest wystarczająco silna, by nikt nie podważał nawet najbardziej karkołomnych politycznych zwrotów.

SUV czy stary diesel?

Takie tęsknoty przynoszą jednak skutki odwrotne do zamierzonych, a widać to zwłaszcza po głosach domagających się zjednoczenia opozycji. One są najdonioślejsze w przypadku osób o jednoznacznych „górnym” poglądach, uważających np. swą niechęć do transferów socjalnych za racjonalny pogląd na świat, po prostu. W tej ich racjonalności, obejmującej też (deklarowaną) otwartość i tolerancję, zdecydowanie nazbyt często nie mieści się przypuszczenie, że ktoś może mieć godny szacunku i rozważenia, ale odmienny światopogląd. Że czyjaś diagnoza rzeczywistości może być też interesująca, a może nawet trafniejsza od tej, która jest oczywistością w ich środowisku. A wynikająca z tej diagnozy „terapia” byłaby może nawet skuteczniejsza, tyle że naruszyłaby interesy własnego środowiska.

Przykład? Być może z ekologicznego punktu widzenia równie ważne, co tę-

pienie starych diesli (ich właściciele często nie stać na lepsze auta), byłoby zniechęcanie klientów do kupowania nowych SUV-ów z ich potężnymi silnikami, choćby przez ich drakońskie opodatkowanie. Lecz trudno to roztrząsać, gdy połowa gości na imieniny przyjechała do nas właśnie SUV-ami (choć nie jeżdżą w ogóle w terenie, tylko po miastach), nikt zaś starym autem. Samemu niełatwo dostrzec, iż postrzeganie rzeczywistości to efekt osobistej sytuacji oraz otoczenia, które filtruje informacje tak, by pasowały do ułożonego w głowie obrazka.

Pomimo stałych prób, opozycyjny (w tym medialny) „mainstream” nie jest jednak w stanie wypchnąć z szerokiego obozu tych, którzy mają odmienne zdanie. Czy to w sprawach ekonomicznych, jak partia Razem, czy obyczajowych, jak PSL. Ciągłe też nie jest jasne, jak w ramach przedwyborczych manewrów z całą tą asymetrią będzie chciała sobie poradzić największa siła opozycyjnego bloku i sam Donald Tusk. Czy będzie próbował, jak dotąd, ignorować problem, zapewniając mniejsze środowiska, że „jakoś to będzie”? A może zadowolony się „gonieniem króliczka”, czyli uzna, że wezwania do jedności to tylko pozory, a tak naprawdę są sposobem na zdobywanie punktów wśród tych wyborców, którzy na pewno wiedzą tylko tyle, że zagłosują przeciw PiS. Dobrym polem doświadczalnym będzie tu sprawa kandydatur senackich.

Zarazić czy zrazić?

O ile w wyborach sejmowych jedność jest tylko opcją, a za scenariuszami jednej, dwóch, trzech czy nawet czterech list można znaleźć jakieś racjonalne argumenty, to sposób wybierania senatorów żadnego pola do dyskusji nie daje. Wystawianie więcej niż jednego kandydata w którymkolwiek z okręgów jest najczystszej wody głupotą. Jednak to, jak uczestnicy starego „bloku senackiego” oraz Polska 2050 podzielią się okręgami, oczywiście już nie jest. W części z nich zwycięstwo opozycji jest pewne – już teraz ma w nich senatorów i ich kandydowanie jesienią jest dość oczywiste. W innych okręgach realnych szans na sukces nie ma, więc one nie powinny się w ogóle wliczać do bilansu sił. Okręgi chwiejne są największą zagwozdką – wiadomo, że lepiej byłoby w nich wystawić kandydatów bardziej centrowych. W szczególności promowanie tam kandydatów Lewicy zwiększa

ryzyko, że rywalizacja z kandydatem PiS skończy się niepowodzeniem. W ostatnim głosowaniu wyborcy Konfederacji, mając do wyboru kandydata PiS i Lewicy, wybierali tego pierwszego, choć przy innych opozycyjnych kandydaturach dzielili się pół na pół. Jednak pomimo tej słabości za udział Lewicy w całym bloku wypadałoby zapłacić jej jakimiś senackimi mandatami – tylko że raczej w bezpiecznych okręgach. Tu zaś będzie widać, czy PO jest skłonna osłabić swoją pozycję względem mniejszych partnerów, celem zwiększenia szans na wspólny sukces, czy postawi na własny interes.

Zwolennicy jedności argumentują, że jest ona warunkiem fali entuzjazmu, koniecznej do mobilizacji wyborców. Tylko czy aby na pewno entuzjazm wyrazistych wyborców jest zaraźliwy? A co, jeśli jest raczej „zraźliwy” – bo zniechęca wahających się albo zatrzymuje w domu ludzi niepotrafiących pojąć, jak na tej samej liście mogą być nazwiska „lewaków” z Razem i konserwatystów z PSL?

Jest jeszcze problem „matematycznej” skuteczności. Wyobraźmy sobie społeczność liczącą 16 wyborców. W ostatnim głosowaniu wzięło udział 10 z nich. Założmy, że 6 zagłosowało na partię „niebieską”, 4 na „czerwoną”. Możliwe są trzy korekty tego zachowania: przekonanie już głosujących do zmiany zdania, mobilizacja dotąd niegłosujących oraz demobilizacja głosujących. Jakie zmiany muszą zajść w elektoracie, żeby w kolejnych wyborach hipotetyczni czerwoni zwyciężyli z taką przewagą, jaką aktualnie mają niebiescy? W wariantcie przekonywania – dwóch zwolenników niebieskich musi przenieść swoje poparcie na czerwonych. W wariantcie mobilizacji – piątka z dotąd niegłosujących musi pójść do urn i poprzeć czerwonych. Widać przy tym wyraźnie, że jeden przekonany jest wart o wiele więcej niż ten zmobilizowany. Zwłaszcza że w tym drugim wariantcie odwrócenie układu sił wymagałoby frekwencji przekraczającej 90 proc., bo do 10 dotąd głosujących trzeba by dodać jeszcze 5 zmobilizowanych – czyli zagłosować musiałyby 15 z 16 potencjalnych wyborców, co jest mrzonką. Istnieje też wariant mieszany – jeden zwolennik niebieskich się zniechęca i zostaje w domu, jeden daje się przekonać i popiera czerwonych, którym przy okazji udaje się zmobilizować jednego dotąd niegłosującego. Wniosek z każdego scenariusza jest podobny: przekonywanie,

Najzagorzalsi przeciwnicy
obozu rządowego robią
paradoksalnie wrażenie,
jakby ich ideałem była
dokładnie taka sama partia,
jaką uczynił
z Prawa i Sprawiedliwości
Jarosław Kaczyński.

choć zdaje się trudniejsze od mobilizowania, jest zarazem efektywniejsze. To się nie zmieni na pewno w roku wyborczym.

Zmienić się za to może sytuacja w obozie rządzącym. Poziom zapętlenia jest w nim tak duży, że coraz trudniej nadążyć za aktualnym układem sił. W sprawie sądownictwa premier ma w wywiadzie do powiedzenia tylko tyle, że działania jego ministra sprawiedliwości pogorszyły sytuację i doprowadziły do zapaści. Z drugiej strony, ziołbryści traktują ten temat jak probierz suwerenności Polski. Prezydent chętnie odegrałby tu rolę gołębia pokoju, lecz pod warunkiem, że jego prerogatywy – i tak przecież skromne – nie zostaną uszczuplone. Na podstawie jego reakcji na próbę przeprowadzenia przez rząd zmian w sądach bez pełnej konsultacji z Pałacem, niełatwo sobie wyobrazić, dokąd – poza wielką rozróbą – może wieść ta ścieżka.

Sprawa KPO i relacji rządu z UE jest dla opozycji wygodna. Także dlatego, że sondaże na tym polu pokazują jej przewagę, gdy chodzi o stosunek wyborców do samej Unii. Jednocześnie jednak słabnięcie obozu rządzącego, nie mówiąc już o ewentualnym rozpadzie, zmniejsza motywację do jednoczenia opozycji. Nie tylko w sensie jednej listy, lecz także przekonania, że każdy z czterech jej obecnych podmiotów będzie miał prawo weta w ewentualnej przyszłej koalicji rządowej. Jeśli opozycja wygra z dużym nadstatkiem, będzie możliwe przegłosowywanie ustaw pomimo oporu jednego z jej mniejszych uczestników tego układu. Tylko że to na razie jest dzielenie skóry na niedźwiedziu.

Kluczowa opowieść

Najważniejszą kwestią w roku 2023 pozostanie retoryka, czy jak kto woli, kluczowa opowieść. Na razie wiele wskazuje na to, że im bardziej wyrazista jest

opowieść, tym coraz mniejszy wydaje się mieć związek z rzeczywistością i tym mniej wydaje się skuteczna. Powtarzana w kółko narracja rządzących o ich licznych sukcesach oraz oczywistej przewadze obozu „propolskiego” nad opozycyjnymi zdradzieckimi nieudacznikami nie trafia do serc ogółu Polaków. Ma oczywiście swoich słuchaczy, lecz ich udział wśród głosujących jest dużo bliższy jednej trzeciej niż połowy. Politycy PiS mogą się wciąż pocieszać pierwszym miejscem w sondażowym rankingu, lecz przeliczenie poparcia na mandaty nie daje dziś już szans na utrzymanie się przy władzy. Poczuć niezwykłej moralnej wyższości i brak szacunku dla konkurencji skutecznie blokują jakiejkolwiek scenariusze pozostania przy władzy inne niż samodzielną większość.

Jednak opowieść o całkowitym błamażu rządzących i „autorytarnym reżimie”, która jest najważniejszą narracją opozycji, też ma ograniczoną liczbę wyznawców. Poparcie tworzonej przez PO Koalicji Obywatelskiej nie sięga 30 proc., i nawet doliczając Lewicę dalej nie ma wsparcia nawet dwóch z pięciu wyborców.

Fakt, co czwarty z nas chciałby zagłosować na ugrupowania, które starają się dodać jakiś niuans do czarno-białych obrazków rzeczywistości. Lecz przecież opowieści Hołowni, ludowców i konfederatów łączy tylko sceptycyzm względem podziału na dwa bieguny – „lewicowo-liberalny” i „kaczystowski”, a w ich narracjach nie ma nic przełomowego. Każda z nich jest jeszcze dalej od zdominowania serc Polaków niż te dwie główne, tak bardzo już osłuchane.

Czy zatem w rozpoczętym właśnie roku politycy znów będą nam serwować te same nawijki, tylko przedstawiane z jeszcze większym żarem, z pewnością niezachwianą przez najbardziej nawet oczywiste fakty? Uniknąć tego pewnie się nie da. Lecz ciągle pozostaje nadzieja, że pojawi się tu coś nieprzewidzianego – opowieść, która nie tylko chwyta za serce, lecz łapie też kontakt z codzienną rzeczywistością. Może nie będzie jej serwowala przemijająca efemeryda (w rodzaju Palikota, Petru czy Kukiza), lecz coś wartościowego zrodzi się w dobrze już nam znanych ugrupowaniach?

Jest to mało prawdopodobne, ale niech ta nadzieja jeszcze w nas nie umiera.

© JAROSŁAW FLIS

Nie państwa sprawa

STEFAN SĘKOWSKI

Panoszenie się polityków w publicznych spółkach sprawia, że coraz częściej do głowy przychodzi myśl: a może by to wszystko sprywatyzować na cztery wiatry?

NIE MA TYGODNIA, BYŚMY NIE SŁYSZELI o kolejnych milionach wyrzucanych przez spółki Skarbu Państwa w błoto. O marżach ściąganych z nas bezwzględnie przez państwowych monopolistów. O środkach przekazywanych na kampanie wyborcze polityków czy o nagrodach dla przedstawicieli władzy (Adam Glapiński, Mariusz Błaszczak) przyznawanych przez wydawnictwo Polska Press, wykupione z prywatnych rąk przez Orlen.

Żeby skończyć z podobnymi wynaturzeniami, najlepiej byłoby pozbyć się tych wszystkich pokus. Niestety diabeł tkwi w szczegółach. Dziś sprzedaż przedsiębiorstw państwowych budzi raczej ponure skojarzenia. Jan J. Zygmuntowski z Polskiej Sieci Ekonomii pisze na Twitterze, że „W reakcji na betonowanie #SSP znowu słychać piewców prywatyzacji. Skończone twarze (np. Petru) liczą, że ugrają syte bonusy za sprzedaż zagranicznej korporacji. A dla normalnych ludzi to żadna różnica, czy skubie partyjniak, czy prywaciarz. Jedyną różnicę zrobi społeczny nadzór!”.

Wyjście ze skansenu

Abstrahując od idealizowania rad pracowniczych czy spółdzielczości przez cytowanego naukowca – które mają też swoje plusy – tego typu wypowiedzi wpisują się w negatywną opinię Polaków na temat prywatyzacji, choć w sumie nie wiadomo, jak bardzo rozpowszechnioną. Od lat nie przeprowadza się sondaży na ten temat, bo nie ma o czym dyskutować – prywatyzacja wyhamowała mniej więcej dekadę temu, jeszcze za rządów PO-PSL, a już ostatecznie za PiS (z wyjątkami). Wiadomo jednak, że w latach transformacji Polacy stawiali się jej coraz bardziej niechętni. Jeszcze w 1990 r. 43 proc. ankietowanych przez CBOS uważało, że jest ona korzystna dla gospodarki,

innego zdania było raptem 8 proc. Dekadę później dobrze oceniało ją 20 proc., a źle – 33 proc. Późniejsze szacunkowe badania pokazują, że ten trend się raczej utrzymywał. Jednocześnie większość Polaków uważa prywatyzację za proces, który może i był bolesny, ale jednak konieczny (badanie CBOS z 2015 r. dla Ministerstwa Skarbu).

Można powiedzieć, że ludzie wraz z urzeczywistnianiem postulatu, popieranego początkowo przez całą scenę polityczną (jeszcze w 1991 r. Jarosław Kaczyński wzywał do przyspieszenia procesu!), lepiej widzieli, jak to realnie wygląda – i stąd rosnąca niechęć. Z drugiej strony wiedza na temat tego, jak wyzbywano się własności państwowej, brała się często z anegdot lub głoszonych przez polityków podczas kampanii wyborczych tyrad o „wyprowadzanie majątku narodowego”. W latach 90. i na początku XXI wieku wpływ na te opinie miały też inne czynniki: wysoka inflacja i koszty walki z nią, kryzys gospodarczy na Dalekim Wschodzie i w Rosji oraz powolna budowa kapitału prywatnego, który zatrudniałby bezrobotnych.

Sama prywatyzacja przyniosła jednak duże korzyści całej gospodarce. Część największych przedsiębiorstw funkcjonujących w Polsce, takich jak Volkswagen Poznań, ArcelorMittal czy Budimex, powstała właśnie na bazie prywatyzowanego majątku (fakt, sprzedawanego często inwestorom zagranicznym). Zastrzyk kapitału i *know-how* pozwoliły wielu z nich przetrwać nie jako skanseny peerelowskiej gospodarki, ale nowoczesne podmioty.

Jak wynika z badań dr. hab. Jana Hagemeyera z Uniwersytetu Warszawskiego i jego współpracowników, do 2017 r. przetrwało ok. 70 proc. badanych przez nich sprywatyzowanych firm, więcej niż przedsiębiorstw zakładanych w tym okresie od zera. Można więc mieć różne obiekcje co



do procesów przemiany własnościowej, ale bez niej polska gospodarka nie wyszłaby z komunistycznego zacofania.

Dziś warto wrócić do prywatyzacji z nowych powodów. Przede wszystkim przedsiębiorstwa państwowe trzeba pozbyć garbu, jakim jest polityczny nadzór. Powoduje on, że spółki są drenowane z zasobów na cele partyjne i zmuszane do realizowania polityk, które są szkodliwe i dla nich, i dla ich klientów. Ich upartyjnienie jest wręcz szkodliwe dla demokracji. Pamiętajmy też, że prywatyzacja nie oznacza, iż firmy te przestaną istnieć. Zmienia właściciela, który będzie chciał na nich zarabiać, zapewne podejmując bardziej racjonalne decyzje.

Drugi powód to dbanie o konkurencję w polskiej gospodarce. Są nadal branże, takie jak paliwowa czy energetyka, w których przez państwowy quasi-monopol nie możemy liczyć na dobrej jakości usługi. A po trzecie, dzięki sprzedaży części firm można pozyskać środki na istotne inwestycje w tych spółkach, które przy państwie zostaną – choć na to akurat trzeba uważać, bo w przeszłości politycy już nie raz pokazali, że lubią wykorzystywać środki pozyskane z prywatyzacji do łatania dziur budżetowych.

Sprzedajmy połowę

Na początku naszej drogi do kapitalizmu w gestii państwa były tysiące przedsię-



ANDRZEJ IWANCUK / REPORTER

Briefing prasowy Daniela Obajtka, prezesa PKN Orlen. Warszawa, 3 stycznia 2023 r.

biorstw. Dziś Skarb Państwa ma udziały w 431 spółkach, z czego w 212 większościowe lub stuprocentowe. Część z nich jest w likwidacji bądź upadłości, jednak z drugiej strony należy doliczyć do nich także spółki zależne.

Państwo mogłoby się spokojnie obyć bez wielu z nich. Zwłaszcza że dziś zajmuje się gramiami losowymi, hotelarstwem, futrzarstwem, produkcją ceramiki czy opakowań. To bardzo użyteczne branże, ale łączy je to, że wcale nie muszą być państwowe. Część z tych spółek jest już zresztą częściowo prywatna, a państwo ma w nich mniejszościowe udziały; zdarza się, że wręcz poniżej promila. To nie rzadko tzw. resztówki prywatyzacyjne, pozostawione tylko po to, żeby umożliwić kolejnym decydom politycznym umieszczanie swoich ludzi w ich radach nadzorczych lub zarządach. Takich firm można pozbyć się bez żalu.

Inną kategorią są spółki córki i spółki wnuczki, których wianuszek obrasta wiele większych przedsiębiorstw. Zajmują się ochroną, administracją, a nawet dostarczaniem jedzenia. Te spółki powstawały często w celu outsourcingu usług świadczonych na rzecz spółki matki, choć niejednokrotnie taniej byłoby je zamówić na wolnym rynku. Zdarzało się też inny powód ich powoływania. Gdy obowiązywała jeszcze dawna tzw. ustawa kominowa, spółki wnuczki

tworzono po to, by ominąć ograniczenia dotyczące zarobków członków zarządów firm państwowych, ponieważ tam ustawa nie obowiązywała. I z tymi przedsiębiorstwami możemy pożegnać się bez uronienia jednej lzy.

Sytuacja robi się bardziej skomplikowana, gdy zaczynamy zastanawiać się nad dużymi firmami. 32 z nich są wpisane na listę spółek o istotnym znaczeniu dla gospodarki państwa. Większość z nich ustawa o zasadach zarządzania mieniem państwowym (uchwalona za rządów PiS) wymienia wręcz z nazwy pośród tych, których akcji państwo nie może sprzedawać. Działają w bardzo różnych branżach – od paliwowej (Orlen i Lotos), przez energetykę (PGE, Enea, Tauron i Energa), górnictwo (JSW i KGHM), bankowość (PKO BP), ubezpieczenia (PZU), aż po budownictwo (Polski Holding Nieruchomości) czy gry losowe (Totalizator Sportowy). Tak szeroki katalog spółek „nieprywatyzowalnych” jest pochodną etatystycznej doktryny gospodarczej PiS. Nie ma jednak powodu, by z góry zakładać, że prywatne mogą być tylko firmy „nieistotne” z punktu widzenia gospodarki (inaczej musielibyśmy upaństwić np. piekarnie). Dlatego część z nich z powodzeniem można sprzedać, zwłaszcza że większość z nich ma i tak prywatnych współwłaścicieli.

Nie ma specjalnego powodu, dla którego państwo miałyby się zajmować budową i wynajmem biurów, prowadzeniem uzależniających psychicznie gier losowych czy produkcją żywności. Takie firmy jak PHN, Totalizator Sportowy albo założona w ubiegłym roku na bazie istniejących już przedsiębiorstw Krajowa Grupa Spożywcza – mogłyby zostać sprzedane.

Kontrowersje może za to wzbudzać sprzedaż firm ubezpieczeniowych i banków. Pamiętamy jednak, że prywatyzacja w polskim sektorze finansowym nie jest niczym nowym. Takie spółki jak PZU czy PKO BP są już częściowo w prywatnych rękach (choć państwo ma nad nimi z różnych powodów kontrolę), a Bank Pekao (dziś, po „repolonizacji” za rządów PiS, spółka córka PZU i PFR) był przez kilkanaście lat częścią włoskiej grupy UniCredit.

Nie ma też żadnego powodu, by twierdzić, że państwowy właściciel co do zasady lepiej zabezpieczy interesy swoich klientów niż prywatny. To przecież PKO BP udzieliło kredytów frankowych o największej wartości, które do dziś są ogromnym ciężarem dla tysięcy polskich rodzin. Jeśli natomiast ktoś chciałby użyć argumentu o konieczności wspierania państwowych inwestycji kredytami z publicznych banków, to spieszę przypomnieć, że mamy od tego specjalną instytucję – Bank Gospodarstwa Krajowego. Słowem, bankowość nie musi być państwowa i nie dotyczy to tylko jej największego gracza, ale także mniejszych, jak Pekao, Bank Ochrony Środowiska czy Bank Poczty.

Fatalne inwestycje

A co z energetyką? W zdecydowanej większości jej wytwarzanie i dystrybucja należy dziś do państwa. I być może dlatego grozi nam realny *blackout*, gdyż przestarzałe instalacje nie nadążają za produkcją prądu. Dzieje się tak, bo politycy od lat zmuszają firmy energetyczne do ładowania pieniędzy w nieopłacalne inwestycje, takie jak choćby zakup nierentownych kopalń (je także można sprzedać bądź zlikwidować) albo rozbudowa Elektrowni Ostrołęka, która przyniosła ponad miliard złotych strat.

Tego typu wydatki utrudniają rozwój całej branży. Gdyby sprzedać choć część firm w prywatne ręce, sektor działałby zapewne dużo lepiej. Zresztą w Polsce proces jego prywatyzacji już trwał, czego efektem

→ są spore udziały prywatnych akcjonariuszy w firmach produkujących energię. Za rządów PO-PSL jednak wyhamował, a potem wręcz zaczął się cofać, gdy (już w czasach PiS) odkupiono od francuskich EDF i Engie wcześniej sprywatyzowane elektrownie. Ale jeśli nawet produkcję uznamy za zbyt strategiczną, to sprywatyzować można przynajmniej dystrybucję energii. Dziś teoretycznie mamy w tym zakresie wolny rynek, ale jest on zdominowany przez państwowe spółki.

Istnieje oczywiście ryzyko, że spółki energetyczne mogą wpaść w niepowołane ręce, które nagle zgasiłyby nam światło. Tego można jednak przypilnować dzięki odpowiedniej osłonie wywiadowczej prywatyzacji, a późniejszą działalność nadzorować różnymi regulacjami. No i nie należy wyzbywać się całego sektora; ręka drży zwłaszcza przy pisaniu o prywatyzacji Orlenu. Żle byśmy wyglądali, gdyby nagle okazało się, że brakuje nam paliwa. Najwyraźniej jednak nie obawia się tego sam PiS, skoro sprzedał Saudi Aramco 30 proc. udziałów w rafinerii Lotosu, węgierskiemu MOL-owi zaś setki stacji benzynowych, co było warunkiem połączenia z Lotosem. Najwyraźniej da się więc sprzedawać aktywa z tej branży przy jednoczesnym zachowaniu pewnych bezpieczników.

W kwestii dużych spółek można także przynajmniej pomyśleć o prywatyzacji firm transportowych, takich jak PKP, PKP Cargo czy LOT. Jeśli obawiamy się, że prywatne spółki kolejowe nie będą chciały obsługiwać nierentownych kursów, państwo może im je zlecać. Wiele potężnych linii lotniczych na świecie także jest prywatnych, choćby British Airways. Zarazem infrastrukturę – tory i lotniska – trzeba zostawić jako publiczne, podobnie jak kontrolę lotów. Także w przypadku infrastruktury krytycznej, czyli przesyłu prądu, gazu czy ropy dobrze jest, gdy państwo trzyma na nich rękę.

Prywatyzacja to nie patologia.

Do 2017 r. przetrwało ok. 70 proc. sprzedanych podczas transformacji ustrojowej firm. Więcej niż przedsiębiorstw zakładanych w tym okresie od zera.

Obierzmy różne ścieżki

Ważne jest nie tylko co, ale i jak prywatyzować. Potencjalnie najłatwiej byłoby wyzbyć się „resztówek” w już sprzedanych firmach – ich większościowym udziałowcom. Co jednak ze spółkami, nad którymi mamy kontrolę?

Po upadku komunizmu sprzedaliśmy kilka tysięcy przedsiębiorstw, mamy więc spore doświadczenie. Wbrew rozpowszechnionym mitom najczęstszą ścieżką nie była wcale „sprzedaż za bezcen zagranicy”, choć rzeczywiście największe firmy kupowały często koncerny spoza kraju. Chętniej wybierano jednak leasing pracowniczy – akcje otrzymywali bądź kupowali sami zatrudnieni w firmie. Z punktu widzenia samej spółki nie była to najbardziej efektywna droga. Często udziały skupował *management* firmy, nierzadko też nowi właściciele stawiali pewność zatrudnienia nad rozwój. Niemniej część takich prywatyzacji zakończyła się sukcesem, a najbardziej znanym przykładem są prawdopodobnie Toruńskie Zakłady Materiałów Opatrunkowych, produkujące podpaski Bella. Ta ścieżka byłaby odpowiednia głównie dla współczesnych ma-

łych i średnich przedsiębiorstw, zwłaszcza specjalistycznych.

Przedsiębiorstwa duże można sprzedawać bezpośrednio inwestorom strategicznym, ponieważ po trzech dekadach budowy kapitalizmu w naszym kraju dorobiliśmy się już sporych firm, które mogłyby być tym zainteresowane. To zresztą, jak wynika z dotychczasowych sondaży, rozwiązanie najbliższe sercom Polek i Polaków. Najczęściej w grę wchodziłoby jednak prawdopodobnie zagraniczni inwestorzy, ponieważ nadal górują nad nami kapitałowo. Nie trzeba się tego obawiać, tylko działać rozsądnie.

Po pierwsze, z badań ekonomistów (np. Romana Frydmana i jego współpracowników) wynika, że tak prywatyzowane spółki radziły sobie później relatywnie najlepiej. Po drugie, poza ewidentnymi wrogami przejęciami, którym można zapobiec stosując szereg środków (okresy przejściowe, prawo pierwokupu albo „złote akcje”, umożliwiające blokowanie decyzji niekorzystnych dla interesu publicznego, mimo zachowania przez państwo mniejszościowych udziałów), pamiętajmy, że inwestorzy biorą udział w prywatyzacjach po to, by zarobić na kupionych firmach, a nie by je zniszczyć. Poza tym akcje przedsiębiorstw można sprzedawać przecież również na giełdzie.

Mówiąc o prywatyzacji, warto pomyśleć najpierw o podstawowej zasadzie. Inaczej niż na początku transformacji, my tu nic nie musimy robić, a wszystko możemy. Dobrze byłoby jednak wcześniej odczarować samo pojęcie prywatyzacji, którą straszy się obecnie nawet dzieci, a która mogłaby stać się rozwiązaniem niektórych problemów, nie tylko gospodarczych, ale także w życiu publicznym. Im mniej posad w spółkach dla politycznych działaczy, tym lepiej dla nas i dla samego państwa.

© STEFAN SĘKOWSKI

25 grudnia 2022 r. w Krakowie, w wieku 94 lat
po długim i pracowitym życiu zmarł

Stanisław Piżl

Nasz Drogi Mąż, Ojciec, Dziadek i Pradziadek

*Zgodnie z Jego wolą ciało zostało przekazane Katedrze Anatomii
Uniwersytetu Jagiellońskiego Collegium Medicum.*

Symboliczne pożegnanie odbyło się skromnie i w gronie najbliższej rodziny.

Bognie Blankenberg

składamy wyrazy serdecznego współczucia z powodu śmierci

Ojca

Wyrazy współczucia kierujemy także do całej rodziny Zmarłego.

PRZYJACIELE Z „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”



MAREK MALISZEWSKI / REPORTER

Muzyczne przejście dla pieszych przy szkole muzycznej w Łomży. Lipiec 2020 r.

Terminatorzy

MAŁGORZATA NOCUŃ

W Polsce wyrównywanie szans młodzieży z miasta i wsi wciąż jest fikcją. Janko Muzykant prawie zawsze przegra z dzieckiem miejskim, którego rozwój od urodzenia wspierają rodzice.

MAŁGORZATA W ORGANIZACJI POZA-
rządowej zajmuje się projekta-
mi edukacyjnymi, których celem jest
wyrównywanie szans. W ostatnich la-
tach działa na terenach byłych PGR-ów,
przede wszystkim w województwach
dolnośląskim, zachodniopomorskim
i lubuskim.

– Czy historia opisana przez Sienkiewi-
cza w „Janku Muzykancie” mogłaby wy-
darzyć się dziś w Polsce? – pytam.

– Z pewnością – mówi Małgorzata.
I wyjaśnia, że dziś uzdolniony muzycz-
nie chłopiec nie musiałby oczywiście za-
kradać się do dworu, by posłuchać mu-
zyki klasycznej: wystarczy przecież włą-
czyć odpowiedni kanał na YouTube. I też
nikt nie pobiłby go na śmierć za to, że do-
tknął skrzypiec. Ale równocześnie do-
daje: – Spotkałam wiele utalentowanych
dzieci, których dziadkowie, rodzice, a cza-
sem nawet lokalny ksiądz uważali, że

rozwijanie pasji – muzycznej, teatralnej,
plastycznej, sportowej – jest fanaberią.
„Lepiej weź się w garść” – mówiono im.
W Sienkiewiczowskiej noweli wieś trak-
towała podobnie zakochanego w muzyce
Janka. Był pomyłencem, któremu „wiatr
grał w polu”. Tę dziwną pasję należało,
dosłownie, wytłuc mu z głowy. Dyskusje
o muzyce i kształceniu młodych talentów
prowadzono w pańskim dworze, eduka-
cja nie była dostępna dla dzieci wiejskich.

Musi mieć „porządny zawód”

Rodziców i dziadków zamykających się
na talent dziecka Małgorzata nazywa
„nieświatłymi”. I podkreśla: – Rodzic „nie-
światły” często wcale nie oznacza: nieza-
możny. Zdarza się, że w domu są mar-
mury, plazmowy telewizor, elektryczna
kosiarka do trawy i dwa samochody, ale
kiedy dziecko prosi, by zawieźć je na za-
jęcia pozalekcyjne do oddalonego o kilka-

naście kilometrów ośrodka kultury, opie-
kunowie pukają się w głowę. Co oferuje
im w wolnym czasie wieś, szczególnie na
terenach byłych PGR-ów? Siedzenie pod
sklepem lub remizą strażacką. Można
pluć, podłubać patykami w ziemi i pa-
trzeć, jak dorośli, często bezrobotni, ku-
pujący w sklepie „na zeszyt”, pociągają
piwo z puszek. Niedługo młodzi sami
otworzą pierwszego „browara” i zapalą
pierwszego papierosa.

Część młodzieży jednak się nie pod-
daje. Małgorzata mówi o nich „termina-
torzy”. Pasja do rysunku czy nauki języ-
ków obcych każe im wyrwać się z domu.
Czy to zima, czy słotna jesień, pół godziny
idą na najbliższy przystanek autobusowy.
W drodze powrotnej w przystankowej
wiacie spędzają nawet godzinę (autobusy
kursują tylko kilka razy dziennie). Latem
jest łatwiej, można dojechać na rowerze.

– Zupełnie wykluczone są młodsze
dzieci – mówi Małgorzata. – Dziesięciola-
tek nie pokona sam kilkunastokilometro-
wej drogi do miasta.

Na części terenów po byłych PGR-ach
w sukurs poglądom rodziców przychodzi
polityka oświatowa. Od wielu lat ograni-
cza się tam szkolnictwo ogólnokształcące
na rzecz zawodowego. Na wsi rodzice czę-
sto nie chcą, by ich dzieci zostały „huma-
nistami” czy „naukowcami”. Nie powinny
być też lekkoduchami i „bawić się” w te-
atr czy taniec. Muszą mieć „porządny” ➔

→ i „konkretny” zawód, jak ich dziadek i ojciec, czyli np. zostać elektrykiem, kierowcą tira, hydraulikiem, fryzjerką, kosmetyczką. Z takim wykształceniem można wyjechać na Zachód i zarabiać „porządne” pieniądze. Zgodnie z tym przekonaniem elektryk – w przeciwieństwie do filozofa – zawsze zarobi na rodzinę.

Michał mieszka w Bieszczadach (gmina Solina), wychowuje dwoje dzieci, czternastoletniego syna i siedmioletnią córkę. Jego syn uczestniczył w zajęciach pozalekcyjnych (basen, piłka nożna). Rodzice gimnastykowali się planując dzień. Musieli wygospodarować czas, by dowieźć dziecko do miasta.

Mężczyzna wśród otaczających go rodziców obserwuje dwie postawy. Są tacy, którzy kilka razy w tygodniu pokonują nawet 70 km (z Soliny do Sanoka i z powrotem), by ich pociechy uczyły się w szkole muzycznej. Ale są też rodzice, którzy nie zgadzają się na udział dzieci w zajęciach pozalekcyjnych. Nawet jeśli są one nieodpłatne. „A co? W domu nie mogą posiedzieć?” – irytują się.

Odkąd syn Michała uczy się w szkole średniej, coraz rzadziej może kopać piłkę po lekcjach. Droga z domu do szkoły to dystans aż 21 km. Chłopak wraca po godz. 17 i siada do lekcji. – Niestety. Na prowincji nie można wsiąść do tramwaju i w kilka minut pokonać nim drogę do centrum. Brak transportu publicznego jest naszą największą złą – mówi jego ojciec.

Kapitał społeczny, nie komputer!

Nie sposób porównać szans na dobre wykształcenie dzieci z miejskich domów i dzieci ze wsi. – To dwa zupełnie nieprzystające do siebie światy – mówi Paweł Marczewski, socjolog, publicysta, zajmujący się w Fundacji im. Stefana Batorego m.in. kwestią edukacji.

W mieście kształcenie dzieci traktuje się jako długoterminową inwestycję. Czasem nawet zbyt ambitni rodzice wyrządzają dzieciom krzywdę, nie pozwalając na chwilę relaksującej nudy. Paweł Marczewski, podobnie jak pracująca w organizacji pozarządowej Małgorzata, nie ma jednak wątpliwości: o przyszłości dziecka decyduje rodzinny kapitał społeczny. – Nawet jeśli rodzice borykają się z ubóstwem i wykluczeniem komunikacyjnym, to gdy chcą wykształcić dziecko, przeszkody te uda im się przezwyciężyć – uważa socjolog. – Oczywiście, rodzinie biednej, mieszkającej na wsi jest

Na części terenów po byłych PGR-ach w sukurs niechęci rodziców przychodzi polityka oświatowa.

Nie ma tu miejsca na bycie „humanistą”.

o wiele ciężiej zadbać o edukację potomków. Dzieci uczestniczą w dodatkowych zajęciach kosztem wyrzeczeń, takich jak skromniejsze jedzenie, ubrania, krótsze wakacje albo ich brak.

Tezę Marczewskiego potwierdzają badania przeprowadzone w czasie pandemii przez OECD („Private spending on education”). Ich celem było porównanie, jak z edukacją zdalną radziły sobie dzieci z rodzin ubogich i zamożnych. Obawiano się, że te biedniejsze (często nieposiadające nawet laptopa i uczestniczące w lekcjach przy pomocy pożyczonej od rodziców komórki) będą mieć gorsze wyniki.

– Okazało się, że lepiej radzili sobie uczniowie posiadający wsparcie rodziny. Ważniejszy okazał się nie własny komputer, tylko dom, który zaszczerpie w uczniu przekonanie, że wykształcenie jest wartością – mówi Marczewski.

Podobne wnioski można wysnuć na podstawie badania przeprowadzonego w 2019 r. przez Fundację im. Stefana Batorego. Gotowość posłania dziecka do płatnej, renomowanej prywatnej szkoły deklarowali częściej rodzice mniej zamożni. Dawali przy tym, że zdecydowaliby się na ten krok, gdyby tylko było ich na to stać...

Zdaniem Marczewskiego pierwszym ważnym testem w życiu dziecka jest egzamin ósmoklasisty. To on przesądza, czy dostanie się ono do renomowanej szkoły ponadpodstawowej. W mieście znacząca większość uczniów pobiera korepetycje – z polskiego, matematyki i angielskiego. Dodatkowe lekcje nie tylko poszerzają wiedzę, uczą także sposobu myślenia niezbędnego w rozwiązywaniu testów. Na większości polskich terenów wiejskich o lekcjach dodatkowych dzieci mogą ledwie pomarzyć. Fenomen „korków” dotarł jednak na bogatszą prowincję. Np. na podhalańskich wsiach wiele dzieci korzysta z pomocy korepetytora, by dostać

się do szkół m.in. w Nowym Targu, Zakopanem i Krakowie. OECD podaje, że wydatki rodziców na dodatkową edukację prywatną dzieci (podczas badania nie uwzględniono nauki w niepublicznych placówkach oświatowych) wynosiły w Polsce w 2019 r. 0,33 proc. PKB.

Siłaczka wbrew woli

Monika Babula, aktorka teatralna i filmowa, poczuła po czterdziestce, że chce przeprowadzić się z miasta na wieś. Wybrała Uście Gorlickie, miejsce jej bliskie – tu od najmłodszych lat spędzała wakacje. Kiedy zaczynamy rozmowę o jej pracy na stanowisku dyrektorki miejscowego Gminnego Ośrodka Kultury, Babula zaznacza: – Życie pokazało mi, że bywa ironiczne.

Jako młoda dziewczyna nie lubiła pozytywistycznych lektur. Nudziły ją opowieści o misji i poświęceniu Siłaczek oraz Judyków. Aż tu nagle okazało się, że sama trochę jest taką Siłaczką.

Uście Gorlickie to niezwykle malownicze miejsce. Osady domów zatopione w lasach, łemkowskie cerkwie. Mieszkańcy dużych aglomeracji – podobnie jak Babula – chętnie kupują tu ziemię i osiedlają się na niej. – A ja czasem mam ochotę stąd uciec – mówi z irytacją w głosie Krystyna, rdzenna mieszkanka Uścia. – W lecie do oddalonych stąd o 25 km Gorlic dojedzie się nawet rowerem, ale w zimie, zwłaszcza gdy śnieg zasypie drogi, żyjemy jak w areszcie domowym. Wtedy tylko patrzymy przez okno i jak zbawienia wyglądamy pługu. Jeśli się nie pojawi, nasze dzieci nie pójda do przedszkola i szkoły.

Monika Babula, obejmując funkcję dyrektorki GOK, wiedziała, że duża część mieszkańców Uścia jest wykluczona komunikacyjnie. Autobus z Uścia do Gorlic kursuje rzadko, w dodatku do przystanku trzeba dojechać. W młodych rodzinach wielu ojców pracuje za granicą albo w mieście, tyle że w trybie dwunastogodzinnych zmian. Matki często nie mają prawa jazdy. Zresztą nawet jeśli w domu jest auto i kierowca, to dla dziesiątek rodziców dowożenie dzieci do miasta (szczególnie kilka razy w tygodniu) wiąże się z wydatkiem nie do udźwignięcia. Babula chciała więc, by miejscowy ośrodek oferował dzieciom i młodzieży zajęcia na wysokim poziomie. Miało to być „jak w mieście”.

Zanim Babula objęła posadę, w ośrodku niewiele się działo. Dzieci mogły co najwyżej pograć w ping-ponga albo bilard.

Wieczory spędzali w domu przed telewizorem i z komórką w ręce. – Postanowiłam zafascynować je teatrem, obudzić w nich wrażliwość na sztukę i literaturę. Zorganizować naukę języka angielskiego z prawdziwego zdarzenia – opowiada Babula. – Moją pierwszą decyzją było kupno luster i drążków do ćwiczeń. Stoły do ping-ponga i bilardu wyniosłam.

Babula ze wzruszeniem czyta mowę noblowską Olgi Tokarczuk (to nią się kierowała, składając pierwszy wniosek o dofinansowanie spektaklu). W mowie pisarka wspomina m.in. swoje dzieciństwo. Mieszkała na prowincji. Literaturę, kulturę i otaczający ją świat przyrody mogła poznawać dzięki swoim rodzicom (z zawodu nauczycielom). Olga jako dziewczynka wiedziała, że nie wszyscy rówieśnicy mają podobną szansę. Otaczały ją dzieci wykluczone: pochodziły z rodzin pozbawionych kapitału społecznego i kulturowego, pogrążonych w biedzie. Dyrektorka GOK-u chciała zaprosić do współpracy przede wszystkim dzieci z rodzin podobnych do tej, w której dorastała Tokarczuk, ale także maluchy, których rodzice nie widzieli potrzeby, by ich pociechy uczestniczyły w dodatkowych zajęciach.

Na pierwsze zorganizowane przez Monikę Babulę spotkanie przyszło około siedemdziesięciu osób. Dyrektorka proponowała im realizację spektaklu rodzinnego. – W Uściu rodziny są wielopokoleniowe. Dziadkowie, młode małżeństwa i dzieci żyją pod jednym dachem. Opiekunowie, żeby zdecydować się posłać dzieci na moje zajęcia, sami musieli się najpierw przekonać, że ta moja „zabawa” w teatr ma sens: otwiera na sztukę, zapewnia kontakt z żywą kulturą – opowiada Babula. Przez dwa lata dyrektorka „docierała” do miejscowych (nie tylko z Uścia, ale i po-

bliskich gmin) posiłkując się mediami społecznościowymi. Korzystała z marketingu szeptanego. I odniosła sukces. W jej teatr zaangażowane jest aż czterdzieści osób, trzysta stanowi widownię. W salach GOK-u odbywają się lekcje języka angielskiego i zajęcia muzyczne.

Niestety, świat, w którym żyją wiejskie dzieci w Beskidzie Niskim, nie różni się tak bardzo od tego, w którym czterdzieści lat temu dorastała Tokarczuk. Babula spotkała np. uzdolnioną aktorsko dziewczynkę, wrażliwą i chętną do uczestniczenia w jej zajęciach. – Powiedziała mi, że mieszka zbyt daleko Uścia, a rodzice nie mają możliwości, by ją do mnie dowozić – mówi.

Dziecko zostało w domu.

Kto ma dzieci, ten płaci

Na wieś trafiają podobni do Babuli fani, którzy nasycili się już wielkomiejskim życiem i chcą zejść na boczny tor. Zająć się pracą społeczną. Albo ludzie młodzi, dla których praca z wiejskimi dziećmi jest możliwością sprawdzenia się, wypróbowania umiejętności zdobytych na studiach. Jeśli jednak zabraknie fanatyków, często panuje pustka. Wtedy w gminnych ośrodkach kultury i szkołach o godzinie 15 gasną światła.

Krystyna Adamenko nazywana jest w Sieniawie Żarskiej kobietą-instytucją. Organizacja pozarządowa (Fundacja Pięknolesie), którą założyła sześć lat temu, przerodziła się w przedsiębiorstwo społeczne. Dziś zatrudnia trzy osoby.

Sieniawa leży w województwie lubuskim. Centrum wioski stanowi miejscowa szkoła. Jeśli rodzice chcą, by ich dzieci uczestniczyły w zajęciach muzycznych lub sportowych, muszą dowozić je do najbliższego miasteczka – Żar.

Adamenko być może w ogóle nie zajęłaby się działalnością społeczną, gdyby szkole w Sieniawie, do której wówczas uczęszczał jej syn, nie groziła likwidacja. Rodzice postanowili zawalczyć o placówkę. – Udało nam się ją obronić. Pomyślałam: „Dlaczegożby nie robić więcej?” – opowiada Adamenko.

Założyła organizację pozarządową, której celem było zapewnianie zajęć dodatkowych dla dzieci i młodzieży. Wyspecjalizowała się w pisaniu wniosków o dofinansowanie. Składała je, gdzie tylko się dało: do Gminnego Ośrodka Pomocy Społecznej, Ministerstwa Sportu i Turystyki, Ministerstwa Edukacji i Nauki. Jako pierwsze ruszyły półkolonie i lekcje pływania. Później fundacja organizowała warsztaty teatralne, zajęcia przyrodnicze (m.in. spacerory ornitologiczne) oraz zajęcia z fizyki zwane „szalonym światem nieważkości”. Ponieważ Sieniawa przed wojną nosiła nazwę Schönwalde, nawiązano kontakty z Niemcami, a te zaowocowały polsko-niemiecką wymianą młodzieży. Zdaniem Krystyny Adamenko, na wsi wszystko opiera się na jakimś entuzjazmie, więc zajęcia pozalekcyjne dla dzieci najczęściej trzeba zorganizować oddolnie.

Jest takie powiedzenie: „Kto decyduje się na dzieci, ten za nie płaci”. Nabiera ono dodatkowego znaczenia w kontekście faktu, że na polskiej prowincji państwo wspomaga wychowanie dziecka w małym stopniu. Wyrównywanie szans uczniów z „Polski B” staje się więc zupełną fikcją, a wiejski Janko Muzykant nie ma szans w konkurencji z dzieckiem z miasta. Jeśli na jego życiowej drodze nie staną pedagogzy-zapaleńcy, pozostanie bez dobrego wykształcenia. Zostanie we wsi, wykonując proste prace, albo wyjedzie za granicę. © MAŁGORZATA NOCUIŃ

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



Gratulujemy!

Serdecznie gratulujemy
DR. WERGILIUSZOWI GOŁĄBKOWI,
wiceprezydentowi Wyższej Szkoły
Informatyki i Zarządzania

– uczelni, z którą od lat współpracujemy –
otrzymania tytułu Honorowego Obywatela
Miasta Rzeszowa.

Zespół „Tygodnika Powszechnego”

Sąd Rejonowy dla Warszawy-Śródmieścia w Warszawie zawiadamia, iż pod sygnaturą VI Ns 455/22 toczy się postępowanie z wniosku Teatru Wielkiego – Opery Narodowej w przedmiocie stwierdzenia nabycia przez wnioskodawcę w drodze zasiedzenia udziału wynoszącego 650/1000 we własności nieruchomości gruntowej położonej w Warszawie, dzielnicy Śródmieście, przy ul. Moliera 8, stanowiącej działkę gruntu oznaczoną nr. ew. 20 z obrębu ewidencyjnego 5-03-05 o powierzchni 954 m², dla której Sąd Rejonowy dla Warszawy-Mokotowa w Warszawie prowadzi księgę wieczystą nr WA4M/00064377/4, w której ujawniono jako współwłaściciela w udziale 1/1 Miasto Stołeczne Warszawę, oraz udziału wynoszącego 650/1000 we własności budynku, na który składają się lokale niebędące odrębnym przedmiotem własności oraz części wspólne niesłużące do wyłącznego użytkowania właścicieli poszczególnych lokali. Współwłaścicielami wskazanej nieruchomości są m.in. nieustaleni z imienia i nazwiska aktualni właściciele lokalu nr 42 – następcy prawni Czesława Romualda Mette (spadkobiercami którego byli Anastazja Mette, Stanisława Rębisz i Weronika Kołodyńska).

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych (właścicieli lokali), dotychczas niebiorących udziału w sprawie, a w szczególności aktualnych właścicieli wyodrębnionego lokalu nr 42, aby w ciągu trzech miesięcy od opublikowania niniejszego ogłoszenia zgłosili się w tutejszym Sądzie i wykazali tytuł prawny do wskazanej nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie Sąd może stwierdzić nabycie udziału we własności nieruchomości w drodze zasiedzenia bez ich udziału, o ile zostanie wykazane.

Referendarz sądowy w Sądzie Rejonowym dla Krakowa-Śródmieścia w Krakowie

I Wydziale Cywilnym informuje, iż w dniu 30 listopada 2022 roku w sprawie z wniosku Skarbu Państwa – Generalnego Dyrektora Dróg Krajowych i Autostrad przy uczestnictwie Justyny Suduł – kuratora dla nieznanach wierzycieli, pod sygnaturą akt I Ns 11/22/5 wydano postanowienie o zezwoleniu Skarbowi Państwa – Generalnemu Dyrektorowi Dróg Krajowych i Autostrad na złożenie do depozytu sądowego na okres dziesięciu lat kwoty 80 205,00 zł (osiemdziesiąt tysięcy dwieście pięć złotych) z tytułu odszkodowania ustalonego ostateczną decyzją Wojewody Małopolskiego z dnia 2 listopada 2021 roku znak: WS-II-7570.5.1859.2020.RG za nieruchomość o nieuregulowanym stanie prawnym, oznaczoną jako dz. ewid. nr 531/1 o pow. 0,0324 ha i dz. ewid. nr 539/1 o pow. 0,0072 ha, położoną w obr. 0003, jedn. ewid. Nowa Huta m. Kraków, powiat krakowski, stanowiącą część parceli I. kat. 220/13, objętej LWH 19 Żesławice – która to nieruchomość przeszła na rzecz Skarbu Państwa z dniem 6 grudnia 2021 roku na podstawie decyzji Wojewody Małopolskiego nr 30/2020 znak: WI-XI.7820.11.2020.MS z dnia 20 lipca 2020 r. o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej. Uprawnionym do odbioru są osoby, które wykażą prawo własności przedmiotowej nieruchomości na dzień 6 grudnia 2021 r. dokumentem świadczącym o tym, że prawo własności im przysługuje.

Referendarz wzywa wierzycieli do odbioru z depozytu sądowego przedmiotu świadczenia.

W Sądzie Rejonowym w Tychach Wydział I Cywilny pod sygn. akt I Ns 356/22 toczy się postępowanie sądowe o stwierdzenie nabycia spadku po Bernardzie Koczym (Koczy), ostatnio stale zamieszkującym w Tychach, zm. 23 października 2021 r. w Tychach.

Wzywa się spadkobierców bądź ich następców prawnych, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się do sądu, w którym toczy się postępowanie, i udowodnili swoje prawo do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o nabyciu spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Jaśle pod sygn. akt I Ns 568/16 z wniosku Stanisława Oszejka i Asekuracji sp. z o.o. w Sopocie toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Janie Tutro zm. 18 lipca 2016 r. w Jaśle, ostatnio przed śmiercią zamieszkałym w Jaśle. W skład spadku nie wchodzi nieruchomości. Spadkodawca pozostawił po sobie długi.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Chełmie I Wydziale Cywilnym w sprawie o sygnaturze akt I Ns 550/21 z wniosku Tadeusza Osiaka toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Halinie Cuckowskiej-Osiak, zm. 23 stycznia 2021 r. w Chełmie, ostatnio zamieszkałą w Chełmie.

Wzywa się wszystkie zainteresowane osoby, a w szczególności spadkobierców Haliny Cuckowskiej-Osiak, aby w terminie trzech miesięcy od dnia ogłoszenia zgłosili i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie zostaną pominięci w toczącym się postępowaniu o stwierdzenie nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym dla Warszawy-Mokotowa w Warszawie w II Wydziale Cywilnym pod sygnaturą akt II Ns 617/22 toczy się postępowanie z wniosku Miasta Stołecznego Warszawy o stwierdzenie nabycia spadku po:

1) Sewerynie Andrzej Szocie, s. Andrzeja i Grażyny, zm. 7 czerwca 2014 r. w Warszawie, i

2) Grażynie Szocie z d. Sobolewskiej, c. Romana i Heleny, zm. 27 marca 2022 r. w Warszawie, ostatnio stale przed śmiercią zamieszkałymi w Warszawie przy ul. Kazimierzowskiej 77 m. 1.

Wzywa się, aby spadkobiercy wskazanych osób w ciągu trzech miesięcy od dnia dokonania ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego dla Warszawy-Mokotowa w Warszawie i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

TOMASZ

Stawiszyński: Bóg, nauka, tajemnica



MAŁO CO NAS TAK W POLSKIEJ INFOSFERZE emocjonowało w trakcie tych wyjątkowo ciepłych świąt jak pytanie, czy nauka potwierdza czy też neguje istnienie Boga. Boga czy raczej jakiegoś transcendentnego Architekta, który w swym nieskoń-

czenie przekraczającym ludzkie miary umyśle opracował projekt wszechświata (a może nawet wszechświatów), następnie zaś, bo tak mu się podobało, powołał go (lub je) do istnienia. Z pomocą metod – dodajmy – zagadkowo niejednoznacznych, obejmujących rozliczne zawiłości i okrzęzne drogi, spośród których Wielki Wybuch albo ewolucja wcale nie plasują się w ścisłej czołówce. I z całym, by tak rzec, dobrodziejstwem inwentarza, do którego zalicza się także wszystko, co żyje – mnie i ciebie, czytelniczko oraz czytelniku, nie wyłaczając.

Powiedzmy najpierw, że niezależnie od tego, jakie w tej fundamentalnej sprawie ma się zdanie, coś istotnego przez dyskusję wokół niej toczono prześwituje. Co takiego? Postawiłbym tezę, że liczba gorących polemik lub głosów wyrażenie aprobatywnych, które wywołał pomieszczony 23 grudnia 2022 r. na łamach „Gazety Wyborczej” tekst prof. Marka Abramowicza (astrofizyka przekonanego, że studia nad kosmosem wiodą do wniosku, iż ma on Stwórcę), wskazuje, wbrew wielu socjologicznym diagnozom, że tematyka religijna budzi w nas wciąż najwyższe zainteresowanie. A nawet zaangażowanie – temperatura emocjonalna niektórych tekstów osiągała bowiem skrajne wartości. Tymczasem przecież od lat powtarza się, że społeczeństwa zachodnie podlegają procesowi sekularyzacji, wiara natomiast – a w każdym razie wiara instytucjonalna – im obojętniejsze, bo przestaje komukolwiek cokolwiek tłumaczyć czy też opisywać.

Cóż, jest to bez wątpienia – patrząc na statystyki – prawda. Nie wydaje się jednak, żeby wraz z zanikiem potrzeby tej czy innej religijnej afiliacji zanikowi ulegały również tzw. potrzeby metafizyczne. Czyli – po prostu – dość naturalne pytania, jakie każdy z nas sobie zadaje, kiedy tylko zaczyna rozumieć, jak bardzo dziwny, osobliwy, zagadkowy i tajemniczy jest w ogóle sam fakt istnienia. Nie tylko istnienia tego, co dookoła nas, ale także i tego, co – by tak rzec – w środku. A nawet, być może, zwłaszcza w środku (choć to nie jest do końca adekwatne określenie). O ile bowiem da się jakoś bez dreszczu metafizycznego pomyśleć istnienie samej materii, o tyle już refleksja nad fenomenem świadomości musi, no

po prostu musi budzić jakiś rodzaj zdziwienia przekraczającego parametry zdziwień, których codziennie doświadczamy w sprawach konwencjonalnych.

Dość szczególne położenie ma w tym wszystkim nauka. Z jednej strony bowiem okoliczność, że tradycyjne instytucjonalne religie borykają się z kryzysami, i że dla znacznej części ludzi odpowiedzi, jakich religie udzielają na fundamentalne pytania, są dziś poznawczo niewydajne – to niewątpliwa zasługa nauki właśnie. W trakcie swojej niedługiej historii metodycznie, krok po kroku, anektowała ona kolejne połacie zajmowanego przez religię terytorium. Czyniła to przy tym nie siłą, a w każdym razie nie siłą bezpośrednią (siłowe rozprawy z religią, czynione pod egidą „naukowości”, z realną nauką nie mają nic wspólnego, ale to sprawa na osobne rozważania), lecz co najwyżej siłą argumentacji oraz demonstracji własnej praktycznej skuteczności. A także, co może najważniejsze, czyniła to sięgając coraz dalej w głąb substancji świata i ujawniając w niej bezmiary przemocy oraz bezwładu – co kłóci się z dominującą wcześniej wizją harmonii stworzenia, powołanej do bycia przez harmonijny umysł Stwórcy.

Z drugiej jednak strony – niezależnie od tego, co o tym sądzą nader liczni współcześni scjentyści – nauka żadnych tajemnic istnienia wcale nie rozjaśnia, a jedynie zagęszcza spowijającą je ciemność. Po prostu: im więcej się o świecie dowiadujemy, tym bardziej on się nam – jako całość – wymyka, tym większe bowiem odkrywamy w nim osobliwości, powikłania i całkowicie przeczące naszym najgłębszym intuicjom wymiary. Wyrażnie to stwierdził w polemice z tekstem Abramowicza polski fizyk prof. Andrzej Dragan („GW”, 31 grudnia 2022), który – podobnie jak inny fizyk Victor J. Stenger, autor znakomitej książki „Bóg. Błędna hipoteza” – uważa, że z odkryć fizyki żadne teistyczne implikacje nie płyną, a być może nawet wręcz przeciwnie. Można by więc powiedzieć, że nauka tak naprawdę intensyfikuje, nie zaś neutralizuje – cytując klasyka – metafizyczne poczucie dziwności istnienia...

Otóż to, co najciekawsze, ujawnia się – moim zdaniem – właśnie tutaj. W tej niemożliwej do przezwyciężenia niejednoznaczności i niezgodzie, w sprzecznych wnioskach wyprowadzanych z tego samego zasobu przesłanek, w pragnieniu pewności zderzającym się ze źródłową niepewnością. Wreszcie – w niebywalej potędze ludzkiego umysłu poszukującego od tysiącleci odpowiedzi na fundamentalne zagadnienia związane ze swoim własnym pochodzeniem i pochodzeniem wszechświata. Umysłu, który wytworzył cywilizację i technologię, i który potrafi zagłębiać najgłębiej pod podszewkę zjawisk oraz sięgać wzrokiem daleko w przestworza, a zarazem wobec tych właśnie pytań – inicjujących całą tę jego ogromną aktywność – pozostaje fundamentalnie bezradny. I fundamentalnie nimi przejęty – czego te wszystkie gorące spory, od profesorskich katedr po grupy na Facebooku, są przecież najczystszy, przemożny dowód. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego, nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl

OTWARTA PRZESTRZEŃ ŻYCIA

A gdyby nie było żadnych moralnych powinności:
reguł, zakazów ani nakazów?
Jak by wtedy wyglądało dobre życie?

PIOTR SIKORA



WEJŚCIE W NOWY ROK TO SPRAWA umowna (w różnych kulturach Nowy Rok wypada różnie). Umowność ta jednak wskazuje na ważną dla człowieka sprawę: konieczne dla rozwoju rozpoznanie aktualnego stanu ducha i miejsca w życiu, i podjęcie próby „nowego otwarcia”, świeżego impulsu, a nawet swego rodzaju ponownych duchowych narodzin.

A duchowe narodziny „nie są skutkiem działania zewnętrznego, lecz zależą od wolnego wyboru. Tak więc w pewnym sensie sami jesteśmy swoimi rodzicami, rodzimy siebie takimi, jakimi chcemy być, i z własnej woli kształtujemy siebie zgodnie z wybranym przez nas wzorcem”. Powyższa pochwała wolnej autokreacji nie pochodzi z pism Nietzschego ani żadnego z jego współcze-

snych, postmodernistycznych uczniów. Sformułował ją jeden z największych Ojców Kościoła, św. Grzegorz z Nyssy. Zaskakujące? Wolna autokreacja jako droga chrześcijanina?

Skutki i zasady

Grzegorz nie jest relatywistą ani tym bardziej nihilistą. Nie twierdzi, że nie istnieje obiektywny porządek dobra ani że wartości musimy wymyślić i stworzyć „z niczego”. Z XIX-wiecznym namiętnym krytykiem chrześcijaństwa łączy go jednak uznanie fundamentalnej roli ludzkiej wolności jako zdolności kształtowania samego siebie. Owszem, jest świadomy, że przyglądając się możliwości podejmowania decyzji i wyboru tych, a nie innych działań dotykamy fundamentalnego pytania etyki. Ale, zdaniem Grze-

gorza z Nyssy, nie brzmi ono wcale: co ja – wolny podmiot – powinienem czynić? Fundamentalne pytanie etyki brzmi: „kim (warto) się stać?”.

Nysseńczyk bez wątpienia świadomie czerpie tu z tradycji greckiej filozofii i kultury, w której się wychował. W przeciwieństwie bowiem do nowożytnych filozofii moralności, które skupione są na określeniu kryteriów właściwego moralnie działania, starożytna grecka etyka pytanie o czyny uznawała za wtórne, a zajmowała się zasadniczo tym, kto moralnych czynów ma dokonać.

Grzegorz inspirował się też Ewangelią. Warto bowiem zauważyć, że przejście od pytania „co robić?” do pytania „kim być?” w Ewangelii Mateusza jest opisane jako przejście do Nowego Przymierza. Widać to we fragmencie nazywanym Kazaniem na Górze, gdzie Jezus jest przedstawiony jako nowy Mojżesz. W ewangelicznej narracji wypowiedziane przez Jezusa Błogosławieństwa zajmują miejsce Dekalogu. Ten ostatni mówi o działaniu: „nie będziesz zabijał”, „nie będziesz mówił fałszywego świadectwa”. Błogosławieństwa natomiast mówią, kim (jakim) warto być: ubogimi w duchu, cichymi, czystego serca, miłosiernymi, czyniącymi pokój.

Idea wolnej autokreacji jest zatem zarazem filozoficzna i ewangeliczna. Uznanie jej za fundament myślenia etycznego może się nam dzisiaj wydawać projektem relatywistycznym, gdyż od czasów nowożytnych etykę zdominowały dwie perspektywy: etyka zasad/norm oraz etyka konsekwencji. W pierwszej perspektywie moralność działań można ocenić poprzez odniesienie ich do pewnego systemu uniwersalnych normatywnych reguł, na podstawie których tworzy się konkretne nakazy i zakazy wyznaczające poprawny tok postępowania. Czyn jest etycznie właściwy, jeśli jest zgodny z tymi zasadami, a niewłaściwy – jeśli je łamie.

W drugiej perspektywie moralną właściwość bądź niewłaściwość działań można rozpoznać badając nie sam czyn, ale jego konsekwencje. Jeśli te ostatnie są pozytywne – działanie należy uznać za moralnie godziwe. Powstaje jednak pytanie, co należy uznać za pozytywny skutek: zmniejszenie cierpienia? Zwiększenie przyjemności? Pojawienie się jakiegось innego dobra? Konsekwencjaliści etyczni nie potrafią w tej kwestii dojść ➔

→ do powszechnego konsensusu. Co więcej, przed człowiekiem, który chciałby kierować się w życiu kryterium konsekwencjonalistycznym, pojawia się kolejny problem: w momencie podejmowania decyzji nie możemy przewidzieć wszystkich skutków wprowadzenia jej w życie. Skąd więc mamy wiedzieć, co zrobić, by postąpić dobrze?

Wobec powyższych trudności, kierowanie się w ocenie moralnej konkretnego czynu kryterium jego konsekwencji cechuje się dużą niepewnością i nabiera charakteru relatywistycznego, zależnego od niepewnego rozpoznania cech danej sytuacji. Znacznie większą pewność sumienia daje odwołanie się do uniwersalnych i niezmiennych reguł. Tu jednak pojawiają się inne wątpliwości: czy ogólne reguły są w stanie adekwatnie ująć różnorodność konkretnych sytuacji, w których podejmujemy moralne wybory? Czy podążanie za regułami nie czyni z moralności mechanicznego podporządkowania się „oprogramowaniu”? I w ogóle: skąd te, a nie inne reguły czerpią swoją moc zobowiązującą? Na jakiej podstawie wybrać ten właściwy zestaw norm?

Co robić? Kto działa?

Słabością obu perspektyw – zarówno skoncentrowanej na etycznych zasadach, jak i tej zwracającej uwagę na skutki czynów – jest to, że skupiają się na działaniu, czyli na pytaniu „co robić?”, „jak postępować?”. Pomijają natomiast pytanie o tę lub tego, kto dokonuje wyborów i je realizuje.

A właśnie na podmiocie działania koncentrowali się myśliciele starożytni, którymi inspirował się Grzegorz z Nyssy i jego późniejsi, średniowieczni spadkobiercy. Do tej tradycji nawiązuje także, rozwijająca się współcześnie od połowy XX wieku, teoria etyczna, którą nazywa się najczęściej etyką cnót. Tu zasadniczym pytaniem jest znowu kwestia: „jaki/kim ma być człowiek (aby jego działanie było dobre)?”. Zwolennicy tego podejścia zakładają, że to właśnie charakter działającego podmiotu oraz jego intencje i motywacje decydują o etycznej jakości działania.

Podstawowe założenie takiego myślenia ma charakter metafizyczny (w znaczeniu rozpoznania podstawowej cechy rzeczywistości): istnienie jest bardziej podstawowe od działania; działanie wpływa z bycia. W średniowiecznej łacinie

zasada powyższa brzmiała: *agere sequitur esse*. Mistrz Eckhart sformułował ją zaś tak: „Niech ludzie zbyt wiele się nie zastanawiają, co mają robić, więcej natomiast myślać o tym, jacy mają być. Gdyby oni sami, ich postawa, byli dobrzy, wtedy również ich uczynki mogłyby jaśnieć pełnym blaskiem. Jeśli ty jesteś sprawiedliwy, takie będą również twoje uczynki. Nie próbujmy opierać świętości na działaniu, budujmy ją raczej na bytowaniu, bo nie uczynki nas uświęcają, lecz my mamy je uświęcać”.

Jedną z zalet powyższej perspektywy jest zwrócenie uwagi, że kwestia rozpoznawania wartości moralnej czynów nie musi tkwić w dylemacie: albo mechaniczne podążanie za regułami, albo relatywistyczna zgadywanka w oparciu o niemożliwe do przewidzenia konsekwencje. Jeśli zanim zapytamy: „co robić?”, zajmiemy się kwestią: „kim jest ta/ten, kto działa, i kim on/ona ma się stać?”, będziemy w stanie zauważyć, że do podjęcia właściwej moralnie decyzji potrzebne jest, by podmiot, który tę decyzję ma podjąć, posiadał odpowiednie zdolności. Ogólna teoria etyczna powinna więc przed wszystkim zająć się zbadaniem, jakie to są zdolności i jak można je w sobie wykształcić. Odpowiednio uzdolniony podmiot sam będzie w stanie rozpoznać, na jakiej podstawie oceniać moralną wartość czynów i podejmować osobiste życiowe wybory.

Doskonałość

Taką właśnie perspektywę przyjmuje etyka cnót. Nazwa ta – „etyka cnót” – wzięła się stąd, że podstawową kategorią, za pomocą której dokonuje się w niej etyczna ocena działania, jest kategoria cnoty. Działanie jest moralnie dobre, jeśli jest wynikiem działania wynikającego z posiadanej przez podmiot odpowiedniej cnoty, czyli jeśli jest działaniem człowieka cnotliwego.

Możliwe, że nie jest to najszcześliwsza terminologia – i w obecnym kontekście kulturowym może mylić. Potoczne bowiem rozumienie terminu „cnota” jest dość odległe od tego, o co chodziło i chodzi „etykom cnót”. Zgodnie ze współczesnym słownikowym znaczeniem cnota to: „1. »zespół dodatnich cech moralnych«; 2. »przestrzeganie zasad etyki«; 3. »czyjeś dodatnie cechy charakteru« 4. »dziewictwo«”. Cnotliwy zaś to: „1. »zgodny z obowiązującymi zasadami

etycznymi«; 2. »pełen cnót«; 3. »zachowujący powściągliwość płciową«” (Słownik Języka Polskiego PWN).

Warto w tym miejscu zauważyć, po pierwsze, że etyka norm/zasad tak zdominowała nasze myślenie, iż jedna ze słownikowych definicji cnoty odwołuje się do przestrzegania lub zgodności z obowiązującymi zasadami etycznymi – czyli tę ostatnią kategorię (zasady etycznej) traktuje jako podstawową. Po drugie, w potocznym użyciu na plan pierwszy wysuwa się znaczenie w słowniku umieszczone na końcu (a odnoszone głównie do kobiet): cnota i cnotliwość jako dziewictwo, wstrzemięźliwość seksualna – zupełnie marginalne w klasycznym rozumieniu cnoty.

Klasyczne rozumienie cnoty (na którym budowana jest tamta etyka) jest szersze od każdego z podanych w cytowanym wyżej słowniku. Greckie słowo *arete* oznacza bowiem każdą doskonałość jakiejś cechy, którą można rozwijać, posiadać w stopniu mniejszym lub większym. W uszach Greków określenie „cnotliwy kochanek” wcale by nie brzmiało dziwne – a oznaczałoby nie tego, który rumieni się na widok nagiej kochanki, lecz tego, który potrafi dać jej największą rozkosz. Jak wiele kluczowych pojęć greckiej filozofii, *arete* jest trudne do przełożenia na język polski. W odniesieniu do działania chyba najlepiej oddawać to słowo terminem „sprawność”.

Elastyczność i swoboda

Równie ważna jest zupełnie inna niż sugerowana przez słownik relacja cnoty i zasad etycznych (a właściwie nie tylko etycznych). Jeśli już wiązać ze sobą te kategorie, to w odwrotnym porządku ważności. Nie jest tak, że cnotą jest przestrzeganie zasad etyki. Jest raczej tak, że jakakolwiek zasada działania może być uznana za zasadę etyczną (etycznie słuszną) tylko wtedy, gdy postępowanie zgodne z nią z cnoty wypływa i do rozwoju cnoty prowadzi. A i tak trzeba poczynić tu zastrzeżenie: działanie cnotliwe wyzwała ze ślepego trzymania się zasad.

Ostatnie zastrzeżenie jest o tyle ważne, że współcześnie można spotkać uproszczoną, behawioralną interpretację sprawności działania (a więc – w pewnym sensie – cnoty). Sprawność działania jest w tej perspektywie redukowana do nawyku, nabytego dzięki regularnemu, niemal mechanicznemu powtarzaniu okre-

ślonej czynności. Takie procedury o deterministycznym charakterze są traktowane jako reguły poprawnego zachowania i zajmują tu miejsce ogólnych norm moralnych, kluczowych w etyce zasad. W obu jednak perspektywach nie ma miejsca na twórczą wolność i autokreację podmiotu działania.

Klasyczna etyka cnót nie neguje, że istnieje w ludzkim życiu obszar działań (albo lepiej powiedzieć: reakcji) czysto nawykowych. Postrzega jednak człowieka znacznie szerzej: jako wolny podmiot, który w obszarach dla niego najważniejszych działa w oparciu o świadome rozpoznanie rzeczywistości. Z tego właśnie względu – że koniecznym warunkiem działania moralnego jest jak najpełniejsza świadomość wartości czynów – podstawową cnotą jest *phronesis*, mądrość praktyczna, nazywana też roztropnością, czyli zdolność rozpoznawania, co w danym momencie dobre, a co złe.

Harmonia i pełnia

W klasycznej konceptualizacji cnót roztropność współdziała z trzema innymi głównymi cnotami. Z męstwem (gr. *andreia*) – zdolnością działania zgodnego z rozpoznaniem dobrem nawet w warunkach, które działaniu temu nie sprzyjają. Z umiarkowaniem (gr. *sophrosyne*) – zdolnością integracji w wolnym działaniu emocji i impulsów biologicznych. Ze sprawiedliwością (gr. *dikaioyne*) – zdolnością harmonizowania wszystkich powyższych aspektów: poznawczego, wolitywnego i emocjonalno-biologicznego.

Powyższe cztery zdolności nazywano w tradycji łacińskiej kardynalnymi, gdyż na nich, jak na zawiasach (łac. *cardo*), zawieszono są wszystkie inne, bardziej konkretne cnoty-sprawności. Listę tych ostatnich trudno sporządzić – albowiem jak wielu różnorodnych działań wymaga skomplikowane i bogate ludzkie życie, tak wiele zdolności potrzebuje człowiek, by żyć tym życiem w pełni.

Wzmianka o pełni życia nie jest tu przypadkowa. W perspektywie etyki cnót chodzi bowiem o maksymalny rozwój ludzkiego potencjału, który daje szczęście w najgłębszym sensie tego słowa: szczęście pełni życia właśnie. Działanie jest dobre moralnie nie tylko dlatego, że jest „cnotliwe” (czyli jest rezultatem określonej cnoty – zdolności), ale także z tego względu, że rozwija działa-

Fundamentalne pytanie
etyki nie brzmi:

co powinienem czynić,
tylko: kim warto się stać.

**Jeśli ty jesteś sprawiedliwy,
takie będą również
twoje uczynki.**

jącego. Jeśli zaś tak, to rozropne (mądre) rozpoznanie, czy dany czyn jest moralnie właściwy, wiąże się z odpowiedzią na pytanie: czy ów czyn będzie rozwijający? Ujawnia się w tym miejscu etyczny (i kluczowy dla etyki) wymiar starogreckiej mądrościowej sentencji: *gnothi seauton* – poznaj siebie. Bez samopoznania moralnie właściwe działanie jest – w perspektywie etyki cnót – niemożliwe.

Ścisłe powiązanie moralności z pełnią życia i z rozwojem osoby we wszystkich jej wymiarach czyni moralność autonomiczną. O ile bowiem próba dostosowania swoich działań do systemu ogólnych norm albo koncentracja na przyszłych konsekwencjach uzależnia ocenę moralną od tego, co na zewnątrz działającego podmiotu, o tyle działanie, którego źródłem są cnoty, a celem rozwój podmiotu, właśnie w samym podmiocie umieszcza podstawowe kryterium moralności.

W tej perspektywie nie tylko działamy z własnego wolnego wyboru, ale moralne dobro naszego działania może być doświadczane jako nasze własne dobro. Działanie dobre (cnotliwe) daje nam satysfakcję – pozwala doświadczyć, że się rozwijamy, doświadczyć życia (bardziej) w pełni. W etyce cnót bardzo ważna jest więc integracja emocji w nasze wolne działanie. Emocje pełnią funkcję zarówno informacyjną, jak i motywacyjną – pozwalają nam w pełni doświadczyć dobra naszego działania.

Egocentryzm i relacje

W tym miejscu może się w nas zrodzić pytanie, czy perspektywa etyki cnót nie jest zbyt egocentryczna. Czy kierowanie się – jako podstawowym kryterium – tym, czy dane działanie będzie dla nas rozwojowe, nie rozwinię w nas dość szybko postawy egoisty, który troszczy

się głównie o siebie, nawet kosztem ludzi wokół?

Trzeba przyznać, że istnieje takie ryzyko. Odpowiedzią na nie – w perspektywie etyki cnót – nie jest jednak wprowadzenie do gry uniwersalnie obowiązujących reguł, lecz raczej zauważenie, że człowiek jest w gruncie rzeczy istotą społeczną, że rozwijać się może jedynie w relacjach z innymi osobami. Oznacza to zatem, że przeciwstawienie „mój rozwój – troska o innych” jest na fundamentalnym poziomie fałszywe.

Jeśli jesteśmy osobą, która zastanawia się, kim (warto) się stać i jak to zrobić, łatwo zauważymy, po pierwsze, że troska o innych, wrażliwość na ich potrzeby, ofiarne działanie na ich rzecz to konieczny warunek naszego osobowego rozwoju. Po drugie, szybko odkryjemy, że życie rozwijane w oparciu o takie cnoty jak empatia, szczodrość, wielkoduszność, cierpliwość w stosunku do wad bliźnich daje niesamowitą satysfakcję. Wreszcie: zrozumiemy, że w im głębsze wchodzimy z innymi relacje, tym pełniejsze jest nasze – człowiecze – życie.

Gdy kierujemy się w życiu etyką cnót, chodzi nam zasadniczo o rozwój i pełnię życia. Rozwój zarówno nasz, jak też ludzi, z którymi żyjemy. Pełnię życia tak naszego, jak też ich – bo jest to w gruncie rzeczy to samo życie. Konkretnie wybory podejmujemy właśnie to mając na względzie. Jeśli już potrzebujemy jakichś zewnętrznych wskazówek pomagających w podjęciu etycznych decyzji, to poszukujemy nie tyle systemu ogólnych norm, co osób, na które możemy popatrzeć jako na wzorce, kim (jak/jakim) warto być. Ale patrzymy na nie nie po to, by kogoś ślepo naśladować, lecz by inspirować się w samodzielnym tworzeniu siebie, gdyż – jak pisał Nysseńczyk – „każdy jest malarzem swojego życia, wykonawcą dzieła jest wola, kolorami zaś służącymi do wyrażenia obrazu są cnoty”.

Tej swobody autokreacji nie zmienia fakt, że – co Grzegorz wyraźnie przyznaje – podstawowym wzorcem osobowym chrześcijanina jest Chrystus. On bowiem każdej i każdemu „ukazuje się zgodnie z miarą tego, w którym się narodził”, a w różnych momentach naszego życia „przybiera inną postać” i nigdy do końca nie będzie poznany. Dlatego właśnie pozostajemy wolni, a nasza „doskonałość polega na nieustannym wzroście w doskonałości”. ©© PIOTR SIKORA

Ikony wojny

MAREK MELNYK

Rosjanie – mimo że zabijają, kradną i gwałcą – na wszelki wypadek nie zapominają o wzywaniu na pomoc Boga.

ŻOŁNIERZE ROSYJSKY WALCZĄCY w Ukrainie mają krzyże, ikonki, medaliki, modlitewniki. Na zatopionym krążowniku „Moskwa” znajdowała się kaplica z relikwią Krzyża Świętego, każdy zestrzelony samolot czy helikopter rosyjski dostarcza cennych krzyży i ikon. Prawosławni duchowni wmawiają wyruszającym na front żołnierzom, że są sługami Boga, a śmierć na polu bitwy zmaże wszelkie ich grzechy. Błogosławią ich, odpowiadają stosowne nabożeństwa, kropią święconą wodą. I na koniec wręczają ikony lub krzyżyki.

W ten sposób formułuje się prawosławną interpretację wojny. To Bóg ją wygra przez wstawiennictwo Bogurodzicy i modlitwy wierzących Rosjan. Potwierdzeniem tego ma być pojawienie się wielu „płaczących” ikon, które wydzielają święte oleje. Jednym z najważniejszych religijnych symboli wykorzystywanych podczas tej wojny są właśnie ikony.

Wizerunek nieuczyniony ludzką ręką

Pierwszy raz rosyjskie ikony wojny pojawiły się na ziemi ukraińskiej w 2014 r. Były to flagi z nadrukowanym wizerunkiem Chrystusa Zbawiciela nieuczynionym ludzką ręką, mające chronić przed śmiercią na polu boju. Ktoś – najpewniej w Rosji – wyprodukował ich mnóstwo i przekazał separatystom w Doniecku, Ługańsku, Mariupolu. Stawiano je na barykadach, montowano zamiast flag ukraińskich na dachach zajętych budowli administracyjnych – obok flagi Rosji i starych flag z czasów ZSRR.

Flagi pojawiły się na rosyjskich czołgach. Były przeciwwagą dla żółto-niebieskich flag Ukrainy. Dawano do zrozumienia, że separatysty walczą w imieniu samego Boga z ukraińskim „złem”. Surowe spojrzenie Chrystusa miało wzbudzać lęk

Ukraińców, których oskarżano o nacjonalizm, faszyzm, homoseksualizm i popieranie LGBT, rozprzestrzenianie wirusów.

Z czasem flagi-ikony spowszedniały. W 2022 r. pojawiały się już tylko sporadycznie, służąc jako improwizowane dekoracje powitalne wojsk rosyjskich na okupowanych terenach Ukrainy. Na propagandowych filmach z początku wojny można je zobaczyć w rękach rosyjskich statystów, którzy przybyli z najeżdżącą armią i udawali Ukraińców entuzjastycznie ją witających.

Dziś już tych flag nie widać. Nie pasują do ruin, wypalonych domów, pogorzeliś, trupów, lejów po bombach i rakietach. Powiewające na wietrze wśród tego wojennego krajobrazu budziłyby chyba lęk w duszach rosyjskich żołnierzy. Obecnie

potrzeba innych ikon. Spojrzenie Chrystusa – Władcy Świata, umęczonego przez własne stworzenia – jest zbyt osądzające.

Ikona augustowska i Teofan Pustelnik

Oficjalną ikoną, która ma wspomagać armię rosyjską, jest ikona Matki Boskiej Augustowskiej. 13 marca 2022 r. w katedrze pod wezwaniem Chrystusa Zbawiciela w Moskwie, w trakcie obrzędów związanych z pierwszym tygodniem Wielkiego Postu, patriarcha Cyryl przekazał ją dowódcy Rosgwardii Wiktorowi Zołotowowi.

W kazaniu Cyryl oskarżył państwo ukraińskie, że ingeruje w sprawy Kościoła prawosławnego i stara się oderwać go od Patriarchatu Moskiewskiego. Przy-



Ikona Matki Boskiej Augustowskiej, 1916 r.

pomniął, że ikona augustowska chroniła rosyjskich żołnierzy podczas I wojny światowej i związana jest z objawieniem, którego w 1914 r. mieli doznać żołnierze rosyjscy walczący z armią niemiecką. Ma zatem symbolizować błogosławieństwo Boże wobec armii rosyjskiej za pośrednictwem Matki Bożej.

Cyryl odwołał się do starej rosyjskiej tradycji wskazującej na synergię władzy duchowej i świeckiej, która umożliwia wspieranie się w działaniach politycznych teologią i rytuałem. Tak robili książęta moskiewscy, a potem carowie. Tak robi również Putin. Agresja na Ukrainę jest wojną o prawosławie, które uznaje zbawczy charakter państwa rosyjskiego.

Przed przyjęciem ikony Złotow mówił o postępach rosyjskiej inwazji, tłumacząc się jednocześnie po raz pierwszy z niepowodzeń: „Chcę powiedzieć, że wojska rosyjskie wypełniają postawione zadania. Nie wszystko idzie tak szybko, jak byśmy chcieli, ale to dlatego, że nasiści chowają się za plecami starych, kobiet i dzieci, ukrywają się w szkołach i domach. Wygramy, a ta ikona będzie nas wspierać”. Złotow nie prezentował się jednak wcale jako pokorny pielgrzym, który przybył z placu boju, prosząc o pomoc Boga poprzez protekcję Matki Boskiej.

3 kwietnia 2022 r., w czwartą niedzielę Wielkiego Postu, Cyryl obdarował armię rosyjską kolejną ikoną. To wizerunek kanonizowanego w 1988 r. wybitnego rosyjskiego mnicha, teologa, biskupa Teofana Goworowa (1815-1894). Dlaczego ikona rosyjskiego ascety i teologa z XIX wieku ma wspomagać rosyjską armię walczącą sto lat później w Ukrainie?

Cyryl tego nie wyjaśnił. Można się jedynie domyslać jego intencji na podstawie ideałów, które propagował sam św. Teofan. Ów święty przede wszystkim sprecyzował ideę przewodnictwa duchowego, które ma być zadaniem prawosławnych mnichów i kapłanów. Mieli oni kształtować duchową doskonałość prawosławnego społeczeństwa, np. przez propagowanie praktyki nieustannej Modlitwy Jezusowej. Teofan określił sposób sprawowania tej posługi na wzór duchowej przyjaźni mistrza i ucznia. Jako praktyczną pomoc na tej drodze przetłumaczył w 1877 r. na język rosyjski „Filokalia” oraz zredagował w 1884 r. ostateczną wersję „Opowieści pielgrzyma”. Prawosławie miało się więc stać swoistą ideologią rosyjskiej armii.

Drugą ideą św. Teofana, która może być zaadaptowana w realiach obecnej wojny rosyjsko-ukraińskiej, jest postulat duchowego odrodzenia narodu rosyjskiego. Św. Teofan podkreślał (m.in. w „Wyjaśnieniu Listów Apostolskich”, „Zarysie chrześcijańskiej nauki o moralności” i „Drodze do zbawienia”) pilną potrzebę uzdrowienia i reformy zarówno państwa rosyjskiego, jak i Kościoła prawosławnego. Pod koniec XIX wieku przestrzegał przed upadkiem Rosji jako państwa, który pociągnie także Kościół prawosławny. Wypominał hierarchom dążenie do świeckich zaszczytów i bogactw. Szczególnie przerażał go niski poziom życia duchowego Rosjan, w większości nominalnie prawosławnych. Uważał, że bez zmiany tej sytuacji w XX wieku grozi Rosji całkowita dechrystianizacja. Podobnie wypowiada się dzisiaj patriarcha Cyryl.

Wędrujące ikony

Niedawno pokazano nagranie wideo przedstawiające duchownych z ikoną Matki Boskiej Kazańskiej oraz ze świecznikiem ze Świętym Ogniem, lecących wojskowym helikopterem nad Biełgorodem, gdzie latem nastąpiła seria eksplozji. Były to pierwsze ataki na terytorium Rosji ze strony Ukrainy. Atak wywołał strach w sąsiadujących z Ukrainą rosyjskich obwodach. Rosjanie, obudziwszy się z błęgiego przekonania o swym bezpieczeństwie, od razu sięgnęli po ikonę. Gdy przyszła do nich wojna, którą sami rozpętali, zwrócili się o pomoc do swych duchownych.

W 2016 r. na okupowane tereny Ukrainy przywieziono kopię ikony tichwińskiej. Latem 2022 r. w okolicach obleganego przez Rosjan Mariupola pojawiła się ona jako Dziewica Doniecka Wybawicielka. Ikonę tę obwożono samochodem wokół obleganego miasta. Modlono się przy tym o nawrócenie jego obrońców – czyli tym samym o ich poddanie się wojskom rosyjskim.

Ikona spełniała też rolę źródła nadprzyrodzonej mocy. Żołnierze rosyjscy dotykali ją swoimi krzyżkami zawieszonymi na szyi; obrzęd ten miał im przynieść ochronę przed śmiercią. Dowodem cudowności ikony miał być jej „płacz” w postaci wydzielania świętych olejów. Co ciekawe, wszystko to czynili święcy, którzy przyjechali z Doniecka. Prezentowali się jako prości ludzie, głęboko wie-

rzący w nadprzyrodzoną moc ikony. Ich postępowanie ze świętym wizerunkiem przypominało sposób obchodzenia się Żydów z Arką w Biblii. Odpowiednie „obsługiwanie” ikony miało uaktywnić nadprzyrodzoną moc, chroniącą rosyjskich żołnierzy.

Rosjanie niejednokrotnie sięgali po ikony w sytuacjach zagrożenia. Prawosławni duchowni, którzy latali helikopterem w 2022 r. z kopią ikony Matki Boskiej Kazańskiej nad Biełgorodem, odwołali się do pewnej opowieści. Na początku lat 90. w Rosji pojawił się apokryf, powielany z pełną powagą w licznych cerkiewnych publikacjach, o obronie Moskwy w 1941 r. przez Ikonę Matki Boskiej Kazańskiej. Nie ma on żadnego potwierdzenia w źródłach. Libańskiemu metropolicie Byblos i Batron Eliaszowi (Elia Karam 1903-1969) z prawosławnego patriarchatu antiocheńskiego, który żarliwie modlił się o ratunek dla ZSRR, miała się objawić Bogurodzica w momencie, kiedy wojska niemieckie zbliżały się do Moskwy. Maryja nakazuje przekazać osobiście Józefowi Stalinowi cztery warunki wygrania wojny: [1] aby nakazał oblecieć Moskwę, Leningrad i Wołgograd z ikoną Matki Bożej; [2] otworzył cerkwie i rozpoczął w nich nabożeństwa oraz uwolnił księży z więzień; [3] zamienił naramienniki w armii czerwonej na naramienniki armii carskiej; [4] wyjawiał prawdę o cudownej obronie w ZSRR przez Matkę Boską. We wszystkich wariantach tego apokryfu Stalin spełnia trzy warunki. Dzięki czemu Niemcy zostali wyparci ze stolicy i ostatecznie pokonani w 1945 roku. Aby spełnić czwarty warunek, Stalin zaprasza Metropolitę Eliasza w 1947 r. do Leningradu, gdzie w jednej z katedr metropolita opowiadał o Objawieniu Matki Bożej, dzięki któremu odniesiono zwycięstwo w wojnie.

To, co uderza w tej pobożnej opowieści, to przedziwna poufałość Matki Boga ze Stalinem. Komunistyczny dyktator jawi się jako ktoś, kto przebywa w sferze *sacrum*, jako posłuszne narzędzie woli Boga. Jego ateizm, masowe mordy nie są przeszkodami w tym, by wypełnić plany Boga. *Sacrum* i *profanum* wzajemnie się przenikają. Co więcej – święte nie jest odgrozione od złego człowieka. Potrafi przemówić w każdych warunkach.

Podobną rolę pełnić ma ikona tichwińska. Według tradycji to właśnie ona, a nie ikona kazańska, obroniła Moskwę w 1941 r. Dodatkowo ma jeszcze ➔



DOMENA PUBLICZNA / WIKIMEDIA

Autor nieznany, Matka Boska Kazańska, ok. XVII w.

→ inne zadanie. Jak czytamy na oficjalnej stronie klasztoru, w którym się znajduje, „przywrócono tradycję otrzymywania błogosławieństwa przez pierwsze osoby w państwie tichwińską ikoną Matki Bożej. W dniu inauguracji [drugiej kadencji prezydentury] Władimira Władimirowicza Putina, Jego Świątobliwość Patriarcha Moskwy i Wszechrusi Aleksy II pobłogosławił Go tichwińską ikoną Najświętszej Bogurodzicy. 16 lipca 2004 r. Władimir Putin odwiedził klasztor Wniebowzięcia”.

Zatem pojawienie się tichwińskiej ikony w 2016 r. w Donbasie i jej kopii w 2022 r. pod Mariupolem nie było przypadkowe. Przybyła na ziemię ukraińską

w zastępstwie Putina, którego wcześniej sakralizowała.

Ikona czy fetysz

Wojna prowadzona przez Rosję w Ukrainie niszczy prawdziwą teologię ikony. Oddziela misterium doświadczenia estetycznej relacji z Bogiem od zasad moralnych głoszonych przez chrześcijaństwo. Moc duchowa ikon na wojnie jawi się jako coś, co jest poza dobrem i złem. Jest wprawdzie jakimś przeżyciem *sacrum*, lecz ambiwalentnym moralnie. Cudowne ikony towarzyszą bowiem zabijaniu wrogów na wojnie, a nie ich nawróceniu. Można oddawać ikonom formalnie religijną cześć, a w rzeczywistości

negować Dekalog: zabijać, kłamać, kraść, gwałcić, torturować. Kult ikon został bowiem oddzielony od przykazania miłości Boga i człowieka.

Nade wszystko zaś ten rodzaj doświadczenia *sacrum* jest pozbawiony przeżycia *sanctum* osobowego Boga jako Dobra i Miłości. Jest formą regresu życia religijnego, można nawet dopatrzyć się w nim bałwochwalstwa. Żołnierze rosyjscy oddają cześć przeróżnym fetyszom, a nie Bogu. Ikony są redukowane do idoli zastępujących doświadczenie żywego, rzeczywistego Boga. Czy zatem rzeczywiście w ten sposób w czasie wojny „przemawia niebo”?

Niewypowiedziana Ukrainie przez Rosję wojna zrodziła wiele przykładów kultu dziwnego, dwuznacznego z punktu widzenia chrześcijańskiej ortodoksji. Wydaje się on jakąś formą degradacji chrześcijaństwa. Można próbować zrekonstruować działanie mechanizmu, w wyniku którego następuje demontaż tego, co sakralne, związane z boskością, i przekształcanie go w narzędzie czysto ludzkiego działania przynoszącego śmierć. Wiedza teoretyczna podpowiada, że mamy do czynienia z procesem przenikania i ukrywania się zła w przestrzeni *sacrum*. Zło nie chce objawiać się w całej swej grozie. Szuka tego, co święte.

Rosyjska Cerkiew prawosławna wraz z autokracją Putina pragnie przekształcić rosyjskie społeczeństwo z apolitycznej, apatycznej masy konsumentów – objętej na działania elity – w ofiarnych patriotów, gotowych oddać życie w obronie państwa i prawosławia. Ikony mają w tym pomóc.

© MAREK MELNYK

Autor (ur. 1967) jest religioznawcą i teologiem, profesorem nauk humanistycznych na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim. Zajmuje się myślą prawosławną i kulturą ukraińską.

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

REZERWUJ
CZAS!

- **KRAKÓW**, środa 11 stycznia, spotkanie z Piotrem Sikorą, redaktorem „Tygodnika” „Uważność (mindfulness) – czym jest i jak ją w sobie rozwijać” / stacjonarne /

- **BIELSKO-BIAŁA**, piątek 13 stycznia, spotkanie autorskie z prof. Adamem Bodnarem o książce „Nigdy nie odpuszczę” / stacjonarne /

WOJCIECH

Bonowicz: Znak



DRUGIEGO DNIA ROKU ZDAŁEM SOBIE sprawę, że nie pamiętam, o czym pisałem w roku minionym. To znaczy – pamiętam, że pisałem wiele o wojnie. To było nieuchronne i konieczne, nie było i nie ma w naszej części świata ważniejszego wydarzenia. Ale o czym jeszcze? Pamięć zdarzeń jakby rozlała się i wsiąkła, a osobliwie pamięć zajęć literackich.

Dwanaście miesięcy to długo, uzbierało się kilkadziesiąt rozmaitych tekstów, akurat nie wierszy, tych nie powstało wiele, ale innych, rzuconych w miejsca, z którymi stałe współpracuję, takie jak „Tygodnik”. Lecz moment, w którym się znaleźliśmy, zdawał się unieważniać wszystko, co nie odniesione bezpośrednio, nie dość zaangażowane. Rozgrywający się dramat domagał się wyłączności, skupienia uwagi, mobilizacji (tego akurat słowa używałem w minionym roku często), a każdy zwrot w innym kierunku można było potraktować jak ucieczkę lub co najmniej lekkomyślność. Wojna, wojna, wojna... Nie sposób wciąż o niej mówić, nie sposób o niej mówić przestać. Byle nam nie spowszedniała, nie opatrzyła się, nie zaczęła irytować, a los jej ofiar nam nie zobojętniał – oto modlitwa, którą powinniśmy odmawiać dzień w dzień, wierzący i niewierzący.

Zło najpierw chce nas przerazić, a potem zmęczyć i zniechęcić. W widoku cierpienia nie ma nic pociągającego. Obrazy wojny są nieznosnie powtarzalne. Ulica kilka godzin po wybuchu, wypalone samochody, wybite szyby, ciała pospiesznie nakryte tym, co było pod ręką. Przepatrywanie ruin, kolejki po wodę i chleb, pełne niepokoju twarze koczujących w piwnicach. Nocne niebo rozjaśniane eksplozjami, psy blakające się wśród wraków, starsi ludzie patrzący na kupę gruzu, w którą wojna obróciła ich dom. Wszystko to na przemian oburza, przygnębia i budzi współczucie, ale też zawstydza, bo nad emocjami górę bierze w końcu przyzwyczajenie. Upór cierpiących jest monotony, ich zmagania są szare, ich

bohaterstwo jest wielkie i nieefektywne. Prawdziwy teatr wojny to nie teatr właściwie, lecz same kulisy, gdzie krzątają się ci, którzy na koniec nie wyjdą do oklasków.

Pisałem więc o solidarności, która musi okazać się silniejsza od zniechęcenia. Solidarności, która musi przeniknąć całe życie społeczne. W sylwestrowy wieczór wyłączyłem telewizor. Nie mogłem patrzeć na bawiących się ludzi. Potrzebna jest radość, chwile ulgi, odprężenia – ale nie to. Nie tak. Nie teraz.

Nagle na półkę pod ręką wróciły książki, które o wojnie opowiadają w sposób wyjątkowy: „Kaputt” Malapartego, „Życie i los” Grossmana, „Dorycki krążganek” Buczkowskiego. Ta ostatnia, w lekturze najtrudniejsza, zupełnie nieprzewidywalna, przedstawia wojnę jako rozbięcie wszystkiego właściwie: kultury, języka, więzi, doświadczenia, jakiegokolwiek wewnętrznego spoiwa. Wojna u Buczkowskiego nie staje się fabułą, jeszcze jedną, straszną czy nie, ale przygodową opowieścią. Jest nie do opowiedzenia, zostawia po sobie strzępy, fragmenty, których nie sposób scalić, które można co najwyżej nanizac na jeden sznurek, ale to wszystko. W konsekwencji autor „Doryckiego krążganek” lepiej niż inni opisał samotność tych, których nieszczęście rozbiło dosięgło. Którzy musieli samodzielnie, nie wiedząc, co właściwie się dzieje, rozstrzygnąć, jaki bieg nadać życiu w rozdartym, zdekomponowanym świecie.

Pisałem o solidarności, bo ona jest próbą scalenia tego, co rozbite.

Z minionego roku zostanie mi w oczach na pewno ta jedna scena: stałem, czekając na kogoś, w punkcie, w którym wydawano żywność potrzebującym. Przy ladzie starsza kobieta, Ukrainka, pakowała do torby przygotowane dla niej produkty. To były zwykłe rzeczy: chleb, jajka, mąka, konserwy rybne. W pewnym momencie kobieta uniosła konserwę, zrobiła nią w powietrzu znak krzyża i ucałowała. Gest był dyskretny, pewnie zawstydziłaby się, gdyby zdała sobie sprawę, że na nią patrzymy. A jednak tym gestem przeniosła siebie i nas w inną rzeczywistość, w coś sakralnego w najgłębszym tego słowa sensie. Bo nie było to *sacrum* strachu czy zagubienia, lecz wdzięczności.

©

TYGODNIK
POWSZECHNY

Powszechny, czyli Wasz!

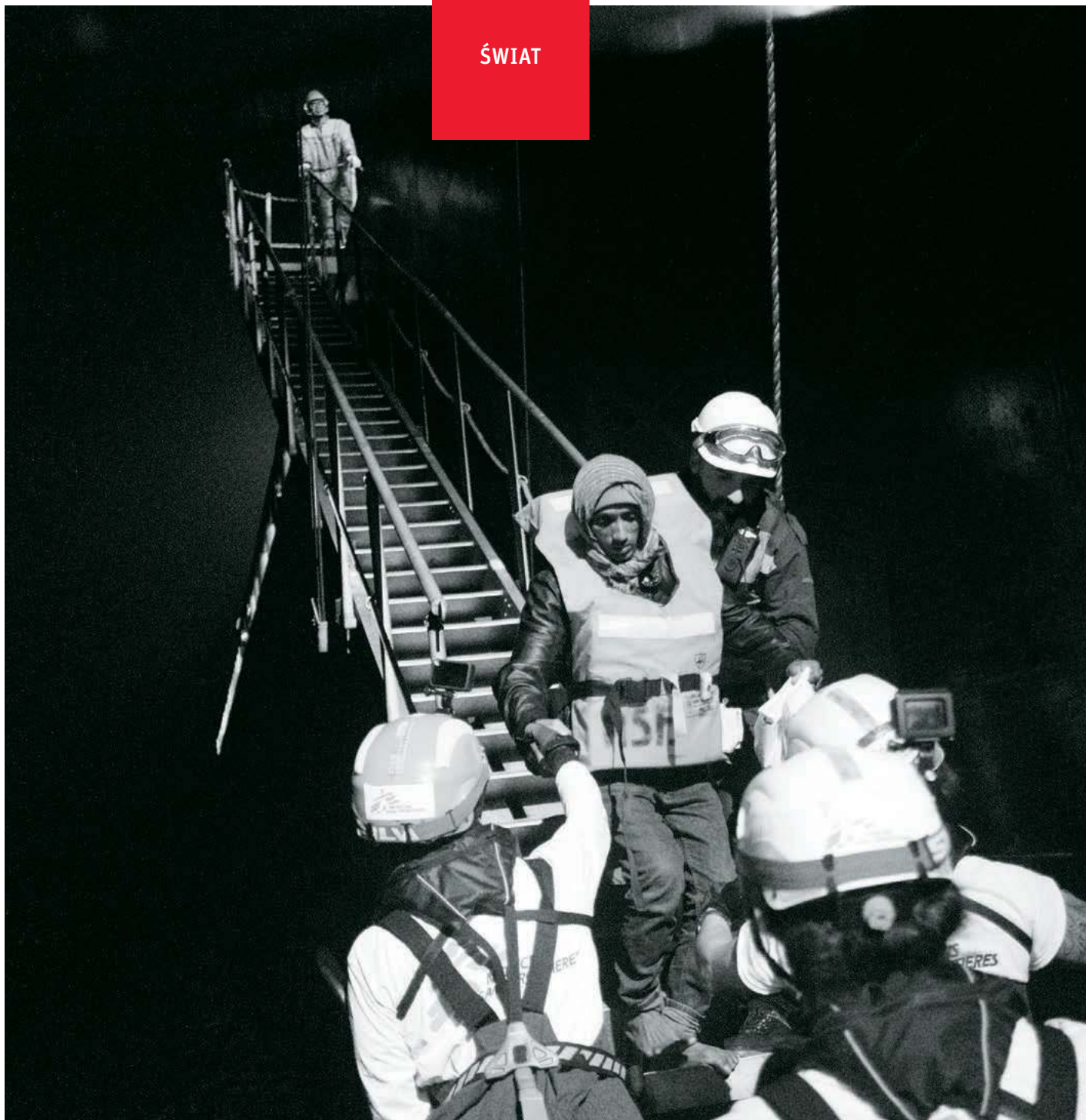
Kilkaset osób odpowiedziało na ankietę zamieszczoną w numerze 47/2022.

Bardzo dziękujemy wszystkim Czytelniczkom i Czytelnikom, którzy podzielili się opinią na temat papierowego wydania „Tygodnika Powszechnego”.

Pilnie wczytaliśmy się w Wasze głosy, miło było poznać Was i Wasze zwyczaje czytelnicze.

Z nadzieją na kolejne spotkania i z najlepszymi życzeniami na nowy rok,

Redakcja



SZCZĘŚLIWEGO ROKU

Dwa dni po wypadku, doglądając ocalonych, Nejma powiedziała:
„Widzieliśmy cud, a tuż wcześniej jego dokładną odwrotność.
Na to nie ma słów, nie ma nawet myśli właściwych”.

MARCIN ŻYŁA ZE STATKU LEKARZY BEZ GRANIC NA MORZU ŚRÓDZIEMNYM

*Ewakuacja na pełnym morzu
44 migrantów z tankowca płynącego
do Libii, noc z 1 na 2 stycznia 2023 r.*

motorówki. Ma się unosić tak blisko trapu, żeby dało się zrobić krok. Ale jeśli o niego zahaczy i akurat przyjdzie fala – wszystkich wyrzuci jak z katapulty.

Po trapie, z dwiema torbami foliowymi w dłoniach, schodzi starszy człowiek. Dziewczyna – to Fulvia, liderka teamu motorówki – pilnuje, by nie wpadł do wody. „OK, witamy na pokładzie” – śmieje się. „Dziękuję” – odpowiada ten oraz dwudziestu jeden kolejnych mężczyzn, których przejmujemy. Chcą ścisnąć dłonie. „Kochamy was” – krzyczą do załogi tankowca, który za chwilę wróci na kurs do Misraty w Libii.

Gruziński marynarz macha na pożegnanie. Nick odbija i kieruje motorówkę w stronę innego statku, którego światła wyraźnie widać z dwóch kilometrów. Statek ten nazywa się „Geo Barents” – on zabierze wszystkich do Włoch.

NIE FOTOGRAFOWAĆ ludzi przy silnikach. Czasem włoskie władze skazują ich na więzienie. Jeśli wpadną do wody, pchnąć centifloat – długą na kilka metrów, olinowaną boję – w jedną trzecią szerokości grupy, od strony wiatru, żeby zebrała tych bez kamizelek ratunkowych. Wyłapywać libijskie nazwy. Kojarzyć: „*Sebha*” to gwałty; „*Al-Kufra*” – praca przymusowa; „*Bani Walid*” – tortury w centrum zatrzymań.

Gromadzona od dekady teoria podejmowania migrantów z lichych pontonów i łodzi na Morzu Śródziemnym – to dwa dni szkoleń. Na „Geo Barents”, statku ratowniczym organizacji Lekarze Bez Granic, nikt nie jest zwolniony z teorii.

Ani z taktyki. Są dwie motorówki. Do łodzi podpływają osobno. W stresie pole widzenia bardzo się zawęża – jedna motorówka musi obserwować sytuację z dystansu. Najpierw zbliża się „Orka”. Zatacza krąg wokół pontonu z ludźmi i ustawia się prostopadłe, kilka metrów od łodzi.

Gdy ponton z ludźmi mocno się kołysze – to dobrze (ma wyporność). Gdy uchodzi z niego powietrze, podpływamy z drugiej strony („efekt magnesu”: wszyscy przechylają się w naszym kierunku). Czasem trzeba nakłaniać do jego opuszczenia („efekt łodzi podwodnej”: tak jak jej załoga po katastrofie, stracili wiarę

w wybawienie). Ludzie, którzy wiele godzin wdychali opary paliwa, reagują różnie. Na przykład – śmiechem nie do opanowania.

Gdy statek zatrzymuje się na kilka godzin praktyki, ćwiczymy wszystko na morzu. Ratownik – dziś jest to Gabriel, przypadkiem o włosach jak Chrystus – staje na dziobie łodzi. Ma być wywyższony. Jeśli jest dzień, pozostali przykucają. Jeśli noc – oświetlają go latarkami. Mówi się na to: „ustawienie teatralne”. Bo ludzie na łodzi powinni słuchać jednej osoby.

Gabriel jak Chrystus, na scenie jak w teatrze, musi wtedy przekazać trzy informacje: „Jesteśmy z Europy. Pomożemy wam. Prosimy, usiądźcie i słuchajcie poleceń”.

Wtedy zwykle podnoszą się krzyki: „*No Libya!*” („Tylko nie do Libii!”). Albo: „*Babies, babies, we have babies!*” („Dzieci, dzieci, mamy dzieci!”). Ratownik, wywyższony na motorówce, wyciąga rękę. „Zachowajcie spokój” – krzyczy i podaje kamizelki ratunkowe. Wszyscy, jeden za drugim, przechodzą na motorówkę. Wracamy do „Geo Barents”, pod pionową drabinę prowadzącą na pokład. Tu Victor i Juan, mocno, za ramiona, wciągają wszystkich.

Można przeoczyć fakt, że jesteśmy z Europy, więc każdy wyciągnięty z wody słyszy najpierw: „Jesteś bezpieczny”. Dostaje wodę. Ktoś mu – może pierwszy raz od miesięcy – w czymś pomaga. Choćby zdjąć przemoczone buty.

Z luźnych notatek ze szkoleń, gdzieś na marginesie: „Dzieci lubią się bawić krótkofalówkami. Przełączają kanały. Po zabawie z dziećmi – sprawdzić kanał”.

MOŻNA POWIEDZIEĆ: „Geo Barents” ma rękę do ludzi. Już w pierwszym rejsie na Morze Śródziemne, półtora roku temu, statek uratował trzy osoby próbujące przepłynąć wpław Cieśninę Gibraltarską. Przed miesiącem jedna z ocalonych kobiet urodziła na pokładzie dziecko. Kapitan Willy Paulsen poświadczył podpisem czas i miejsce narodzin – 10:31 UTC, 07/12/2022, N 34,22,8, E 13,04,8 – oprawił dokument w ramkę i powiesił w mesie.

Dzieci lubią i często rysują białoniebieski kadłub statku, wystające za obie burty lądowisko dla helikopterów oraz napis „RESCUE ZONE” („strefa ratunkowa”). Gdyby „Geo Barents” miał się przemienić →

GRUZIŃSKI MARYNARZ ZSZEDŁ NA OSTATNI stopień, oparł się o poręcz schodów i luzacko założył nogę na nogę. Uśmiechając się, zagadnął dziewczynę.

Schody – to stromy chybotliwy trap, opuszczony z tankowca „Broadway” o masie 30 tysięcy ton. Stopa marynarza kołysze się nad głębią. Wszystko dzieje się na środku morza.

Jest 2 stycznia, po drugiej w nocy. Za sterami Nick obserwuje dziób naszej

MIKKEL HØRLYCK

→ w maskotkę, byłby zapewne pluszowym misiem.

Przewiózł dotąd do Europy 5836 osób i 11 ciał. Jest nieoficjalnym okrętem flagowym flotylli kilkunastu prywatnych statków, które podejmują z morza ludzi płynących z Libii i Tunezji na lichych łodziach i pontonach. Statkiem wyjątkowym. Po pierwsze, jest duży: zmieści nawet siedemset osób. Po drugie, stoi za nim duża organizacja.

Lekarzy Bez Granic (Médecins Sans Frontières, MSF) założyli – na początku lat 70. XX w., podczas kryzysu w nigeryjskiej Biafrze – francuscy medycy i reporterzy. Cel: nieść pomoc medyczną niezależnie od podziałów politycznych, rasowych czy religijnych. Szybko się pospiesiali. Poszło o to, co to znaczy być świadkiem krzywd. Czy powinno się krytykować rządy państw, na terenie których się działa, czy też – jak Czerwony Krzyż – pozostać neutralnym?

Zwyciężył pierwszy pogląd, co wśród instytucji humanitarnych przyniosło Lekarzom Bez Granic opinię organizacji z pazurem. Dostała Pokojowego Nobla.

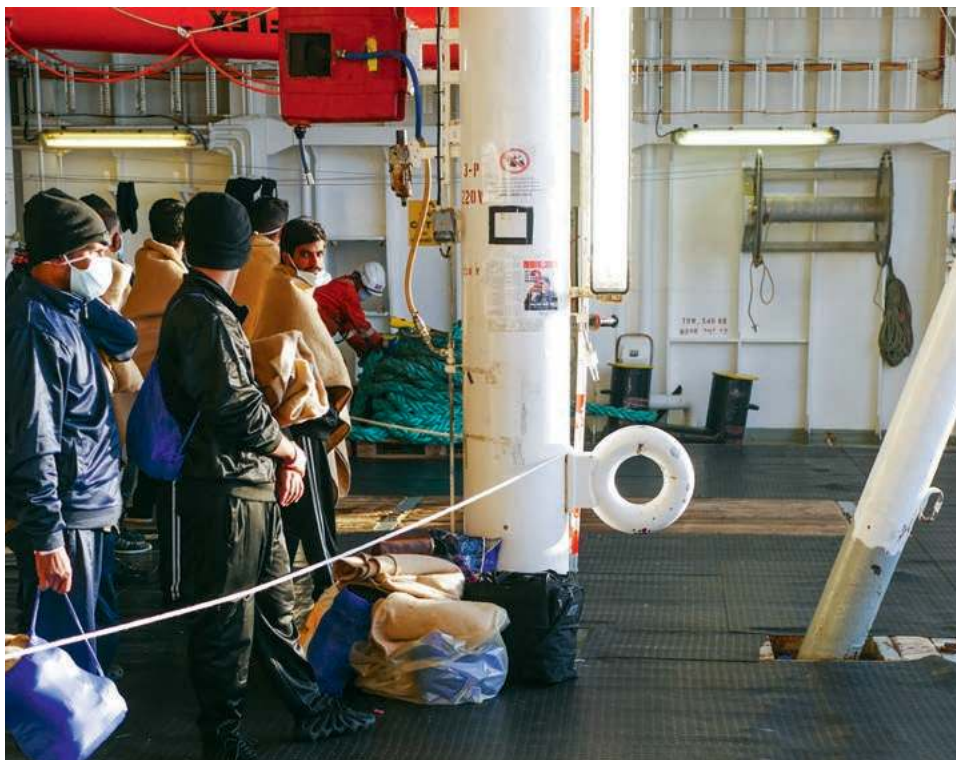
W 2013 r. rozpoczęła ona misję na Morzu Śródziemnym. A po kilku latach pracy na innych jednostkach wynajęła norweski statek „Geo Barents”.

PIERWSZEGO STYCZNIA RANO na statek przychodzi e-mail: dwieście kilometrów na północ od wschodniej części wybrzeża Libii znajduje się drewniana łódź z migrantami. Ostatnią znaną pozycję podaje organizacja Alarm Phone, która poprzedniego wieczoru zdążyła nadać sprawie numer: 1446–22, ostatni w starym roku. Centrum koordynacji ratownictwa morskiego w Rzymie prosi „Geo Barents”, aby skierował się w tamtą stronę.

To nietypowe. Sprawa dzieje się na libijskim obszarze poszukiwań, gdzie Włochy interweniują rzadko. Virginia, szefowa misji, zastanawia się, czy może chodzi o odciągnięcie statku z rejonu na północ od Trypolisu, gdzie znajduje się najwięcej łodzi. Rejs we wskazane miejsce zajmie kilkanaście godzin. Ale na każde wezwanie trzeba zareagować.

Na razie o łodzi wiadomo niewiele: jej silnik wciąż działa, jest drewniana.

Godzina 11:55. Drugie powiadomienie z Alarm Phone, które może nas dotyczyć. Numer 0002–23, 50 osób, łódź niedługo osiągnie maltańską strefę poszukiwań. Kwadrans później kolejne: 0005–23,



41 osób, na południe od Lampedusy, blisko strefy włoskiej. Virginia wypisuje sprawy na ścieralnej tablicy.

„Geo Barents” płynie wciąż w kierunku sprawy 1446. Pogoda jest na tyle dobra, że z włoskiej wyspy Lampedusa startuje „Koliber” – mały samolot francuskiej organizacji Pilotes Volontaires – w celu oceny sytuacji. O 15:51 mija nasz statek. Wkrótce przysyła mailem zdjęcia łodzi. Widać na nich 41 osób. Łódź jest jednak metalowa – wiele takich pojawiło się w ostatnich tygodniach na wodach na północ od libijskiego Tobruku.

DEKADĘ TEMU, po śmierci 359 ludzi u wybrzeży Lampedusy, ogłoszono operację „Mare Nostrum”. Włoska marynarka, czasem podpływając aż pod libijskie wody terytorialne, w ciągu roku podjęła 150 tys. osób. Równocześnie liczba migrantów na morzu się potroiła.

Kłótnia o to, czy obecność statków ratowniczych zachęca do przepraw, trwa do dziś.

To taksówki dla migrantów – tak włoskie rządy twierdzą od 2018 r., kiedy skończyła się unijna operacja „Tryton”, ostatnia mająca cokolwiek wspólnego z ratownictwem. Aby zapobiegać śmierci, dodają w Rzymie, trzeba ludzi zniechęcać do podróży.

Przeciwnie, to raczej karetki pogotowia dla migrantów – odpowiadają organizacje pozarządowe. Tylko 10 proc. z nich dociera do Włoch na naszych pokładach, a ci w Libii są tak zdesperowani, że wypływaliby nawet bez nadziei na ratunek.

Gdy władze grożą: „zabronimy wam dostępu do portów” (i w 2018 r. na pewien czas zabraniają), organizacje odpowiadają: „złamięcie wtedy prawo międzynarodowe”. Gdy statki proszą o miejsce do wysadzenia podjętych z wody ludzi, władze wskazują odległą Genuę (to, dodatkowo, dwa dni żeglugi i 300 ton spalnego paliwa). Albo każą oczekiwać nawet 15 dni na wejście do portu. W międzyczasie, trzy lata temu, strategię zmienia Frontex, unijna agencja ochrony granic: na morze, zamiast okrętów, kieruje drony. Wysyłają one do centrów koordynacji ratownictwa wyjątkowe jakości filmy z rozbitkami – ale ratować ich nie mogą.

ŁÓDŻ NIE POJAWIŁA SIĘ na radarze. Inaczej niż w filmach, w życiu radar pokazuje w takiej sytuacji zielone plamki, które trzeba zinterpretować. A może to dlatego, że miała nietypową powłokę: trochę metalu, trochę tworzyw sztucznych. Dostrzeżono ją za to z mostka, w świetle reflektora, około dziesiątej wieczór. Bliższo. Kapitan zatrzymał statek, Virginia



MARCIN ŻYŁA x2

Na zdjęciach: migranci na pokładzie statku „Geo Barents” przygotowują się do zejścia na ląd w porcie Tarent, południowe Włochy, 4 stycznia 2023 r.

podawała przez radio: „Zespół MSF, zespół MSF, na stanowiska”.

Ratownicy na motorówkach mają sześć minut na zbiórkę przy dwóch żurawicach, którymi zostaną spuszczeni ze statku. Zespół medyczny razem z logistykami przygotowuje pokład, gdzie będą trafiać migranci: maty i koce, leki, zestawy do reanimacji, stanowisko rejestracji. Wkrótce motorówki są już na morzu.

Z CIEMNOŚCI, do których dopiero przyzwyczajają się oczy, wyłania się łódź. Nick zatacza łuk i podpływa „Orką” od tyłu. „Stop the engine!” – krzyczą ratownicy. – Jesteśmy tu, żeby wam pomóc. Wyłączcie silnik!”.

Z przodu, przez łoskot fal, do ludzi na łodzi przemawia Fulvia. Nie zabiera się megafonów, gdyż zniekształcają głos, kojarzą się z agresją, mogą obudzić najgorsze wspomnienia, wywołać panikę. „OK, chłopaki, słuchajcie mnie, nie ruszajcie się, nie wstawajcie! Za chwilę rozdamy wam kamizelki ratunkowe, OK?! Podawajcie je innym! Pojedynczo, OK?!”.

Częste powtarzanie „OK” działa uspokajająco.

„Kontrola tłumy wygląda dobrze – z mostku „Geo Barents”, odległego od nas o trzysta metrów, Antonin obserwuje sytuację na łodzi. Jej lewa strona

niedużo się przechyliła, jeden z silników jest w całości w wodzie. Nie wiadomo, czy jest wyłączony. Migranci dostają pierwsze kamizelki.

„Wszystko jest OK, chłopaki! OK, zrobimy to bardzo powoli! Nie ruszajcie się! Przyjaciele, to jest bardzo ważne! Siedźcie! Musicie mi zaufać, OK? Ja wam ufam!” – krzyczy Fulvia.

Sytuacja chyba jest opanowana. Z niewielkiej odległości motorówka „Mike” obserwuje sytuację z drugiej strony łodzi.

„Nie ruszajcie się! Siadajcie! Przyjaciele, siadajcie! Proszę! Ty też! Wszyscy, OK?! Musicie mi zaufać, OK? Macie teraz nic nie mówić, dobrze? Dziękuję. Wszystko będzie dobrze. Ale teraz bądźcie cicho i słuchajcie mnie! Ty! Siadaj! OK?”.

Kamizelki ratunkowe mają już chyba wszyscy. „A teraz uwaga! Siedźcie! Patrzcie na mnie! OK! Chłopcy, od teraz, proszę, chłopcy”...

Fulvia miała dalej powiedzieć: „Macie się na mnie patrzeć, ten, na kogo wskaże palcem, wstaje i przechodzi do nas” – kiedy łódź się przechyliła, w ciągu trzech sekund nabrała wody i wszyscy znaleźli się w wodzie.

GDY TUŻ OBOK w nocy na morzu wywraca się łódź z czterdziestoma ludźmi, mózg przez chwilę odmawia przyjęcia informacji dostarczanych przez oczy.

W kolejnych dniach robi dużo, żeby zapomnieć. Dwa dni po wypadku, doglądając ocalonych, Nejma powie: „Widzieliśmy cud, a tuż wcześniej jego dokładną odwrotność. Na to nie ma słów, nie ma nawet myśli właściwych”.

Ufam Nejmie, bo zwraca uwagę na szczegóły. Kiedyś opiekowała się grupą ludzi z Sierra Leone. Tak bardzo chcieli wysłać wiadomość, że żyją. Bo w ich wiosce za ludzi uznanych za zmarłych odprawia się wielodniowy rytuał, który zmienia życie całych rodzin. W przerwie między misjami Nejma przekopowała biblioteki, żeby dowiedzieć się więcej.

Nazajutrz, na odprawie, nie da jej spokoju pytanie: a gdyby ktoś znalazł się pod przewróconą łodzią, co wtedy? Według protokołu, jeśli silnik jest wyłączony, uznaje się ją za zmarłą. – Czy wtedy wyciągamy ciało? – dopytuje Nejma. – I jak?

Tak, jeśli nie naraża to ratowników na niebezpieczeństwo, po podjęciu żywych, wyciągamy ciało – brzmi odpowiedź.

Nejma nie ustaje: – Może inne organizacje mają w tym doświadczenie? ➔

→ **PIERWSZA MYŚL** Niamh, pielęgniarki na „Mike’u”: „Nie wyciągniemy ich wszystkich”. Druga: „Nie będzie gdzie ich reanimować”. Mikkelowi, dziennikarzowi, staje przed oczami masowy grób. Do głowy Nicka, sternika „Orki”, na milisekundę wpada pytanie, czy nie potraciliśmy łodzi dziobem. Ale je zawiesza, głowa jest teraz potrzebna do czegoś innego.

„Jeden! Dwa! Trzy!”. Na „trzy” wyciąga się z wody. Za dłoń, lepiej za ramię, najlepiej za pasek od spodni. „Orka” podejmuje pierwszych ludzi z wody. Woda ciężka, niektórym zsuwają się spodnie. Po kilku sekundach leżenia na dnie łodzi, wstają z trudem. Muszą usiąść z tyłu, zrobić miejsce dla następnych. Ktoś krzyczy, że w morzu jest jego siostra.

„Mike” też podejmuje ludzi. Na przewróconym kadłubie łodzi są dwie osoby bez kamizelek. Uda się im je rzucić. Mostek „Geo Barents” daje zielone światło do przetransportowania ich na statek. Potem wracamy w rejon wypadku. Łodzie z migrantami nie mają listy pasażerów, więc trzeba przeszukać spory rejon. Dopiero teraz spostrzegam, że niedaleko zatrzymał się jeszcze olbrzymi kontenerowiec. Wielkie statki w takich sytuacjach pomagają osłonić rejon wypadku przed dużymi falami.

Nick gasi silnik i wylacza reflektory motorówki. Wtedy z mostku Antonin ogłasza, że nikt z przekazanych na pokład ludzi nie zgłasza nieobecności nikogo. Kołyszemy się w rytm fal, nikt nic nie mówi. Od wypadku minęło pół godziny.

To niewiarygodne, jak wiele widać po ciemku, nawet przy słabym świetle księżyca. Jeśli nie ma chmur, niebo wydaje się jaśniejsze niż na lądzie. Jeśli są chmury – ciemniejsze. Woda i fale przybierają kształty, są szkliste, srebrzyste, jakby wykonane z topionego metalu.

Fulvia chce się upewnić, że w wodzie nie ma nikogo, więc jeszcze długo zataczamy kręgi. Zbieramy kamizelki i boje ratunkowe. Notuję współrzędne wyświetlane na kokpicie motorówki – N 33,41,061; E 17,05,107 – żeby nie pozostać z wrażeniem, że wszystko działa się pośrodku wielkiej pustki.

NASTĘPNEGO DNIA z biura Lekarza Bez Granic, mieszczącego się na pokładzie

„Geo Barents”, zostaje nadana sucha wiadomość: „Na prośbę włoskiego centrum koordynacji ratownictwa morskiego nasz zespół uratował właśnie 41 osób na wodach międzynarodowych na północ od Libii. Akcja została przeprowadzona w całkowitej ciemności i w trudnych warunkach, po zatonięciu łodzi. Pomimo traumatycznego doświadczenia 41 ocalałych, w tym dwie kobiety, są na pokładzie »Geo Barents«, pod opieką zespołu MSF”.

Ludzie ci płynęli łodzią już trzeci dzień. Nie mieli wody ani jedzenia. Nie mieli szans dotrzeć na jakikolwiek stały ląd w ciągu kolejnych kilku dni.

NA POLECENIE WŁOCH w środę 4 stycznia „Geo Barents” wysadza w porcie Tarent 85 osób – ocalałych z wypadku oraz tych podjętych z tankowca. „Trzymajcie się, wszystkiego dobrego, szczęśliwego nowego roku” – słychać w porcie. Zaraz potem statek znów wychodzi w morze. Czas goni. Na niedzielę służba meteo zapowiada u wybrzeży Libii silny wiatr z północnego zachodu i pięciometrowe fale. Zatopią wszystkie liche łodzie i pontony, które wcześniej, przy dobrej pogodzie, odbiją z plaż w okolicach Trypolisu. Virginia chce dotrzeć do strefy poszukiwań przed piątkiem wieczór.

Piloci „Kolibra” mailują z Lampedusy, że w związku z tym wstrzymują się z przeglądem samolotu.

W porcie w libijskiej Mistracie gruziński marynarz z tankowca „Broadway” być może myśli o spotkaniu z Fulwią i załogą „Orki”. A może transfer ludzi na środku morza nie jest dla niego niczym nadzwyczajnym. W końcu na dzień przed tamtym spotkaniem, tak samo w nocy, tak samo stojąc na końcu chyboliwego trapu opuszczonego z tankowca, Gruzin samodzielnie podjął z gumowego pontonu 44 osoby.

PO DEKADZIE masowej migracji przez Morze Śródziemne ciągle nie wiadomo, jaki procent łodzi pozostaje niezauważony. Ile tonie poza zasięgiem sieci komórkowych, radarów i ludzkiego wzroku? Ile należałoby dodać do 1373, oficjalnej liczby zaginionych w 2022 r.? I w jakich okolicznościach w wodzie znalazło się koło ratunkowe, które minęliśmy wczoraj rano?

© © MARCIN ŻYŁA



Nowe szaty Bibiego

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET
Z TEL AWIWU

Ultraortodoks skazany za korupcję, prawnik żydowskich terrorystów, rasista, homofob oraz gej: takiej mieszanki jeszcze w izraelskim rządzie nie było.

COKOLWIEK BY MÓWIĆ O NOWYM Rządzie Izraela, zaprzysiężonym 29 grudnia 2022 r., jedno jest pewne: szykuje się skomplikowany czas. Cieszą się wyborcy partii religijnych (Szas, Zjednoczony Judaizm Tory) i prawicowych (Likud), a także radykalnych (Religijny Syjonizm, Żydowska Siła i Noam), które w listopadowych wyborach odniosły sukces. Wraz z nimi sukces odniósł najpotężniejszy lider w historii izraelskiej prawicy: Benjamin Netanjahu.

Jego powrót do polityki i do premiershipu wywołał euforię w elektoracie Likudu – bo Bibi (jak go nazywają) uchodzi tam za zdolnego polityka, który pilnuje interesów zwykłego Izraelczyka i broni bezpieczeństwa kraju. Dla premiera gotowi byli przymknąć oko na wybryki radykałów, którzy byli mu potrzebni, by ten rząd uformować. Z kolei dla przeciw-



GIL COHEN-MAGEN / AFP / EAST NEWS

Benjamin Netanjahu oraz Arie Deri z partii religijnej Szas podczas obrad parlamentu. Jerozolima, 13 grudnia 2022 r.

ników Bibiego jego zwycięstwo to domknięcie wieka trumny: ostatnie wybory dobiły lewicę, a centrum udowodniło, że nie potrafi pokonać Netanjahu. Wielkie protesty przeciw premierowi, które ogarnęły kraj w latach 2020-21, odeszły w zapomnienie. Nie wiadomo, co centrum i lewica musiałyby zrobić, by podważyć jego pozycję.

W roku 2023 można się więc spodziewać i pogłębienia podziałów między zwolennikami oraz przeciwnikami premiera, i jeszcze mocniejszego dojścia skrajności do głosu. To ostatnie zapewni sam Bibi: oto zmartwychwstał, a w rękach ma broń, która może mu pomóc pozatlatwiać swoje sprawy, w tym zamknąć proces korupcyjny – własny rząd.

Z wyrokiem w zawieszeniu

Galeria nowych ministrów jest przeciekawa. Na czołówkach mediów wylądował właśnie Arie Deri: lider Szasu, ultraortodoksyjnej partii Mizrachijczyków i Sefardyjczyków, a obecnie minister spraw wewnętrznych i zdrowia w jednej osobie. W lutym 2022 r. został skazany w zawieszeniu za przestępstwo podatkowe i złożył mandat posła (był to element ugody z oskarżeniem). Zapewnił wtedy, że nie zamierza ubiegać się w przyszłości o urzędy polityczne. Dziś komentuje, że nie był wtedy zdecydowany, by zrezygnować z takich funkcji na zawsze. Wraca więc jako podwójny minister, ale żeby mógł objąć te funkcje, Kneset przyjął wcześniej specjalną ustawę: według tzw. prawa Deriego (jak ją nazwano) tylko osoba skazana na bezwzględne więzienie nie może pełnić funkcji ministra, a wyrok w zawiesz-

niu tego nie uniemożliwia. Ustawa została zaskarżona do Sądu Najwyższego, co jednak nie stanęło na drodze temu, by Deri objął nowe urzędy.

Wiosną 2021 r., gdy doszło do eskalacji konfliktu z Palestyńczykami i 11-dniowej wojny w Gazie, ówczesny komisarz izraelskiej policji wskazał winnego rozlewu krwi. Był to jego zdaniem Itamar Ben-Gewir, radykalny prawniczy aktywista, adwokat i polityk, lider Żydowskiej Siły – to jego prowokacyjne zachowania w Szejk Dżarrah we wschodniej Jerozolimie miały podpalić region. W obecnym rządzie Ben-Gewir – w młodości członek ultranacjonalistycznej i rasistowskiej partii Kach, prawnik żydowskich ekstremistów, skazany w 2007 r. za podżeganie do nienawiści na tle rasowym – otrzymał tekę ministra bezpieczeństwa narodowego. Przejął kontrolę m.in. nad policją, a człowiek, który zarzucił mu rozpetanie wojny, stał się jego podwładnym. W ostatnich dniach Ben-Gewir zasłynął prowokacyjnym spacerem po Wzgórzu Świątynnym, co wywołało międzynarodowe poruszenie. Padło pytanie, czy Netanjahu poradzi sobie z ekscesami swoich ministrów, nie wywołując przy tym kolejnej wojny.

Homofob i gej

Pisząc o biografiach członków nowego rządu, nie można zapomnieć o takich postaciach jak Becalel Smotricz (szef Religijnego Syjonizmu, osadnik wspierający aneksję Zachodniego Brzegu, nazywający siebie „dumnym homofobem”; w 2005 r. aresztowany za udział w agresywnych protestach przeciw wyjściu Izraela ze Strefy Gazy, ostatecznie nie został skazany) albo Avi Maoz z partii Noam (minister w kancelarii premiera, słynący z homofobii; teraz ma decydować, kto będzie mógł podejmować współpracę ze szkołami i jakie treści będą docierały do uczniów) czy też Jicchak Goldknopf – minister mieszkalnictwa, którego oskarża się o posiadanie apartamentu podzielonego na pięć mieszkań bez potrzebnych zezwoleń.

W zdominowanym przez mężczyzn rządzie są cztery kobiety, w tym Orit Struk – osadniczka z Hebronu i działaczka na rzecz aneksji Zachodniego Brzegu, matka 11 dzieci i babcia ponad 20 wnuków. Jest

też autorką sugestii, że lekarze powinni mieć możliwość odmówienia leczenia gejów, jeśli stoi to w konflikcie z ich religijnymi przekonaniami. Na czele Knesetu stoi z kolei Amir Ochanna – ujawniony gej, prawnicowiec z Likudu, na widok którego na zaprzysiężeniu nowego rządu ortodoksyjni posłowie odwrócili wzrok.

Sądy pod lupą

Nowy gabinet jest duży: to 31 ministrów – wypadkowa interesów koalicjantów, których żądania premier musi zaspokoić.

Kontrowersje budzą zapowiadane reformy, burzące *status quo* w relacjach między państwem a wymiarem sprawiedliwości. Choć Netanjahu przekraczał dotąd wiele granic – stając przed sądem, urządzając polowania na nieprzychylnie mu organizacje pozarządowe czy usiłując wpłynąć na media – to nigdy nie odważył się radykalnie podważyć niezawisłości sądów. Dlatego obawy budzi fakt, że rząd chce dać większości parlamentarnej uprawnienia do odrzucania orzeczeń Sądu Najwyższego o niekonstytucyjności ustaw (osłabiłoby to możliwość kontroli władzy przez sądy). Rząd chce też mieć wpływ na powoływanie sędziów i wprowadzić zmiany w zasadach pracy prokuratora generalnego.

Nacjonalistyczna religijna prawica będzie też dążyć do podkreślenia żydowskości państwa. Wśród izraelskich Arabów i innych mniejszości rośnie poczucie zagrożenia – na tym tle można spodziewać się napięć społecznych. Ale poczucie zagrożenia rośnie też wśród niereligijnych Żydów, którzy boją się, że nowa władza narzuci religijne standardy – niektórzy ministrowie są zwolennikami obecności prawa halachicznego w przestrzeni publicznej.

Nie brak ksenofobicznych i homofobicznych wypowiedzi autorstwa członków nowego rządu. Sympatia dla środowisk radykalnie konserwatywnych oznacza dla nich bonusy, także w tematach, które dotąd budziły kontrowersje: subwencji państwa, zwolnienia ortodoksów ze służby wojskowej czy religijnego szkolnictwa bez nadzoru państwa. Część z członków nowego rządu to osadnicy z Zachodniego Brzegu – będą wspierali interesy swoich społeczności, dążąc do dalszego rozwoju ruchu osadniczego. A tutaj premier może mieć problemy: USA i Europa nie będą wspierały działań *de facto* pogłębiających kryzys bliskowschodni. ©

Jak pokonać smoka

MARTA ZDZIEBORSKA Z CHICAGO

Świat rozpoczął pogoń za wydobyciem metali ziem rzadkich, które są kluczowe dla obronności oraz dla zielonej i cyfrowej transformacji. Na razie jest 1:0 dla Chin.

SIEDEMNAŚCIE PIERWIASTKÓW O NIETYPOWYCH nazwach – jak gadolin, neodym czy dysproz – to złoto XXI stulecia. Dzięki swoim właściwościom magnetycznym i optycznym metale ziem rzadkich służą do produkcji magnesów w smartfonach, laptopach, turbinach wiatrowych, samochodach elektrycznych i sprzęcie wojskowym. Ślady tych surowców znajdziemy m.in. w dronach, łodziach podwodnych, systemach obrony rakietowej i reaktorach jądrowych.

Szacuje się, że do 2030 r. zapotrzebowanie na metale ziem rzadkich wzrośnie niemal trzykrotnie. Jak z kolei wylicza Międzynarodowa Agencja Energetyczna, do osiągnięcia do roku 2050 neutralności pod względem emisji dwutlenku węgla świat będzie potrzebował aż 42 razy więcej litu niż dotychczas, 25 razy więcej grafitu, 21 razy więcej kobaltu – i ogólnie siedem razy więcej wszystkich metali ziem rzadkich.

Na garnuszku Pekinu

O strategicznym znaczeniu tych surowców mówiła we wrześniu 2022 r. przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen. Siedem miesięcy od rozpoczęcia rosyjskiej inwazji przeciw Ukrainie przestrzegała, że metale ziem rzadkich będą wkrótce ważniejsze niż ropa i gaz. „Nasze zapotrzebowanie na te pierwiastki może wzrosnąć do 2030 r. nawet pięciokrotnie. Musimy zadbać o to, by po raz kolejny nie polegać tylko na jednym dostawcy” – mówiła von der Leyen, nawiązując do uzależnienia Europy od rosyjskiego gazu.

W przypadku metali ziem rzadkich jest równie niebezpiecznie, tylko zmienił się dostawca: aż 98 proc. eksportu tych surowców do Unii Europejskiej pochodzi z Chin, które stały się w tym względzie absolutnym gigantem.

Choć kraj ten ma jedną trzecią światowych złóż tych pierwiastków, to kontro-

luje dziś aż 60 proc. globalnej produkcji, do chińskich rafinerii (specjalizujących się w obróbce tego rodzaju pierwiastków) trafia zaś aż 85 proc. wydobywanych na świecie metali ziem rzadkich. Jednym ze zleceńodawców są Stany Zjednoczone, które posiadają tylko jedną kopalnię – Mountain Pass w Kalifornii – i ani jednej takiej rafinerii.

W kolejce po chińskie dostawy ustawią się m.in. Indie, Japonia, Korea Południowa, Australia, a także... Tajwan, czołowy producent chipów, który w ostatnich miesiącach znalazł się na celowniku Pekinu. Eksperci przestrzegają, że w razie agresji Chin na tajwańską wyspę Zachód będzie miał związane ręce. Każda bowiem forma pomocy Waszyngtonu dla Tajwanu może skutkować nałożeniem ceł na amerykańskie firmy zbrojeniowe, które zależą od chińskich dostaw metali ziem rzadkich.

Tak zresztą stało się już w lutym 2022 r., gdy Pekin – w reakcji na dostawy broni dla Tajwanu – nałożył sankcje na producenta myśliwców F-35 Lockheed Martin Corp. oraz na największego na świecie producenta pocisków rakietowych Raytheon Technologies Corp.

To nie pierwszy tego rodzaju odwet: w 2010 r. Pekin wstrzymał dostawy metali ziem rzadkich do Japonii po tym, jak kapitan chińskiej łodzi rybackiej został aresztowany przez Japończyków w pobliżu spornych wysp Senkaku. W wyniku polityki Pekinu ceny tych pierwiastków wzrosły kilkukrotnie, co skłoniło Japonię, Unię Europejską i Stany Zjednoczone do złożenia skargi do Światowej Organizacji Handlu. Ta przyznała im rację i ograniczenia eksportowe wobec Tokio zostały ostatecznie zniesione.

Air Force nie poleci

„Japonia doświadczyła tego samego, co dziś Stany Zjednoczone: to polityczny konflikt z Chinami, które nie wahają się

wykorzystać swojej dominacji na rynku metali ziem rzadkich” – uważa Marc Schmid, niemiecki naukowiec z Uniwersytetu w Halle i Wittenberdze.

Sytuacja jest o tyle poważna, że w przypadku odcięcia przez Chiny eksportu metali ziem rzadkich Amerykanie zostaną z zapasami, które starczą na zaledwie trzy miesiące produkcji sprzętu wojskowego. To, jak bardzo Waszyngton zależy od dobrej woli Pekinu, pokazuje zeszłoroczne zamieszanie z myśliwcami Air Force. Pentagon wstrzymał dostawy nowego modelu F-35, bo skończyły się rezerwy kobaltu i samaru, pierwiastków niezbędnych do produkcji części odpowiedzialnej za uruchomienie silnika. Postawiony pod ścianą amerykański producent musiał poczekać na przesyłkę z Chin.

Można powiedzieć, że Amerykanie są sami sobie winni. Do lat 80. XX w. kalifornijska kopalnia Mountain Pass była największym światowym producentem metali ziem rzadkich, jednak ze względu na wysokie koszty wydobycia oraz szkodliwe skutki dla środowiska ostatecznie przestawiono się na import z Chin.

Wykorzystał to Deng Xiaoping, inicjator chińskich reform społeczno-gospodarczych, który lubił powtarzać, że „Bliski Wschód ma ropę, a Chiny metale ziem rzadkich”. Państwo Środka budowało monopol, przedstawiając się jako niezawodny partner, który nie wykorzysta swojej przewagi do dyplomatycznego odwetu, tak jak to zrobiły kraje Zatoki Perskiej w 1973 r. (wstrzymały handel ropą z państwami wspierającymi Izrael w wojnie Jom Kipur).

Chiny przez dekady rozwijały swój rynek dzięki niższym kosztom wydobycia, mniej restrykcyjnym regulacjom środowiskowym oraz przepisom wspierającym rodzimą produkcję. Już w latach 90. XX w. metale ziem rzadkich okrzyknięto mianem „strategicznych bogactw naturalnych”, zakazując zagranicznych inwestycji w ich wydobycie, jednocześnie przyznając ulgi na podatki eksportowe.

Chiny cierpliwie budowały swoją potęgę, stopniowo przechodząc od eksportu nieprzetworzonych surowców do produkcji magnesów, a następnie silników elektrycznych, baterii i telefonów komórkowych. Efekt jest taki, że dziś to Chiny wytwarzają około 76 proc. baterii w samochodach elektrycznych, Unia Eu-



JIE ZHAO / GETTY IMAGES

Robotnicy w kopalni metali ziem rzadkich. Prowincja Jiangxi, Chiny, 20 października 2010 r.

ropejska odpowiada za zaledwie 7 proc., a Stany Zjednoczone – 8 proc.

Bardzo długa walka

Już w 2010 r. raport amerykańskiego Kongresu przestrzegał, że do uniezależnienia się od chińskich dostaw Stany Zjednoczone potrzebują co najmniej 15 lat. Jak mówi „Tygodnikowi” Guillaume Pitron, francuski ekspert i autor książki „Wojna o metale rzadkie”, otwarcie kopalni lub rafinerii metali ziem rzadkich to bardzo żmudny proces. – Nie wystarczy pokonanie skomplikowanej procedury dotyczącej uzyskania pozwolenia na budowę, niezbędne jest także zdobycie *know-how* i wyszkolenie inżynierów. Pod tym kątem Chiny mają dziś nad Zachodem przewagę – tłumaczy Pitron, dodając, że według szacunków Międzynarodowej Agencji Energetycznej na otwarcie zakładu specjalizującego się w metalach ziem rzadkich potrzeba średnio 16,5 roku.

Przykładowo w Stanach Zjednoczonych na zezwolenie od agencji rządowej średnio czeka się co najmniej dwa lata, natomiast sam etap przygotowania i budowy nowej inwestycji może potrwać nawet dekadę. Nie pomagają też producenci, którzy nie palą się do dywersyfika-

cji dostaw: w minionym roku Ford przypieczętował umowę z CATL, chińskim producentem baterii do pojazdów elektrycznych, zaopatrującym m.in. również należącą do Elona Muska Teslę.

W Europie dochodzi opór ze strony ekologów, władz i samych mieszkańców: od lat trwa np. impas w sprawie inwestycji w szwedzkie złoża w Norra Kärr czy w hiszpańskim regionie Estremadura. Głośnym echem w 2021 r. odbiło się przyjęcie przez parlament Grenlandii ustawy, która zakazała wydobywania uranu na tej wyspie. To przekreśliło plany na rozwój kopalni Kuannersuit, znajdującej się na terenie jednych z największych złóż metali ziem rzadkich na świecie.

Wydobycie i obróbka tych pierwiastków wzbudzą duży sprzeciw, gdyż nierzadko wymieszane są one z radioaktywnym uranem lub torem, co zwiększa zagrożenie dla ekosystemu przy rafinacji. Ponadto w procesie tym stosowane są szkodliwe związki chemiczne, takie jak kwas siarkowy i kwas fluorowodorowy.

Zielony wyścig

Amerykanie porzucili swoje ekologiczne rozterki i dziś pełną parą wkraczają do wyścigu o metale ziem rzadkich.

Jeszcze przed przegraniem wyborów prezydenckich w 2020 r. Donald Trump nazwał uzależnienie USA od chińskich dostaw „kryzysem narodowym”. „Silna Ameryka nie może polegać na sprowadzanych z wrogich krajów surowcach kluczowych dla utrzymania ekonomicznej i wojskowej potęgi w XXI wieku” – napisał Trump, mający pod tym względem podobną optykę co Joe Biden. W jednym z raportów obecnej administracji stwierdzono wręcz, że zależność od zagranicznych dostaw metali ziem rzadkich, baterii czy półprzewodników stanowi „zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego”.

W minionym roku Joe Biden nie próżnował: na wybudowanie rafinerii tych surowców przy kopalni w Mountain Pass w Kalifornii wyasygnował 35 mln dolarów. Odpowiedzialna za ten projekt firma MP Materials ma wyłożyć dodatkowe 700 mln dolarów. Koncern odpowiada również za budowę w Fort Worth w Teksasie pierwszej amerykańskiej fabryki magnezu i innych części wykorzystywanych w produkcji samochodów elektrycznych.

To kluczowe dla administracji Bidena, która w ramach walki ze zmianami klimatu zakłada, że do 2030 r. auta elektryczne będą stanowiły połowę

→ produkowanych w kraju samochodów. W tym celu amerykański rząd kusi również firmy grantami: na zwiększenie produkcji baterii oraz wydobywania potrzebnych do tego litu, grafitu i niklu przeznaczono 2,8 mld dolarów.

Dobry wujek Joe jednocześnie stawia producentów pod ścianą: od tego roku ulgi podatkowe na zakup aut elektrycznych przysługują jedynie w przypadku modeli, których baterie w co najmniej 40 proc. wyprodukowano z surowców wydobytych w USA lub w jednym z 20 krajów mających z nimi umowy handlowe. Szczególnie duże kontrowersje wzbudza wymóg, by od 2024 r. pojazdy nie zawierały surowców sprowadzanych z Chin, Rosji czy Korei Północnej.

W rywalizacji z Państwem Środka amerykańscy senatorzy – Demokrat Mark Kelly i Republikanin Tom Cotton – chcą iść o krok dalej, proponując, by do 2026 r. podwykonawcy Pentagonu przestali sprowadzać metale ziem rzadkich z Chin. Projekt ustawy na razie utknął w Senacie.

Kolejka do Canberry

Waszyngton stawia dziś mocno na współpracę z Australią, czwartym największym na świecie producentem metali ziem rzadkich. W czerwcu 2022 r. Departament Obrony podpisał umowę z australijską firmą wydobywczą Lynas Rare Earths na budowę rafinerii w Teksasie. To będzie pierwszy poza Chinami zakład specjalizujący się w obróbce rzadziej spotykanych w skorupie ziemskiej pierwiastków, jak m.in. wykorzystywany do produkcji magneśmów dysproz.

Państwo Środka zareagowało na australijsko-amerykański *deal* nerwowo, wszczynając kampanię dezinformacyjną w mediach społecznościowych. Fejkowi użytkownicy wypisywali w sieci, że budowa zakładu doprowadzi do promieniotwórczego skażenia środowiska. Na celowniku znaleźli się również prezeska koncernu Lynas Rare Earths, Amanda Lacaze, oraz gubernator Oklahomy Kevin Stitt, który przebąkuje o produkcji metali ziem rzadkich w swoim stanie.

Jak donosi Australian Strategic Policy Institute, w minionym roku Chińczycy torpedowali także w sieci partnerstwo QUAD – formułę współpracy między USA, Australią, Japonią i Indiami, której celem jest stawienie czoła chińskiej dominacji, także w obszarze produkcji metali ziem rzadkich.

Chiny wytwarzają dziś

76 proc. baterii
dla aut elektrycznych,
UE odpowiada tylko
za 7, zaś USA za 8 proc.

Kluczową rolę ma odegrać tutaj Australia, od dłuższego czasu mocno inwestująca w rozwój i budowę nowych kopalni w Australii Zachodniej. W tym słynnym zagłębiu wydobywczym rud żelaza, niklu i złota do 2025 r. ma powstać rafineria metali ziem rzadkich. Plany inwestycyjne ma także koncern Lynas Rare Earths: w rozbudowę swojej kopalni Mount Weld zainwestuje 345 mln dolarów, co ma pomóc w zwiększeniu produkcji stosowanych w magnesach neodymu i prazeodymu.

Prężnie działa również Arafura Resources: w pokrytej czerwonym pyłem środkowej Australii chce wybudować kopalnię i rafinerię odpowiadającą za ok. 5 proc. światowego zapotrzebowania na wspomniane dwa pierwiastki. W kolejce do koncernu ustawiają się już światowi producenci. Jak donosi BBC, w 2022 r. firma podpisała umowę z Hyundaiem oraz producentem turbin wiatrowych GE Renewable Energy.

Brukselskie rozterki

Rękę do Australii wyciąga ostatnio Unia Europejska, pragnąca dostępu do tamtejszych złóż metali ziem rzadkich, kobaltu, litu i rud żelaza. Bruksela stawia również na relacje z krajami Ameryki Południowej – Argentyną i Chile. Z tym drugim krajem zakończono właśnie negocjacje nowej umowy ramowej, która przyspieszy dostawy litu z tamtejszych złóż.

Bruksela chce też rozwijać rodzimą produkcję: Komisja Europejska pracuje nad kodyfikacją unijnych zasad regulujących wydobywanie surowców, a także nad Aktem o surowcach krytycznych (Critical Raw Materials Act), mającym wytyczyć nowe kierunki dla dywersyfikacji dostaw.

Unia spogląda przy tym z nadzieją na Norwegię, gdzie ma powstać kilka zakładów produkujących baterie do samochodów elektrycznych. Jak donosi Agen-

cja Reutera, po obu stronach oceanu powstają start-upy prowadzące badania nad budową tańszych baterii sodowo-siarkowych, co pozwoliłoby na zwiększenie konkurencyjności w stosunku do chińskich produktów.

Guillaume Pitron mówi, że należy się spodziewać także inwestycji w wydobywanie litu. To zresztą już się dzieje. We Francji rozpoczęła się właśnie budowa kopalni litu, a w 2021 r. Grupa Renault podpisała umowę z Vulcan Energy na dostawę tego pierwiastka z Niemiec.

– Kontrakt przewiduje metodę wydobywania polegającą na ekstrakcji litu z mórz, oceanów i słonych jezior. To znacznie bezpieczniejsze dla środowiska niż kopalnie odkrywkowe – tłumaczy Pitron, dodając, że rywalizacja z Chinami paradoksalnie przysłuży się planecie.

Kwestia odpowiedzialności

Wydobywanie metali ziem rzadkich nigdzie nie jest bowiem tak szkodliwe dla środowiska jak w Chinach czy Birmie, która stała się zagłębiem wydobywczym dla Państwa Środka.

– Symbolem surowcowej pogoni Pekinu jest zbiornik poflotacyjny przy rafinerii metali ziem rzadkich na przedmieściach Baotou [miasto w Mongolii Wewnętrznej – red.]. Zbiornik wypełniony po brzegi toksycznymi i radioaktywnymi substancjami nie ma odpowiednich warstw ochronnych, co doprowadziło do skażenia wód gruntowych – mówi Pitron. – Do tego wielu mieszkańców choruje na raka i uskarża się na inne dolegliwości, jak problemy z oddychaniem czy sercem. W społeczeństwach obywatelskich, gdzie władzy na ręce patrzą dziennikarze i organizacje pozarządowe, tak duża skala zniszczenia dla środowiska byłaby nie do pomyślenia – dodaje ekspert, podając jako przykład Francję, gdzie od niedawna obowiązuje zreformowany kodeks górniczy.

Według Pitrona firmy odpowiedzialne są za potencjalną katastrofę ekologiczną nawet 10 lat po zamknięciu kopalni, co zmusza koncerny do inwestowania w technologie bardziej bezpieczne dla środowiska: – To oczywiście kosztuje więcej, ale skoro Zachód chce inwestować w zieloną transformację, to musi za to zapłacić uczciwą cenę.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press”.

JACEK

Podsiadło: Piękne były owoce, któreśmy ukradli



POWYŻSZYMI SŁOWAMI ŚW. AUGUSTYN zaprzecza sam sobie w drugiej księdze „Wyznań”. Przed chwilą wyjaśniał: „Oto w pobliżu naszej winnicy rosła grusza obсыpana owocami, nie odznaczającymi się zresztą ani szczególnie pięknym wyglądem, ani zaletami smaku”, a tu nagle mu brzydkie gruszki wypiękniały, bo „były przecież Twoim tworem, a Ty sam nad wszystko jesteś piękny, Stwórca wszechświata”. Trzeba być teologiem, żeby nie dostrzegać, iż uroda malarza nie przydaje piękna jego obrazom, ale to, że dobiegając pięćdziesiątki, Augustyn wciąż nie rozumie błędów swej młodości, czyni te błędy tylko ciekawszymi. Było bowiem tak: „Ja i paru podobnych do mnie młodych nicponiów poszliśmy otrząsnąć gruszę i zabrać owoce. (...) Może coś tam z tego sami też zjedliśmy, lecz prawdziwą uciechą było czynienie czegoś, co było zabronione”. „O ile pamiętam ówczesny stan moich uczuć, na pewno nie zrobiłbym tego bez kolegów”.

No i trzydzieści lat później tamte gruszki wciąż stoją świętemu w gardle: „Zastanawiam się teraz nad tym, Boże mój, co mnie tak zachwycało w kradzieży”. Ja też się zastanawiam, moje ty nieboże! A mam się nad czym zastanawiać, bo miałem i ja swoje gruszki, swoje zachwycenia i swoich kolegów-nicponiów. Z tym, że moje gruszki to były, uwaga, amperomierze!

Bardziej niż wszystkie gruszki świata zajmuje mnie chłopiec, którym byłem i który mną się nigdy nie stał. Chłopiec ten robił czasem coś, czego nie idzie zrozumieć i czego ja bym nie zrobił na pewno. Bywały to zarówno takie czyny, które ktoś święty nazwałby „dobrymi uczynkami”, jak i takie, które nazwałby „występkami”. Wśród tych ostatnich są zbrodnie, o jakich się św. Augustynowi nie śniło. Podrzucanie na drodze portmonecki uwiązanej na nitce przeciągniętej przez gałąź w ten sposób, że kiedy szczęśliwy znalazca schylał się po nią, portmonecka odfruwiała. Strzelanie ze skobłówki do pojazdów będących w ruchu. Wlewanie wieczorem benzyny do rowka biegnącego w poprzek drogi w miejscu, gdzie ekipa drogowców zakończyła wylewanie asfaltu jednego dnia i podjęła dnia następnego, i podpalanie jej, kiedy zbliżało się jakieś auto. Ale nic z tego nie dorównuje podłością grabieży amperomierzy.

Było bowiem tak: o ile pamiętam ówczesny stan uczuć chłopca, nie zrobiłby tego bez kolegi. A najlepszym kolegą chłopca był w owym czasie Marek, z którym siedzieli w jednej ławce. Marek był trochę dziwny. Miał bogatych rodziców, chyba badylarzy, i jemu jednemu z całej klasy niczego nie brakowało. Kto był najlepszy w grze w pieniądze? Marek, bo nie zależało mu na wygranej. Kto się nie bał dwóji na koniec roku, bo wiadomo było, że w razie czego starzy go wykupią? Marek. Kto przyniósł do szkoły zagraniczne karty do gry, którymi nie dawało się grać, bo była na nich pornografia? Nie powiem, nie jestem skarżypytą.

Pewnego razu Marek powiedział chłopcu, że jest taka sprawa. W pracowni fizycznej stoją w szafce dwa amperomierze.

rze. Wprawdzie jest ona po lekcjach zamykana na klucz, ale szafka nie. I gdyby te amperomierze zakosić, to on, Marek, ma na nie kupców, którzy mogliby za nie zapłacić nawet dwadzieścia złotych, bo to są prawdziwi przestępcy. Z grubsza w ten deseń, na pewno bez słowa „ukraść”. Chłopiec oczywiście od razu się zgodził. Zanim się nad tym w ogóle zastanowił, to wiedział, że musi się zgodzić. Co, ja nie dam rady? Ja mam cykora?! Ja ci jeszcze pokażę, całemu światu pokażę!

Owoce zakazane tylko wtedy mają powab, kiedy są zakazane same w sobie, kiedy nie wolno sięgnąć po to, co jest ich istotą. Wydaje mi się, że w duszy wszystkich chłopców jest coś, co z czasem na szczęście przechodzi, a co zewnętrzny zakaz zmienia w wewnętrzny przymus. W ogóle nie pamiętam, żeby chłopiec specjalnie myślał o 20 złotych, które mieli dostać za swój śmiały wyczyn. Pewnie się domyślał, że to gruszki na wierzbie.

Na koniec dnia woźna zamykała szkolne klasy, ale podczas przerw pozostawały one otwarte. Chłopcy zadbali o to, żeby wyjść z fizyki jako ostatni, a przedtem otworzyli okno. Nie na oścież, tylko tak, żeby pozostawało przymknięte. Wczesnym wieczorem, nie czekając, aż się ściemni, bo po dobranocce i dzienniku musieli być w domach, wśliznęli się oknem do pracowni fizycznej. Jak słodko serce rozsadało pierś, jaki dumny był chłopiec przed samym sobą, jak się czuło, że się żyje!

Piękne były amperomierze, które ukradli. Do dziś pamiętam śliską, może ebonitową czern pudelka ze strzałką za szybką, którym mając zajęte ręce, chłopiec przesadzał parapet. To nie była przyjemność kradzieży, zysku. To była przyjemność płynąca z zuchwałości. „Czy może wobec tego, że nie miałem mocy złamania prawa, przyjemność mi sprawiało przynajmniej udawanie, że to czynię?”.

Inaczej niż w przypadku św. Augustyna, w moim przypadku wszystko skończyło się dobrze. Okna pracowni fizycznej wychodziły na szkolne boisko. Po drugiej stronie boiska stał tzw. Dom Nauczyciela. Mieszkały w nim dwie nauczycielskie rodziny i okna też wychodziły na boisko. Zuchwałość została ukarana, sprawiedliwości stało się zadość. Chłopców poprowadzono na rzeź do gabinetu dyrektora. Rodziców zawezwano do szkoły. Amperomierze odzyskano. Pamiętam, że największy kłopot miał chłopiec ze zmyśleniem, po co one im były. „No, chcieliśmy zmierzyć, ile tak naprawdę prąd ma amperów... Ale już więcej nie będziemy, panie dyrektorze”. ©

POZEGNANIE

Wojciechowi Kostrzewie

serdeczne wyrazy współczucia z powodu śmierci

Ojca

składają

PRZYJACIELE Z „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

DWADZIEŚCIA JARDÓW

Początek roku 1919, pierwszego po Wielkiej Wojnie, niósł nadzieję. Mieszkańcom szkockiej wyspy Lewis przyniósł jednak nową żalobę, która naznaczyła ją na długie dekady.

PATRYCJA BUKALSKA ZE SZKOCJI

W PIERWSZYCH GODZINACH STYCZNIA 1919 r. statek „Iolaire”, transportujący wracających z frontów I wojny światowej szkockich żołnierzy, rozbił się o skały tuż u wejścia do portu Stornoway. Na pokładzie było 280 mężczyzn. O świcie okazało się, że ponad dwustu z nich zginęło – większość z wyspy Lewis oraz sześciu z wysp Harris, Scalpay i Berneray. Po tym ciosie wyspiarska społeczność podnosi się już od ponad stu lat.

Aby zrozumieć, jak wielka była to strata, trzeba spojrzeć na liczby.

Gdy w 1914 r. wybuchła I wojna światowa, populacja Lewis, wyspy Hebrydów Zewnętrznych, wynosiła niespełna 30 tys. mieszkańców. Z tego mundur założyło 6,5 tys. mężczyzn – mniej więcej jedna piąta wszystkich mieszkańców. To było proporcjonalnie więcej niż w jakimkolwiek innym regionie Wielkiej Brytanii.

Można też ująć to tak: na wojnę wyruszył co drugi mężczyzna z wyspy. Razem szli bracia, ojcowie z synami, kuzyni i przyjaciele z tej samej ulicy czy wioski. Prawie co szósty z nich do domu nie wrócił – zginęło ponad 1000 wyspiarzy.

Górale z osady Habost

W ostatni dzień roku 1918 Kyle of Lochalsh – miasteczko niewielkie, a jednak ważne, bo znajdowała się w nim zarówno stacja kolejowa, jak i przystan dla statków – było pełne żołnierzy na przepustce lub wracających na stałe do domu. Od rana dowoziły ich pociągi z Inverness. Wszy-

scy pochodzili z pobliskich wysp – Lewis, Harris i Skye – i czekali na dalszy transport: siedzieli w pubach, z poczty wysyłali telegramy do rodzin z zapowiedzią rychłego spotkania, szukali znajomych ze swoich wiosek, którzy wojnę spędzili w innych oddziałach.

Na wyspę Lewis żołnierzy miał zabrać parowiec SS „Sheila”, regularnie przewożący pocztę. Szybko jednak się okazało, że pasażerów będzie za dużo, więc do portu w Kyle ściągnięto statek admiralicji HMY „Iolaire”. Przed wojną był to prywatny luksusowy jacht, potem go zarekwirowano i wykorzystywano do patroli. Zmieniono też jego nazwę: z „Amalthaea” na „Iolaire”, co w tutejszym języku gaelickim znaczy „orzeł”.

Czekając na transport do domu, 20-letni marynarz Alexander John Campbell spotkał w Kyle młodszego brata Johna, który po kuracji gruźliczej również wracał na Lewis.

Alexander poszedł na wojnę razem z dwoma braćmi: Normanem i Murdo. Pierwszy zginął w 1916 r., drugi rok później. Teraz Alexander wracał do rodziców, mieszkających w Habost – jednej z najstarszych osad na Lewis.

Podczas krótkiego szczęśliwego spotkania w Kyle bracia rozmawiali pewnie o przyszłości – im, szkockim góralom (tu mówi się: Highlanderom), od zawsze cierpiącym na brak uprawnej ziemi, rząd w Londynie obiecał za wojskową służbę po cztery akry pola i po krowie. Można

było robić plany. Alexander i John trafili na dwa różne statki: John na „Sheilę” (razem z innymi cywilami i żołnierzami piechoty), a Alexander na „Iolaire”, gdzie skierowano ponad 200 mężczyzn służących w marynarce wojennej.

Nawet dziecko dałoby radę

Okolo godziny dwudziestej statki ruszyły w podróż na Lewis. Wiatr był silny, ale morze jeszcze dość spokojne. Potem, na wysokości Lewis, wiatr wzmógł się do siły orkanu, jednak ląd był już blisko – widać było światła przystani i latarni morskiej. Z niewyjaśnionych przyczyn w tych ostatnich minutach „Iolaire” zboczyła z kursu: zamiast skręcić do portu, z pełną prędkością uderzyła w skały zwane Beasts of Holm (Bestiami z Holm). Po katastrofie powołano komisję, która nie przedstawiła jednak żadnego racjonalnego wyjaśnienia tego wydarzenia. John MacLennan, który przeżył katastrofę, stwierdził: „Nawet dziecko dałoby radę wprowadzić ją [tj. „Iolaire” – red.] do portu tej nocy”.

To jednak było już później. Wtedy, w nocy z 31 grudnia na 1 stycznia, na całej wyspie trwały przygotowania do powitania wracających mężów, braci i synów – w domach trzymano płonący ogień, koło niego suszyły się świeże ubrania dla tych, którzy mieli stanąć w progu już za chwilę. Jedzenie grzało się w garnkach i kociołkach.

Niektórzy z bliskich czekali na żołnierzy w domach, inni poszli do portu



Stornoway. Wśród nich, wypatrując światła „Iolair”, stał John Campbell – statek „Sheila”, którym płynął, przybił wcześniej do przystani. „Iolair” wciąż nie było, mimo że wypłynęła pierwsza i była szybsza.

O świcie John dowiedział się, że statek z jego jedynym ocalałym z wojny bratem zatonął. Z czterech synów Johna i Isabelli Campbellów został tylko on. Nie mógł wtedy wiedzieć, że i jego czas jest policzony – zmarł na gruźlicę w marcu 1920 r., w wieku 19 lat.

Tuż przy brzegu

„Widok był przerażający. Nawykliśmy do min, torped i ostrzału artyleryjskiego, ale to, co się działo, wzbudziło strach w naszych sercach. Wiedzieliśmy, że jesteśmy w pułapce, bo żadna szalupa nie utrzyma się w takim wirze. Najsilniejszy pływak byłby jak zabawka” – napisał po latach Donald MacDonald, jeden z ocalałych.

Kiedy „Iolair” uderzyła w skały, przechyliła się i zaczęła nabierać wody, do linii brzegowej było zaledwie 20 jardów. W całkowitych ciemnościach nie było jednak nic widać – dopiero w świetle wystrzelonych rac żołnierze zobaczyli, jak blisko są lądu. Wielu w pierwszym odruchu skoczyło do wody. Podobno nikt z nich nie ocalał – nie mogli pokonać wzburzonych fal, które ciskały ich o skały; na dno ciągnęły ich ciężkie mundury, a wielu nie umiało po prostu pływać. Na statku nie było dość szalup ratunkowych dla nadprogramowej liczby pasażerów, a tych, które były, albo nie udało się opuścić, albo się rozbiły.

Przeżyło ponad 70 mężczyzn. Aż 40 z nich zawdzięczało życie 30-letniemu Johnowi Finlayowi Macleodowi, który obwiązał rękę liną, skoczył z wraku do wody i zdołał dopłynąć do lądu. W wywiadzie udzielonym w latach 70. John wspominał, że dystans nie był duży, ale cały czas silne fale ciskały go o kamienie, a potem odrzucały dalej i dalej. W końcu udało mu się wpełznąć na

JULIET FERGUSON / ALAMY / BE&W

Iolair Sailed – monument upamiętniający załogę i statek „Iolair” w porcie Stornoway na wyspie Lewis w Szkocji.

→ skałę, a dzięki trzymanej przez niego linie kilkudziesięciu ludzi przedostało się ze statku na brzeg.

Przeżył też Donald „Am Patch” Morrison, który wspiał się na jeden z masztów. Przetrwał, trzymając się go kurczowo, aż o dziesiątej rano nadeszła pomoc (wcześniej widziano go, ale nie dało się podплыnąć do wraku). Na pokładzie był też jego brat Angus, lecz utonął.

Nazajutrz

Niektórzy z tych, którzy dopłynęli do lądu, w szoku po prostu poszli do domu. Przemoknięci, czasem bez butów, w ciemnościach. Jeden przeszedł tak 50 mil do swojej wioski na Harris (tradycyjnie określana jako osobna wyspa, ale połączona z Lewis). Czasem zatrzymywali się przed drzwiami i nie mieli siły, by je otworzyć. Bo trzeba było powiedzieć, że zginął brat, kuzyn. Że tylko ja przeżyłem. Tak było z Morrisonem, który po latach opowiadał, że nie mógł spojrzeć w oczy matce – był przekonany, że matka zastanawia się, jak to się stało, że on przeżył, a brat zginął.

Również Duncan Macaskill stracił brata, młodszego o siedem lat. Aż do śmierci w 1935 r. dręczyło go – jak wielu z tych, którzy ocalili – poczucie winy.

Tragedia dotknęła całą wyspę. Świt odślonił przejmującą scenę: wylawiano ciała, morze wyrzucało też bagaże. Czasem były to zabawki dla dzieci, które wieźli im wracający ojcowie. Był też worek z pomarańczami, które miały być świątecznym podarkiem – wiadomo od kogo, bo na worku zachowało się nazwisko.

Do Stornoway z całej wyspy zjeżdżały konne wozy, by zabrać ciała bliskich. Nie było osoby, która nie byłaby poruszona tym, co się stało. Zamknięto szkoły.

Nie wszystkie ciała odnaleziono i niektóre z rodzin nie mogły pochować bliskich. 24-letni Angus Mackinnon na zawsze spoczął w morzu, fale wyrzuciły na brzeg tylko jego wojskowy płaszcz. W kieszeni nadal spoczywał jego woreczek na tytoń, w którym Angus schował pukiel włosów swojej żony Ethel. W chwili katastrofy Ethel była w ciąży – córeczkę, którą urodziła już jako wdowa, nazwała Nellie Iolaire May.

W relacjach pojawia się płacz kobiet – wdów i narzeczonych, które „Iolarie” pozabawiła miłości i przyszłości.

Po I wojnie światowej i po dramacie z 1 stycznia 1919 r. Lewis stała się wy-

spą wielu samotnych kobiet ubranych w czerń, której nigdy nie zdjęły. Jedna z nich, Christina Macleod (żona utopionego Normana), nie podniosła się z rozpaczy. Zmarła w szpitalu psychiatrycznym. Jeden z jej synów, gdy dorósł, porzucił wyspę i wyjechał do Kanady.

Ból był tak wielki, że ciężko było znaleźć sposób wyrażenia go – i w efekcie o katastrofie się tutaj nie mówiło. Spoko było ją milczenie.

Cisza

„Po prostu nie wymawiało się słowa »Iolaire«. Już jako dziecko się to wiedziało”, „Wiedzieli wszyscy, ale było tak, jakby nie wiedział nikt”, „To było tak, jakby to, co się stało, spowijała ciemna zasłona” – tak o trwającym przez dekady milczeniu mówili mieszkańcy. Ich relacje przeanalizowali naukowcy z University of the Highlands and Islands, w ramach projektu „Iolaire Impact”, poświęconego wpływowi tragedii z 1919 r. na wyspiarzy.

Zdaniem naukowców była to strategia zbiorowego radzenia sobie z tą niewyobrażalną traumą, a u jej źródeł mógł stać m.in. samowystarczalny i stoicki charakter wyspiarskiej kultury. Chodziło też o to, by nie ściągać niechcianej uwagi na rodziny bezpośrednio dotknięte stratą – wszyscy i tak przecież wiedzieli, kto stracił syna czy brata, i nie było powodu, by o tym mówić na głos.

„Cisza wywołana tragedią »Iolaire« była szczególnego rodzaju. Jest to nie wywołana przez naturę kultury gaelickiej, jak i próbę ułatwienia ocalałym reintegracji ze społecznością” – czytamy w raporcie z projektu. Badacze zaznaczają, że proces ten był wielowarstwowy i międzypokoleniowy. Milczenie trwało dziesięciolecia.

W 1960 r. miejscowa „Stornoway Gazette” opublikowała broszurę „Sea Sorrow” poświęconą tamtym wydarzeniom. W 1978 r. Norman Malcolm Macdonald wydał „Call na H-Iolaire”, pierwszą napisaną po gaelicku książkę na ten temat. Jednak właściwie dopiero w wieku XXI zaczęły pojawiać się na większą skalę książki o zatonięciu „Iolaire”. Wśród nich powieść pochodzącego z Lewis pisarza i poety Donalda S. Murraya pod tytułem „As the Women Lay Dreaming” (dosłownie: Gdy kobiety kładły się, marząc).

Kilka słów

Murray wychował się w wiosce South Dell w Ness, najbardziej północnym krańcu wyspy. Napisanie książki zajęło mu 16 lat. – Dużo czasu o niej myślałem, zbierałem materiały. To wymagało namysłu – mówi dziś „Tygodnikowi”. – Trudno było mi pisać o czymś, co jest częścią mojej własnej tożsamości, a jednocześnie wiąże się z tak dramatycznym doświadczeniem. Jeszcze trudniej przychodziło mi potem opowiadanie o tym na forum publicznym. Czułem się tak, jakbym wracał zarówno do własnej traumy z dzieciństwa, jak też i tej mojej społeczności.

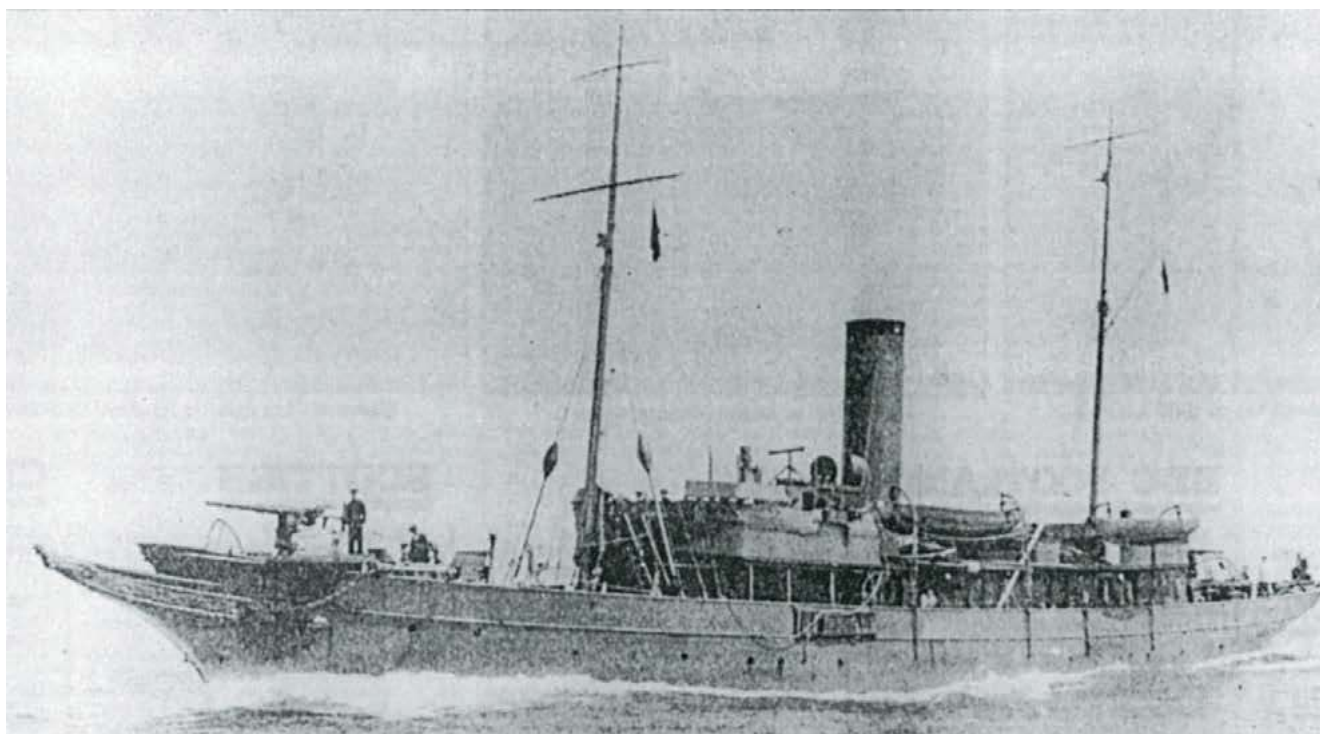
Urodzony w 1956 r. pisarz potwierdza, że również w jego pokoleniu o katastrofie niemal się nie mówiło. – Pamiętam, że w mojej wiosce było wielu samotnych mężczyzn i wiele samotnych kobiet – opowiada. – To było tak, jakby emocjonalnie nie byli w stanie się zaangażować w związek. Jako dziecko oczywiście nie rozumiałem tego. Nie wiedziałem, co dokładnie się stało na wyspie. Kiedyś poszliśmy z kolegami na miejscowy cmentarz i tam zobaczyłem, na ilu nagrobkach jest ta sama data: 1 stycznia 1919 r.”

Z jego rodzinnej parafii Ness utonął 23 mężczyzn.

– Ojciec wspominał o „Iolaire” może kilka razy, ale krótko, dosłownie w kilku słowach – wspomina pisarz. – Natomiast wujek zabrał mnie kiedyś do Port of Ness i pokazał mi w miejscowej stocznicy Johna Finlay Macleoda, tego, który dopłynął z liną do brzegu. Powiedział, że to bohater, któremu wielu zawdzięcza życie. Pamiętam, że byłem rozczarowany, bo w roboczych spodniach, płócienną czapkę i ze skreconym papierosem nie wyglądał jak bohater. W każdym razie nie jak John Wayne.

I dodaje: – Mój wujek, który w chwili katastrofy miał 9 lat, często rysował koła wozu. Zastanawiałem się, czy to z powodu tego, co widział tamtego dnia. Ni gdy go o to nie zapytałem.

Zastanawiając się nad powodem milczenia wyspiarzy, Murray podkreśla, że nie należy zapominać o kontekście historycznym: – Lewis dotknęła wtedy tragedia, ale wcześniej wielu żołnierzy zginęło na wojnie, był to też czas epidemii hiszpanki. Ludzie z wysp rzadko mówili, a jeszcze rzadziej pisali o swoim doświadczeniu wojny. Ich losy znalazły się na marginesie historii – również z powodu



DOWENA PUBLICZNA / WIKIMEDIA

Statek „Iolaire” na krótko przed swoim ostatnim rejsiem. Wybrzeże wyspy Lewis, 1918 r.

położenia geograficznego i języka gaelickiego, którym się posługiwali.

Pokłosie

Wielopokoleniowa trauma była jednym ze skutków katastrofy „Iolaire”. Straty poniesione podczas I wojny światowej odbiły się i na demografii, i na gospodarce wyspy.

Z Wielkiej Wojny nie wróciło łącznie ok. 135 tys. Szkotów – tylu zostało imieniem upamiętnionych podczas rocznicowych uroczystości stulecia zakończenia tej wojny w Europie, w 2018 r. (podawane są też liczby większe i mniejsze). Statystyka ta – podobnie jak teza, że szkockie straty były nieproporcjonalnie większe niż brytyjska średnia – nadal budzą wiele emocji, a dyskusja na ten temat trwa wśród historyków i polityków.

Można z dużą pewnością stwierdzić, że straty te były bardziej odczuwalne w małych społecznościach w odległych regionach szkockich Highlands niż na gęsto zaludnionych obszarach Wielkiej Brytanii. Na Lewis można to było zobaczyć jak w soczewce – gospodarka wyspy opierała się wtedy na rybołówstwie i rolnictwie. Brak młodych zdrowych mężczyzn oznaczał brak rąk do pracy i to tej najcięższej, jak uprawa roli czy wycinanie torfu na opał. To wyhamowało rozwój wyspy na dziesięciolecia, bo nawet ci, którzy wrócili, często byli chorzy (szerzyła się wśród nich gruźlica) lub okaleczeni. Niektóre wioski z wyspy wojna dotknęła

szczególnie: Północna Tolsta (North Tolsta), gdzie było jedynie sto domostw, straciła aż 41 zdolnych do pracy mężczyzn (w tym 11 utonęło w katastrofie „Iolaire”). Z Knock zginęło aż 29 mężczyzn, 13 z nich miało na utrzymaniu rodziny.

Tymczasem po tamtej wojnie Lewis pustoszała dalej: w latach 20. znaczna część pozostałej młodej populacji wyjechała – bądź z powodu traumy, bądź biedy. Z ponad 70 mężczyzn, którzy ocalili z „Iolaire”, 13 opuściło wyspę.

– Na wyspie morze jest wszędzie. Przypominało ludziom o tym, co się stało, nie mogli tam uciec od wspomnień – mówi mi Donald S. Murray.

W 1923 r. w podróż ze Stornoway do Kanady wyruszył statek „Metagama” – na pokładzie było niemal 300 emigrantów z Lewis, średnia wieku wynosiła zaledwie 22 lata. W 1930 r. w poszukiwaniu lepszego życia wyspę opuściła także przyszła matka Donalda Trumpa, Mary Anne MacLeod (zamieszkała w USA, gdzie wcześniej osiedliło się jej rodzeństwo).

Ocenia się, że katastrofa „Iolaire” wpłynęła też na wzmożoną religijność mieszkańców wyspy, a także na ich preferencje polityczne – odwrócili się od wygrywających wtedy zwykle na tamtych terenach konserwatystów lub liberałów; na Hebrydach Zewnętrznych wybrano pierwszego na rolniczej północy Szkocji posła Partii Pracy (a potem ze Szkockiej Partii Narodowej).

Dziedzictwo

Musiało minąć kilkadziesiąt lat – musiało odejść pokolenie doświadczone przez tę katastrofę, tj. bliscy ofiar – aby o „Iolaire” zaczęto częściej tu mówić.

W 1960 r. z publicznych składek zbudowano monument poświęcony ofiarom. Wcześniej istniał tylko tradycyjny *cairn*, kopiec z kamieni. Każdy mieszkaniec Lewis podczas swej pierwszej – i tylko tej pierwszej wizyty na miejscu katastrofy – dokładał tam swój kamień.

W 2019 r., w setną rocznicę, zorganizowano oficjalne uroczystości upamiętniające katastrofę, z udziałem władz państwowych i księcia Karola (obecnie króla Karola III).

Teraz w Stornoway ma powstać muzeum. Prowadzone są projekty artystyczne – jak cykl stu portretów żołnierzy, którzy utonęli, namalowany na setną rocznicę przez Margaret Ferguson. Prowadzone są też projekty badawcze. „Wciąż są rodzinne historie, które wymagają analizy, zanim wspomnienia jeszcze bardziej zbladną – mówił w 2021 r. Malcolm Macdonald (dyrektor Iolaire Centre Charity, autor książki o katastrofie i wnuk jednej z ofiar). – Wpływ katastrofy nadal rzuca cień na te wyspy”.

Im więcej się o tym mówi, tym bardziej „Iolaire” przestaje być bolesnym obciążeniem, a staje się dziedzictwem – częścią tożsamości dawnych i nowych mieszkańców wyspy. © PATRYCJA BUKALSKA

PRAPRADZIADKOWIE

GRZEGORZ NIEDŹWIEDZKI, PALEONTOLOG:

Dinozaury z województwa mazowieckiego, brzmi egzotycznie, prawda?
Mdlałem z gorąca, w wyrobisku było ze 40 stopni.
Pół godziny później znaleźliśmy pierwsze bloki piaskowca z tropami
dinozaurów. Wryło mnie w ziemię.

MARIA HAWRANEK: Czego Pan teraz szuka?

GRZEGORZ NIEDŹWIEDZKI: W zeszłym roku byłem na czwartej ekspedycji na Grenlandii i na pewno tam jeszcze wrócę, bo to skarbiec ze skamieniałościami. Nie mogę wszystkiego zdradzić, ale odkryliśmy stanowisko paleontologiczne z jednym z najbogatszych zapisów kopalnych wczesnych czworonogów (tetrapodów), form przejściowych między rybami a płazami. Na Grenlandii są skały z okresu dewońskiego, czyli sprzed 360-420 mln lat. Stąd pochodzą skamieniałości-ikony, takie jak ichtiostega czy akantostega, odkryte w czasie duńskich ekspedycji na początku XX w.

Ichtiostega, wyglądająca rzeczywiście jak ryba z nogami, była na Pana ulubionym znaczku pocztowym z dzieciństwa.

W ubiegłym roku znalazłem kolejną. W każdym razie na Grenlandii znaleźliśmy skamieniałości nieodkryte przez Duńczyków ani później Szwedów czy Brytyjczyków. Na naszym stanowisku prawdopodobnie podwoiliśmy liczbę znanych czworonogów z zapisu grenlandzkiego.

Jak to się stało, że poprzednicy je przeoczyli?

Ta część góry Celsius Bjerg na wyspie Ymer we wschodniej Grenlandii była wcześniej stale pokryta śniegiem. To dość wysoko, ponad 1000 m n.p.m. A że klimat się ociepla, to odsłaniają się skały niedostępne badaczom 80-90 lat temu.

Pierwsze sygnały, że mamy tam coś bardzo ciekawego, pochodzą z sierpnia 2016 r. Znalazłem tam wtedy zuchwę i kawałek

kości kończyn pewnego czworonoga. Wtedy nie udało nam się zebrać więcej, bo przyszła burza śnieżna i cały teren pokryła 20-centymetrową warstwą śniegu. Od tamtej pory szukałem możliwości, by tam wrócić. W końcu zespół w Uppsali uzyskał duży grant na badania zagadnień związanych z powstaniem czworonogów, a mnie udało się namówić lidera, by część środków przeznaczył na badanie tego stanowiska na Grenlandii, bo tam kryją się odpowiedzi na wiele pytań.

Już wcześniej znalazł Pan najstarszego grenlandzkiego ssaka.

Tak, w 2014 r., w czasie polsko-duńskiej ekspedycji, którą prowadziłem z kolegami z Warszawy. Szukaliśmy wczesnych ssaków z triasu, czyli początku ery mezozoicznej, sprzed jakichś



215-220 mln lat. Czworonogi, z których wywodzą się płazy, gady, ptaki i ssaki, pojawiły się ok. 150 mln lat wcześniej. Wszystkie te ekspedycje przeprowadzam w ramach poszukiwania prapradziadka i prapraprababci.

Czemu na Grenlandii jest tak dużo skamieniałości?

Na Grenlandii wszystko jest odsłonięte na powierzchni, nie ma pokrywy glebowej. Wszystkie skały są świeżo wyerodowane, nie ma roślinności i cały czas są aktywne procesy geologiczne. Czyli mamy nieprawdopodobnie wielkie odsłonięcie skalne, na którym możemy prowadzić poszukiwania. Oczywiście trudno tam dotrzeć, ale jak już człowiek jest na miejscu, to właściwie obozuje na skałach, w których one mogą być. Można coś odkryć 10 metrów od namiotu.

Skąd wzięło się tam tak dużo skamieniałości?

Wpływa na to wiele czynników, nie będę może opisywał sprzyjających aspektów geologicznych, które umożliwiły ich zachowanie. Dość powiedzieć, że nie wszędzie tak jest – są takie miejsca na świecie, o których wiemy, że żyły tam dinozaury, bo zostawiły odciski stóp, czyli tropy, ale nie znajdujemy ich kości, bo w wyniku procesów geologicznych uległy zniszczeniu. Na Grenlandii warunki fizykochemiczne sprzyjały ich zachowywaniu. Są tam tzw. poziomy kościonośne, poziomy z kośćmi pradawnych zwierząt.

Ale istotne jest też to, że w okresach, o których mówimy, na Grenlandii było dużo życia.

Dzięki temu, że panowały inne warunki klimatyczne?

Grenlandia migrowała z południowej półkuli na północ. Trudno uwierzyć, ale kiedyś, w dewonie, znajdowała się w obszarze okołorównikowym. Ziemia wówczas wyglądała zupełnie inaczej niż dzisiaj. Na Grenlandii były ciepłe bagna, olbrzymie rzeki, jeziora, zwierzęta świetnie się tam czuły, podobnie jak później w trzasku, z którego pochodzą nasze dinozaury i ssaki odkrycia.

Powiedział Pan, że na Grenlandii znajdują się odpowiedzi na wiele ważnych pytań. Jakich?

Jeśli chodzi o ewolucję czworonogów, mamy dwa wielkie znaki zapytania. Pierwszy: kiedy właściwie powstały czworonogi? Czy w późnym dewonie, jak przyjmuje się w podręcznikach? Czy może dużo wcześniej? Nie mamy co prawda ich zapisu kopalnego w postaci skamieniałości szkieletowych, ale mamy ich tropy, znalezione m.in. w Polsce i w Irlandii.

W Polsce znalezione przez Pana ze współpracownikami. Od tego znaleziska zaczęła się Pana międzynarodowa kariera.

Teraz prowadzimy dalsze badania w Irlandii w tym obszarze. Są też nowe odkrycia z Polski. Staramy się to jakoś wmapować w te ewolucyjne schematy naszych przodków. Ale wracając do Grenlandii – tam możemy znaleźć odpowiedź na pytanie, jak wyglądały pierwsze czworonogi. Mamy szansę znaleźć ich kości i przeko-

nać się, czy były bardziej podobne do ryb, czy były już bardziej płazie.

Drugie pytanie jest równie ciekawe. Wiemy, że czworonogi zróżnicowały się i rozlały po całej planecie w późnym dewonie: to właśnie m.in. ta ichtiostega czy akantostega. Brakuje jednak trochę młodszych skamieniałości, ze schyłkowego dewonu i początku okresu karbońskiego. W literaturze fachowej określa się ten spadek różnorodności czworonogów jako lukę Romera. Coś niedobrego się z nimi stało w tym czasie – najpierw wyszły na ląd, zadomowiły się, a potem nagle prawie znikły z zapisu kopalnego, by w karbonie pojawić się ponownie i znów różnicować. Jedną z prób wytłumaczenia tego faktu jest hipoteza, że pod koniec dewonu nastąpiła jakaś katastrofa, wymieranie, które dotknęło również czworonogi, dlatego nie mamy ich skamieniałości z tego czasu. Wydaje mi się, że nasza ostatnia ekspedycja pozwoli zweryfikować tę hipotezę oraz ustalić, co się działo z czworonogami między okresem, kiedy kroczyły po ziemi ichtiostegi, a czasem gęstych karbońskich lasów, kiedy czworonogi się różnicują.

Co Pan robi ze znalezionymi skamieniałościami?

Przyjechały do Uppsali, część została już zeskanowana. Używamy najnowocześniejszych technik do obrazowania, prześwietlamy je wiązką promieniowania X. Te skanery przypominają trochę te na lotniskach, tylko mają ogromną moc i prześwietlają skały na wylot. Już ich nie preparujemy. Wiemy, że coś w nich siedzi, bo np. na powierzchni jest brzeg skamieniałej zuchwy, ale nie wiemy do końca co. ➔

Obóz przejściowy przed przeprowadzką w góry, gdzie prowadzone będą poszukiwania skamieniałości. Grenlandia, 2022 r.



→ Na podstawie rezultatów obrazowania tworzymy wirtualne rekonstrukcje tych skamieniałości.

Wcześniej trzeba było taką skałę rozłupać?

O tak! Jako doktorant w Warszawie połowę czasu spędzałem z młoteczkiem i narzędziami dentystycznymi w pracowni preparacyjnej, by oczyścić kości ze skał i zobaczyć, jak wygląda ich anatomia. Dzisiejsze techniki pozwalają pominąć ten etap, czasowo to bez porównania, ale również jakościowo – bo na podstawie zeskanowanych szkieletów można zrobić tak dokładny wydruk kości 3D, jakiego nie byłby w stanie przygotować najlepszy preparator.

Jak wygląda taka ekspedycja na Grenlandię? Proszę opisać tydzień z życia w terenie.

Może zacznę od początku: po kilku lotach można dostać się ze Szwecji na lotnisko Nerlerit Inaat, utwardzony pas ziemi we wschodniej części Grenlandii, na półwyspie Scoresby. Drogą morską dotarli tu beczki z jedzeniem, sprzętem, skrzynie, namioty, w sumie kilkaset kilogramów materiałów dla ośmioosobowej ekspedycji. Kilka dni zajmuje przepakowanie, stamtąd startujemy niedużym samolotem, który potrafi wylądować wszędzie. Ma międzylądowanie w duńskiej bazie wojskowej, a potem wiezie nas na wyspę Ymer, gdzie wylądowuje ludzi i sprzęt. Później helikopter zbiera część sprzętu do środka, a resztę do specjalnej siatki transportowej, która wisi pod nim na linie. Wiem, przynudzam, ale już koniec. Helikopter zabiera nas w miejsce docelowe, gdzie rozbijamy obóz na cztery tygodnie. Wszystko trzeba tam dostarczyć, również zapas jedzenia na dodatkowy miesiąc, gdyby z powodu zjawisk atmosferycznych samolot czy helikopter nie mógł po nas przylecieć zgodnie z planem. Po jakichś trzech dniach drogi jesteśmy na miejscu i organizujemy obóz, rozstawiamy namiot kuchenny, rozkładamy alarm na niedźwiedzie polarne – linki, które poruszone włączają dźwięk i wówczas trzeba osobnika odstraszać.

Odstraszał Pan?

Niedźwiedzia spotkałem, ale nie w obozie, nigdy nie musiałem interweniować.

Obóz musi być dobrze przygotowany na silny wiatr i śnieg. Lato polarne jest

stabilne, ale w ostatnich latach notuje się pewne zmiany. Czasem można chodzić w podkoszulku, a czasem temperatura spada poniżej zera i wiatr jest tak silny, że z namiotu wychodzi się na czworaka. W zeszłym roku nawiedziły nas dwie burze śnieżne.

Obóz musi być tak położony, by łatwo było atakować miejsca, gdzie są skamieniałości. To nie są wysokie góry, ale trzeba wnieść na nie sprzęt, skały trzeba rozłupywać, machać kilofem, gdzieś się wspiąć. Robimy średnio 15 kilometrów dziennie. Najpierw robimy tzw. powierzchniówkę, czyli oglądamy zwierzęlinę. Kiedy znajdziemy miejsce, gdzie jest dużo kości, które się rozsypują, to znaczy, że gdzieś w tym rejonie mamy poziom kościonośny. Wtedy w pozycji modlitewnej, na kolanach, z głową nisko przy ziemi, w skupieniu wgryzamy się niżej i go szukamy. Wyglądamy bardzo zabawnie. Gdy już znajdziemy tę warstwę kościonośną, to maniakalnie ją eksplorujemy: kilofami, łopatami, czasem młotem pneumatycznym, bo kości położone głębiej będą najlepiej zachowane. Trzeba przerzucić kilka ton skał, więc to ciężka praca fizyczna. Chcemy znaleźć duże fragmenty kości, a najbardziej marzą nam się szkielety, które zdarzają się bardzo rzadko, choć najczęściej to właśnie ich obrazy obiegają media. Tymczasem 90 procent znalezisk paleontologów to są pojedyncze kości, fragmenty szkieletów, rozsypane coś, co dla niefachowca wygląda jak nic.

Te skały muszą potem polecieć helikopterem?

Tak, podpisujemy umowę na liczbę kilogramów, bo ten transport jest niezwykle kosztowny, staramy się nie przekraczać 400 kilogramów, czyli jednego załadunku.

Mam tu takie znalezisko z wiosennego spaceru w dolinie Jury Krakowsko-Częstochowskiej...

O, to jest późna jura, amonit z rodzaju *Perisphinctes*.

Znaleźliśmy go przypadkiem z synkiem, wiosną, po roztopach. U Pana te znaleziska to nie przypadek. Podobno zimy spędza Pan na oglądaniu na mapach satelitarnych potencjalnych stanowisk paleontologicznych.

To może opowiem o tym, jak odkryliśmy w 2021 r. tropy dinozaurów w Borkowicach, na wyrobisku niedaleko Radomia. Dinozaury z województwa mazowieckiego, brzmi egzotycznie, prawda? Kolega zaprosił mnie do projektu, którego celem była weryfikacja dawnych stanowisk, gdzie występowały dinozaury. Wiedziałem to stanowisko najpierw na mapach satelitarnych – wiedziałem, że tam wykopują ił, a bloki piaskowca odrzuca się jako niepotrzebne. Na mapie geologicznej sprawdziłem, że są tam skały podobne pod względem rodzaju i czasu powstania do tych, w których w innym miejscu znajdowaliśmy tropy dinozaurów. Pojechaliśmy więc w teren, by to sprawdzić. Mdałem z gorąca, w wyrobisku było ze 40 stopni. Pół godziny później znaleźliśmy pierwsze bloki piaskowca z tropami dinozaurów. Wryło mnie w ziemię! A potem jak w jakimś amoku co chwilę znajdowałem powierzchnie zadeptane przez dinozaury! Teraz mogę zdradzić, że mamy ich kilka tysięcy. To jedno z najbogatszych stanowisk tropów dinozaurów w Polsce, a być może w tej części Europy. Wyjątkowe! Niedługo jadę do Polski, by kontynuować dokumentację tego miejsca.

Na jakie pytania mogą odpowiedzieć znaleziska z Borkowic, skoro są tam tropy, a nie ma kości?

Kości też są, choć rzadkie. Tropy pochodzą z wczesnej jury, a to wyjątkowy czas w rozwoju dinozaurów, bo wówczas się różnicują, można powiedzieć, że wchodzi w etap dynastyczny – zaczynają dominować we wszystkich środowiskach lądowych. Nadal nie bardzo potrafimy wyjaśnić, jak do tego doszło, że dinozaury opanowały świat. Dlaczego tak szybko powiększyły rozmiary? Dlaczego odniosły taki sukces ewolucyjny? Wszystkie znaleziska wczesnojurskie są dla nas z tego względu nieprawdopodobnie ważne. Wiem Borkowice pod Radomiem daje nam okno na świat wczesnych dinozaurów. Do tej pory przecieram oczy, gdy myślę, co tam zobaczyłem.

A ile gatunków dinozaurów tam znaleziono?

Opirając się na obserwacji tropów ustaliliśmy minimum siedem różnych gatunków. Może ta liczba nie powala, ale ja widzę, kto to był – formy, które pojawiają się w zapisie kostnym w nieco młodszych osadach. Znowu tropy podpo-

GRZEGORZ NIEDŹWIEDZKI jest paleontologiem, pracuje w Centrum Biologii Ewolucyjnej na Uniwersytecie w Uppsali. Odkrył m.in. świętokrzyskie tropy najstarszego czworonożnego zwierzęcia lądowego sprzed 390 mln lat, szczątki dinozaurów z triasu ze Śląska, Smoka wawelskiego z Lisowic i Lisowicia bojani, najmłodszego i największego gada ssakokształtnego na świecie. Jego znaleziska trafiły na okładki „Nature” i „Science”.

wiadają nam, że pewne linie ewolucyjne dinozaurów musiały się pojawić wcześniej, niż zakładaliśmy. W Borkowicach mamy setki tropów dinozaurów ptasiomiednicznych, niektóre są olbrzymie. Nie znamy tych stworzeń, nie wiemy, jak wyglądały, ale wiemy, że były spokrewnione z wczesnymi tyreoforami, których przedstawicielem jest np. scelidozaur znaleziony w Wielkiej Brytanii. Tylko że ich polskie odpowiedniki były dwukrotnie większe niż te, które biegały po Brytanii.

A dlaczego mogły urosnąć takie wielkie?

Obszar południowej Polski to był wówczas dinozaurzy raj, dlatego tych stanowisk z tropami mamy bardzo dużo. Te tereny były wówczas bardziej na południu, więc panował inny klimat. Ze znalezisk paleobotanicznych wiemy, że to było życiodajne miejsce dla stworzeń roślinożernych. Panowały też sprzyjające warunki do zachowania się tropów. Dinozaury widocznie lubiły odwiedzać rejony deltowe, brzegowe, bagniste, na styku łądu i morza, czyli rejony, które nam się kojarzą z wakacjami. Dlaczego? Może szukały soli, może glony były smaczne, może lubiły kąpiele błotne.

Albo lubiły oglądać zachody słońca?

Może była też i motywacja romantyczna. Ale mamy dowody, że zarówno roślinożercy, jak i drapieżcy te rejony odwiedzali.

A po co nam w ogóle ta wiedza, którą Pan nabywa wraz z kolejnymi odkryciami?

Po co ten trud, po co ten triasowy pył w zębach? Myślę, że paleontologia to poszukiwanie sensu życia, na wielu poziomach, i tej perspektywy, że większość historii życia na Ziemi wydarzyła się bez

człowieka. Kiedy rozkopuję skały z dewonu i triasu, to widzę świat bez nas.

Musimy pamiętać, że jesteśmy sukcesorem w procesie ewolucji na tej planecie. Tylko wtedy możemy zrozumieć miejsce człowieka w przyrodzie. Przez zrozumienie zmian choćby w tej linii prowadzącej do człowieka – od ryb, płazów – lepiej pojmujemy siebie jako twory biologiczne.

Kiedy boli mnie ząb i czuję, że czeka mnie leczenie kanałowe, to myślę: zęby dwukorzeniowe powstały w triasie, kiedy to jednokorzeniowy ząb rozdzielił się na dwukorzeniowy, żeby wzmocnić skomplikowaną, płaską koronę zęba i stworzyć ząb bardziej odporny na ściskanie, co umożliwiło ssakom dalszą ewolucję, a efektem końcowym jest to, że siedzę i o tym myślę.

Pana żona powiedziała, że gdy Pan jest na stanowisku, to jest zanurzony w dziecięcej fascynacji, nie je, nie pije, tylko kopie. Marzył Pan o tym, by zostać odkrywcą?

Rzeczywiście w terenie wchodzę w tryb dziecka zafascynowanego przyrodą, choć oczywiście mam dziś większą wiedzę. Próbuje zrozumieć, na co patrzę. Te skamieniałości są jak portal łączący ze światem, który zniknął, ale istniał miliony lat temu. Pozwalają przejść na drugą stronę. Przy pomocy wiedzy i doświadczenia można wskrzesić tamten świat. Silnikiem, który

szczególnie mnie napędza, jest odległość czasowa i to, jak ten świat był odmienny od tego, który nas dziś otacza. W tych skamieniałościach kryje się też odpowiedź na pytanie, dlaczego dziś świat wygląda tak, a nie inaczej. Dlaczego dominują drzewa okrytonasienne, a nie paprotniki? Dlaczego gady nie panują na Ziemi? Dlaczego ptaki wzbily się w przestworza?

To przemawia do wyobraźni. Mój czterolatek, który oczywiście bardzo lubi dinozaury, ogromnie przeżył nasze amonitowe znalezisko, wszystkim je pokazywał. Ja zresztą też.

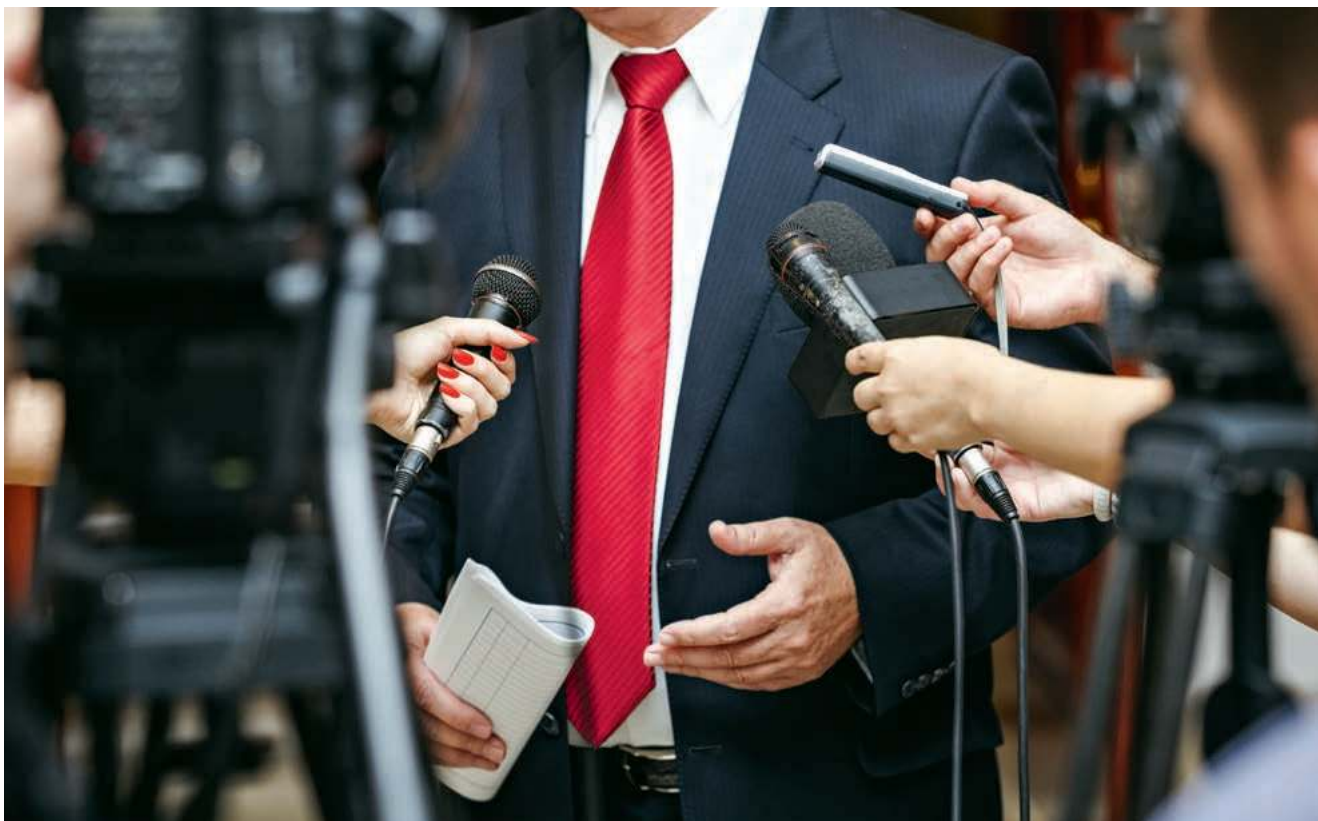
No to pani zobaczyła i doświadczyła, jakie to uruchamia uczucia, kiedy dotyka się czegoś tak odległego i jednocześnie tak realnego. Mam w ręce dowód na to, że kiedyś tu było morze, a ten organizm tutaj wtedy żył.

Moje dzieci nie interesują się dinozaurami, i dobrze – nie chcę być tatusiem odkrywcy, który zawłaszcza wszelkie przestrzenie ich życia. Ale dużo jeździmy w przyrodę i widzę, jak drastycznie inaczej ją przeżywają, kiedy mogą wejść z nią w prawdziwy kontakt, czy to jest motyl, padalec, obryw skalny czy wir w rzece. A ja, kiedy biorę kość ichtiostegi na Grenlandii, to patrzę na moich przodków i czuję z nimi łączność.

© Rozmawiała MARIA HAWRANEK



GRZEGORZ NIEDŹWIEDZKI / ARCHIWUM PRYWATNE



LUMOS / ADOBE STOCK

Komu (nie) ufać w sprawie klimatu?



Niski poziom wody w Wiśle w pobliżu Warszawy. 19 kwietnia 2022 r.

ŁUKSZZEPANSKI / ADOBE STOCK

Im bardziej zauważalne są konsekwencje kryzysu klimatycznego, tym mocniej słychać śmiechy tych, którzy jego istnieniu zaprzeczają. I trudno uznać, że to przypadek.

Niezbyt często zdarza się, by świat nauki wypowiadał się jednomyślnie i nie pozostawiał złudzeń. Choć w przypadku kryzysu klimatycznego tak właśnie jest, wciąż nie brakuje osób podważających ustalenia naukowców. Czy można to zrozumieć?

Cóż... można.

KRYZYS ZAUFANIA

Żyjemy w bardzo skomplikowanych czasach. Jeszcze nigdy nie mieliśmy tak łatwego dostępu do informacji – co oznacza dostęp również do tych informacji, które są sfabrykowane. Zachodni świat przedstawia się jako obrońca demokracji, a jednocześnie bez żadnych skrupułów robi interesy z antydemokratycznymi państwami, które łamią prawa człowieka na każdym kroku. Podczas pandemii jedni naukowcy popierali lockdowny, a inni im się kategorycznie przeciwstawiali. Media tłumaczą, dlaczego latanie samolotem jest złe dla klimatu, a obok dają reklamę wymarzonej wakacji na Dominikanie. Firmy chwają się, jak bardzo kierują się troską o środowisko, podczas gdy w rzeczywistości ograniczają się do pozorowanych działań, które dla środowiska nie znaczą nic. No i nie zapominajmy o politykach, którzy łamią obietnice wyborcze, odkąd zaczęli je składać – a którzy przecież w największym stopniu decydują o kierunku, w jakim będziemy zmierzać.

Oczywiście to jedynie przykłady. Już tylko one pokazują jednak, że dla wielu ludzi istnieją całkiem obiektywne przesłanki, by nie ufać politykom, podważać autentyczność zachodnich wartości, patrzeć podejrzliwym okiem na działalność mediów i powątpiewać w uczciwość firm. Dlaczego ze zmianą klimatu miałyby być inaczej?

Ale choć można rozumieć, skąd w społeczeństwie wziął się kryzys zaufania, fakty pozostaną faktami. W przypadku kryzysu klimatycznego nie mówimy o teorii, ideologii czy poglądach – mówimy wła-

śnie o faktach. Dowodach, które były zbierane przez dziesiątki lat oraz potwierdzone tysiącami badań i artykułów w recenzowanych czasopismach naukowych. Gdyby zmiana klimatu rzeczywiście była wymysłem, prawda wyszłaby na jaw już dawno temu. Tymczasem z ponad 88 tys. recenzowanych artykułów dotyczących zmiany klimatu, które opublikowano w latach 2012-2020, sceptycznych wobec udziału człowieka w globalnym ociepleniu było... 28. Inaczej rzecz ujmując, 99,9 proc. naukowców nie miało żadnych wątpliwości: za to, co dzieje się z klimatem, odpowiada człowiek.

PODSYCANIE WĄTPLIWOŚCI

Chociaż naukowcy wątpliwości nie mają, w społeczeństwie wciąż jednak są one obecne. I nie chodzi tylko o to, że przeciętny człowiek nie zrozumie złożoności klimatu w takim stopniu jak fizyk atmosfery. Największym problemem nie jest też to, że naukowcy mówią zbyt skomplikowanym językiem – choć to również ma znaczenie. Przede wszystkim idzie o to, że ktoś te wątpliwości świadomie podsyca. Kto?

Z jednej strony mamy wielkie koncerny energetyczne, które zyskały potęgę dzięki paliwom kopalnym. Tymczasem to właśnie spalanie węgla, ropy i gazu ziemnego jest główną przyczyną „nadwyżkowej” emisji dwutlenku węgla do atmosfery i nasilania się efektu cieplarnianego, który napędza globalne ocieplenie. Oczywiście firmom tym nie zależy na zarządzeniu kur znośnych złotych jaja. W ostatnich dekadach wyłożyły więc ogromne pieniądze na kampanie – zarówno reklamowe, jak i wyborcze – by z jednej strony podważać stanowisko nauki, a z drugiej przerzucać odpowiedzialność na zwykłych ludzi. Przykłady?

W 1982 r. ExxonMobil przewidywał, że do ok. 2060 r. poziom CO₂ w atmosferze będzie dwa razy wyższy niż w erze przedindustrialnej, co spowoduje wzrost temperatury

Ziemi o ponad 2 st. C. Z kolei koncern BP ukuł w 2004 r. pojęcie „indywidualnego śladu węglowego”, by przerzucić odpowiedzialność za niszczenie przyszłości planety z siebie na jednostki.

Z drugiej strony mamy polityków, którzy bywają finansowani przez koncerny paliwowe (w USA transfery pieniężne na kampanie ze strony firm to stała i prawnie dopuszczona praktyka), po wygranej w wyborach trafiają do państwowych spółek (co w Polsce wiadać przy każdej władzy), a zmianę klimatu wykorzystują cynicznie do politycznych rozgrywek (by tworzyć narrację „my vs oni”).

Z trzeciej strony mamy zaś niedemokratyczne państwa – na czele z Rosją – dla których jednym z najlepszych sposobów na wzmacnianie swojej pozycji jest osłabianie innych. Czyli wzbudzanie konfliktów wewnątrz zachodnich społeczeństw.

UWAGA NA DEZINFORMACJĘ

Świadome wprowadzanie ludzi w błąd poprzez dostarczanie im nieprawdziwej wiedzy ma swoją naukową nazwę: dezinformacja.

Jak informuje Instytut Spraw Publicznych, najczęściej jej źródłem są politycy, którzy mają żywotny interes w tym, by tworzyć wygodną im narrację, pozwalającą zachować *status quo*.

– Bez zasięgnięcia fachowej wiedzy eksperckiej trudno jest samodzielnie weryfikować informacje pojawiające się w mediach. Na to nakłada się upolitycznienie narracji związanej z polityką klimatyczną, która coraz częściej wykorzystywana jest przez partie w bieżącej grze politycznej. To nie sprzyja merytorycznej dyskusji na ten temat. Znaczenie ma wreszcie poziom wiedzy i kompetencji medialnych Polek i Polaków, w tym umiejętność krytycznej analizy źródeł – zauważa dr Paulina Sobiesiak-Penszko z Instytutu Spraw Publicznych, gdzie opracowano raporty o dezinformacji klimatycznej.

Te raporty to: „Dezinformacja wokół klimatu i polityki klimatycznej. Opinie Polek i Polaków” oraz „Szaleńcy spod szyldu agend kli-

matycznych. Dezinformacja i propaganda w sprawach zmiany klimatu i polityki klimatycznej. Raport z monitoringu mediów”.

Jak z nich wynika, zdecydowana większość badanych zdaje sobie sprawę z istnienia kryzysu klimatycznego. Jednocześnie 61 proc. Polaków uważa dezinformację związaną z klimatem za poważny problem, a 44 proc. społeczeństwa spotkało się z nią w ostatnich kilku miesiącach. Warto odnotowania jest to, że jako główne źródła dezinformacji związanej z klimatem badani postrzegają polityków (45 proc.) i przedstawicieli polskiego rządu (30 proc.), a dopiero potem firmy związane z paliwami kopalnymi (27 proc.) oraz biznes i międzynarodowe korporacje (25 proc.).

KLIMAT KAMPANII

Oczywiście na klimat Ziemi wpływają czynniki naturalne, które w przeszłości nie raz sprowadzały i ocieplenie, i ochłodzenie. Warto mieć zatem na uwadze, że w obecnym okresie same z siebie doprowadziłyby one do tego, że nasza planeta nieznacznie by się... ochłodziła. Zamiast tego, od początku rewolucji przemysłowej, czyli połowy XIX w., średnia temperatura naszego globu wzrosła o prawie 1,2 st. C. Czy to dużo? Nie. To przerażająco dużo. Tempo, w jakim postępuje obecne globalne ocieplenie, jest dziesiątki razy szybsze od tego, w jakim Ziemia wychodziła z ostatniej epoki lodowej.

Warto o tym wszystkim pamiętać zwłaszcza teraz – w przededniu maratonu wyborczego, który przyniesie trzy kampanie w trzy lata.

„Na to, co ludzie myślą o zmianie klimatu, niezaprzeczalny wpływ ma treść debaty publicznej na ten temat. Im więcej problematyki zmiany klimatu w przestrzeni publicznej, im bardziej zintensyfikowane działania związane z odchodzeniem od paliw kopalnych, tym większe prawdopodobieństwo, że temat klimatu będzie podlegał manipulacji, przekłamanom, stronnictwu przekazowi czy wręcz propagandzie” – przestrzega Instytut Spraw Publicznych.

SZYMON BUJAŁSKI

INNA KOMUNIA

BEATA STANKIEWICZ, MALARKA:

Pochodzę z galicyjskiego tygła, gdzie miesza się
narodowości, języki i wyznania.
Inność jest dla mnie czymś naturalnym.
Fascynującym, pociągającym. Nie budzi we mnie lęku.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Najlepsze światło do malowania?

BEATA STANKIEWICZ: Północne. Czyli odbite. W mojej pracowni jest południowe. Czyli najgorsze. Zasłonka na oknach dachowych odrobinę je rozprasza, ale zdarza się, że dokuczają mi plamy światła, więc latam ze sztalugą po pracowni, szukam najlepszego miejsca.

Malujesz wyłącznie przy świetle naturalnym?

Duże płótna, ze względu na gabaryty, muszę malować przy elektrycznym, czego nie lubię, to ostateczność. Lecz znam malarzy, którzy cały dzień spędzają w pracowni na niskim parterze, w półmroku i przy świetłówkach. Wyobraź sobie: budzisz się, jest jasno, słonecznie, radośnie, a ty siedzisz w podziemiach przy włączonych lampkach. Koszmar.

Od razu widzisz, które obrazy były malowane przy świetle sztucznym, a które przy naturalnym?

Nie, nigdy się nad tym nie zastanawiam. Caravaggio malował w kapeluszu, do którego przy-mocowane były świeczki. Prawdopodobnie używał camery obscury – praprzodka aparatu fotograficznego. Jeśli w malarstwie średniowiecznym i renesansowym pojawia się realistyczny obraz oddany z każdym szczegółem, to jasne jest, że artysta używał właśnie camery obscury. Urządzenie przypominało częściowo wyciemniony namiot, na jego przedniej ścianie była zamontowana soczewka, przez którą wpadało światło, natomiast na tylnej można było zobaczyć obraz, coś na kształt slajdu z rzutnika. Malarz podkła-

dał tam płótno i jechał po nim pędzlem, odwzorowując. Zrobiłam takie doświadczenie. Okazało się piekielnie trudne, dziś właściwie już nie do wykonania.

Co oprócz światła jest Ci potrzebne do malowania?

Przydałaby się sztaluga. Choć nie jest konieczna.

A co jest konieczne?

Opowiem o czymś, co się zdarzyło, gdy miałam cztery, pięć lat. Jestem w przedszkolu, trwa leżakowanie. Nie chcę spać, więc gapię się w okno. Za nim dwie bezlistne wierzby płaczące. Zainspirowana widokiem tworzę rysunek: kartka jest framugą okna, a kredką woskową na białym tle znaczę czarne konary drzew, splecione i pokręcone. Przedszkolance to się nie spodoba, powie, że dopóki nie namaluję niebieskiego nieba, zielonej trawy, kolorowych kwiatków i żółtego słońca, nie pójdę bawić się z dziećmi. Siedzę na podeście i zastanawiam się, czy dać ciała, czy nie dać. Czy namalować jej to, co chce, i pójść się bawić z dziećmi, czy trzymać fason. I złamałam się, dałam ciała. Pamiętam, z jakim niesmakiem malowałam niebieskie niebo, żółte słoneczko, zieloną trawkę, a z niej wyrastające kwiatki, wielkie, wynaturzone i czerwone!

To okno mnie zastanawia. Namalowałaś kilka cykli obrazów z oknami. Co w nich jest, że do nich wracasz? Szczęście życia.

Różnie bywa z tym szczęściem.





BEATA STANKIEWICZ (ur. 1973) jest malarką, mieszka i pracuje w Krakowie. Pracuje cyklami, tworząc najczęściej wielkoformatowe, hiperrealistyczne przedstawienia wyinków rzeczywistości. Zajmuje się również malarstwem portretowym, w którym najistotniejszą rolę odgrywają światło i kolor. Jej obraz „Jezus Miłosierny” powstał w ramach projektu Teologii Politycznej „Namalować katolicyzm od nowa” (wystawa w krągankach klasztoru ojców dominikanów w Krakowie). Do marca 2023 r. w krakowskim Bunkrze Sztuki można oglądać jej wystawę „Natural Born Artists”.

Pierwszy z moich okiennych cykli, pokazujący fragmenty mieszkań podglądanych z ulicy, zza firanek, z niewyraźnymi sylwetkami domowników, nazwałam „Drzewko szczęścia”. I nie wyłącznie dlatego, że na jednym z obrazów stoi na parapecie doniczka z drzewkiem szczęścia, ale dlatego, że tytuł oddaje iluzję, której ulegamy idąc ponurą ulicą i zobaczywszy w oknie ciepłe światło elektryczne, myślimy, że tam musi być rajsko. Natychmiast wytwarzamy w sobie pragnienie dobrostanu. Lecz kolejny cykl nazwałam „Single”. W pewnym momencie zaczęłam w oknach dostrzegać pojedyncze osoby. Zmieniłam optykę.

Domniemane szczęście przeszło w samotność?

Namalowałam kilka obrazków ze starymi mężczyznami, ale na większości są kobiety, zapewne wdowy. A z wnętrza bije klimat gomulkowszczyzny, zamrożona „nasza mała stabilizacja” – meble, dywany, egzystencja w dekoracjach świata, który przeminał. Oczywiście to są moje przypuszczenia i fantazje, przecież nic nie wiem o ludziach zza firanek.

Dwa lata temu zainspirowana wierszem Tadeusza Różewicza „Opowiadanie o starych kobietach” namalowałam portrety kobiet mocno realistyczne, w większości ujęcia *en face*, bardzo proste. Zawsze miałam ogromny sentyment do starych kobiet. Mnóstwo czasu jako dziecko spędzałam z moją babcią i jej kuzynką.

Najpierw opowiedz o babci.

Oficjalnie Jadwiga, lecz wszyscy zwracali się do niej Heda. Światowa kobieta wsadzona w sztywne ramy komunizmu. Po szkole handlowej, ocytana, władała sześcioma językami, włącznie z dialektami. Znakomicie potrafiła bawić się

→ nawet w zgrzebnym PRL-u. Otoczona ogromną grupą przyjaciół – z tymi, którzy wyemigrowali, prowadziła do końca życia korespondencję, a dla tych, którzy żyli w Krakowie, robiła przyjęcia z ogórkami kiszonymi, paluszkami i dipami z serka homogenizowanego.

Jej rodzice?

Polska Żydówka i Austriak, który jako sześćdziesięciolatek został wcielony do armii hitlerowskiej. Nie odmówił służby tylko ze względu na pochodzenie żony. Został więc oficerem w Schutzpolizei, zajmował się ochroną mienia. Jego znajomi śmiali się, że Aleksander tak naprawdę chroni własną hurtownię leków, dzięki której można szmuglować te najbardziej potrzebne do getta krakowskiego. Współpracował z Tadeuszem Pankiewiczem prowadzącym jedyną działającą tam aptekę, Pod Orłem.

Pradziadek z rodziną mieszkał w kamienicy przy Poselskiej, w której teraz rozmawiamy, tylko on rezydował na pierwszym piętrze. W przedpokoju wisiał jego mundur, który spełniał funkcję tarczy, dzięki niemu w mieszkaniu mogły odbywać się tajne komplety i spotkania AK. Bo jego żięć, czyli mąż Hedy, a mój dziadek, był kapitanem o pseudonimie „Sarmata”, a jego córka, czyli moja babcia – łączniczką o pseudonimie „Moja”. Mimo kilku donosów hitlerowcy nie wkroczyli do tego mieszkania. Kiedy niemieccy żołnierze stawali w drzwiach, a przed nimi na wieszaku wisiał hitlerowski mundur, natychmiast się wycofywali. Musieli uwierzyć oficerowi na słowo. A w tym czasie za drzwiami spiskowali AK-owcy.

A jej kuzynka?

Ciocia Irusia, również Żydówka, miała, w przeciwieństwie do babci, semickie rysy twarzy. Przez całą wojnę była ukrywana po komórkach we wsiach podkrakowskich. W naszym domu funkcjonowała jako niania. Nigdy nie wyszła za mąż. Bała się, że ktoś taki jak Hitler powróci, więc ona nie może mieć dzieci, bo nie mogłaby narazić ich na to, czego sama doświadczyła. Malutka, drobniutka, skromniutka, ale z postawą damy. Do końca życia paliła przez lufkę ekstra mocne, na rękach zawsze miała jedwabne rękawiczki. Pamiętam, że jako gówniara na spacerze próbowała je ściągnąć i zobaczyłam skórę przemrożoną do czerwoności – rezultat zim spē-

Człowieczeństwa
nauczyłam się poprzez
macierzyństwo. Nie byłabym
tym, kim jestem, i nie
malowałabym tego, co maluję,
gdyby nie rodzicielstwo.

**Gdybym nie miała dzieci,
zostałabym głupią gąską,
jaką byłam w modości.**

dzonych w lodowatych stodołach. Ciocia Irusia była ciepła, bliska, dobra. I potwornie samotna. Nie do udźwignięcia był dla niej kontrast pomiędzy przedwojennym dzieciństwem w bardzo bogatej rodzinie i walką o zachowanie życia w rzeczywistości okupacyjnej, a potem codziennością w PRL-owskiej prowizorki, gdzie cały świat wydawał się jedną wielką atrapą.

Jeszcze inne stare kobiety?

Ciocia Nowacka, dentystka. Wizyty u niej wiązały się ze skrajnymi odczuciami: borowanie w zębach bez znieczulenia i równoległe snute przez nią genialne opowieści. Ona uratowała moje myślenie o tym, że małżeństwo może być wieloletnie i mądre, że to w ogóle może się udać w dzisiejszym świecie. Tworzyli z mężem jedyny dobry związek z tamtego czasu, któremu się przyglądałam. Ciocia Nowacka powiedziała mi, że w hierarchii jej wartości na szczycie jest mąż, potem długo, długo nic i dopiero dzieci. Miała ich czwórkę i obstawiam, że była genialną matką. Z mężem na stare lata zamienili się rolami: on, koło sześćdziesiątki, zajął się domem, choć wcześniej zrobił całkiem sporą karierę, a ona zarabiała pieniądze na lewym gabinecie dentystycznym. Uroczyste obrazki: ludzie siedzą na kanapach i krzesłkach w pokoju, a ciocia Nowacka rozkłada parawan i za nim zajmuje się reperowaniem uzębienia.

U Ciebie też obowiązują priorytety: najpierw mąż, później trójka dzieci?

Dobrze by było się zestarzeć z tym jedynym jedynym mężem. Ciągłe widzę niebezpieczeństwo: dwoje obcych ludzi warczących na siebie w M3. Potrzebny jest wysiłek, by w parze utrzymać coś dobrego, emocjonalną jakość. Z neurobiologii wiemy, że ludzie rodzą się do rela-

cji. Tyle że kobiety mają to znacznie bardziej wykształcone, dlatego wybierają zawód nauczycielki, pielęgniarki albo opiekunki. Mężczyźni rodzą się z wyższym poziomem testosteronu, który wpływa na niższy poziom empatii.

Dlatego tak kocham stare kobiety, one nie mają z tym problemu, relacje są dla nich naturalne jak oddychanie. Cykl moich obrazów jest hołdem dla starych kobiet, które są nieśmiertelne.

„Dziesięcioro Żydów, którzy rozstawili Polskę” to z kolei hołd dla ludzi z Twojej rodziny?

W pewnym sensie. Kiedy zdecydowałam się na realizację tego cyklu, jednym z powodów było to, że płynie we mnie żydowska krew. Drugi powód: kwestia wyboru postaci – ludzie kultury, moi po-bratymcy.

Znakomicie malowało mi się z tego cyklu żyjących: Hannę Krall i Andę Rotenberg. Ale także wszystkich, którzy przetrwali wojnę lub zmarli śmiercią naturalną, jak Julian Tuwim i Stanisław Lem. Natomiast tych, których zamordowano, malowało się strasznie boleśnie, dosłownie. Zuzanna Ginczanka powstała w dwóch wersjach. Pierwsza taka uśmiechnięta, z zębami białymi i błyszczącymi, oczami strzelającymi szczęściem. Zupełnie mi nie pasowała do cyklu. Wybrałam inne archiwalne zdjęcie, stanowiące inny punkt odniesienia. Cały czas się dokształcałam na temat Ginczanki: gdzie się ukrywała, kto ją zadenuncjował, w jaki sposób zginęła. W głowie miałam za dużo poezji, za dużo szczegółów, za dużo wiedzy. To mnie przytłoczyło. Nie spodziewałam się tego po sobie, bo jestem zadaniowa, nie rozsypuję się. Odczuwałam psychofizyczne dolegliwości, zupełnie absurdałne, bez konkretnych powodów pół ciała odmówiło mi posłuszeństwa: lewą ręką nie byłam w stanie ruszać, nie mogłam palić papierosów, a jak nie mogłam palić, to nie mogłam malować.

To samo działo się, gdy malowałam Brunona Schulza. Oraz Jonasza Sterna, który przeżył swoje własne rozstrzelanie – zanim wydostał się spod sterty trupów, leżał pod nimi cały dzień.

Czym jest w Tobie żydostwo?

Od bardzo dawna towarzyszy mi świadomość, że pochodzę z galicyjskiego tygła, gdzie mieszały się narodowości, języki i wyznania. Inność jest dla mnie



Beata Stankiewicz „Rothko”, z cyklu „Miejsce pracy”, 2018 r., olej na płótnie.

WYSTAWA „NATURAL BORN ARTIST” / BUNKIER SZTUKI

czymś naturalnym. Fascynującym, pociągającym. Nie budzi we mnie lęku, przeciwnie – zaciekawienie. Wiesz, pierwszą osobą, którą odwiedziłam po przystąpieniu do pierwszej komunii świętej, był Roman Spira, przyjaciel rodziny, którego przodkowie byli rabinami, on sam zajmował się handlem, ale w wolnym czasie malował bardzo tradycyjne obrazy: sceny z chasydami przy świecach albo ortodoksyjnymi Żydami z twarzami wyłaniającymi się z ciemności. Kiedy przyszłam do niego w białym stroju, w wianku na głowie i z lilią w ręku, podarował mi czekoladę z orzechami. W ten sposób pojmuję swoją żydowskość.

Najpiękniejszy pogrzeb, w jakim uczestniczyłam, był właśnie jego. W Krakowie na kirkucie przy Miodowej. Pogoda bez pogody, bez pory roku. Stalowszcare niebo, drzewa bez liści, piony pni i słońce, które w ogóle nie świeci, jest po prostu jasną plamą, ale nie żółtą, w zasadzie jak księżyc z błyszczącym okręgiem. Kosmos. Jeszcze nie namalowałam tego widoku.

Ale namalowałaś twarz swojego męża w obrazie przedstawiającym Jezusa Miłosiernego.

Nie zdawałam sobie sprawy, że to jest twarz mojego męża. Tak twierdzą ludzie.

Co twierdzi mąż?

Też tego nie widzi. A są osoby, które twierdzą, że twarz Jezusa to pomiesza-

nie rysów moich i Sebastiana. Może to największy dowód miłości? A może jest tak, że twarz męża znam najlepiej? Nie ma przecież żadnego dostępu do rzeczywistego wizerunku Jezusa. Da się korzystać ze starych ikon i z malarstwa europejskiego, ale ja tego nie lubię i nie robię. By namalować twarz, nie wystarcza rysunek, musisz mieć ciało. Na przykład oczy Jezusa to są oczy mojej starszej córki Alicji.

Co w tym obrazie było największym wyzwaniem?

Długo szukałam języka, jakim powinienam go namalować. Stąd właśnie moje wybory: czysta biel jako tło i abstrakcyjne potraktowanie promieni. Zależało mi na zachowaniu jak największej ascetyczności kompozycji, chciałam, by działa się mało, by nic niepotrzebnego nie rozpraszalo uwagi. Zadanie, o którym wiedziałam, że nie zwińczy go sukces. Mówi się, że Faustyna zawsze będzie płakać widząc te wszystkie próby człowieka. I tak ma być. Ona Jezusa widziała naprawdę.

Wierzysz w to?

Gdybym była osobą niewierzącą, raczej bym nie namalowała tego obrazu. Dobrze jest zmierzyć się z malarstwem sakralnym. Chodziło też i o to, by powstał wizerunek przeznaczony dla wiernych XXI wieku, ale trzymający się w ramach kanonu sakralnego malarstwa europejskiego.

Wiara pomaga Ci w łączeniu aktywności zawodowej z życiem rodzinnym?

Wiara pomaga, by zbyt łatwo nie trzasnąć drzwiami. Bo gdybym polegała wyłącznie na moim wybuchowym temperamencie, wielokrotnie bym trzaskała, a nie walczyła o relacje, o rodzinę, o związek.

Gdy człowiek modli się do Boga o większą cierpliwość, to nie spłynie na niego cierpliwość, tylko dziecko, które wymaga mnóstwa cierpliwości. A cierpliwość musisz wygenerować z siebie. Więc bardzo trzeba uważać, o co się modlisz. Tak było właśnie z Iwem – to nasze późne dziecko, urodziłam go, jak miałam 38 lat, żadna instrukcja wychowawcza do niego nie pasuje. Człowieczeństwa nauczyłam się poprzez macierzyństwo. Nie byłabym tym, kim jestem, i nie malowałabym tego, co maluję, gdyby nie doświadczenie rodzicielstwa. Ono uzmysławia, że bez bólu niewiele się osiągnie, a coś, co przychodzi łatwo, szybko, przyjemnie, jest podejrzane. Gdybym nie miała dzieci, została bym głupią gąską.

Skąd się bierze poczucie spełnienia?

Od lat co dzień wchodzę do pracowni. Jak nie mogę malować, czuję się źle. Dbam o zachowanie rytmu – od poniedziałku do piątku maluję, w sobotę sprzątam, w niedzielę wypoczywam. Jako malarzka latami funkcjonowałam na ubożu, miałam jakieś małe wystawy, ale nic spektakularnego. Pamiętam moment, w którym zdecydowałam się na cykl „Puste pokoje” – same wnętrza, bez ludzi. Z pełną świadomością, że bardzo chcę tak właśnie malować, za cenę tego, że nigdy nie zainteresuje się mną jakaś instytucja sztuki.

Zmieniło się?

Ciekawe propozycje zaczęły przychodzić, gdy położyłam zupełnie łagę na karierze, przestała stanowić dla mnie problem. Przeszłam wewnętrzny proces porządkujący: jak jestem w pracowni, maluję, jak jestem poza pracownią, zajmuję się rodziną i domem. Poczucie spełnienia daje mi to, że przy sztaludze wykonuję pracę bez względu na wystawy, splendory, uznania. Robię swoje. I nie wiem, czy kiedykolwiek będę umiała z całą pewnością powiedzieć, na ile moja wiara w tym przypadku ma znaczenie. Choć intuicyjne wyczuwam, że ma.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

Coś na ścianę

DIANA SAŁACKA

W rankingach najdroższych dzieł sztuki znajdziemy odpowiedź na naszą tęsknotę, dumę i dylematy tożsamości. Królują tu Malczewscy, Matejkowie i Siemiradzcy, w towarzystwie orszaku konnego w stepowym pejzażu. Ale nie tylko.

POLSKI RYNEK SZTUKI MIEWAŁ JUŻ SWOJE spektakularne momenty, jednak zdecydowanie najważniejszym wydarzeniem okrzyknięto warunkową sprzedaż obrazu Jacka Malczewskiego za 20,4 mln złotych. To najdrożej wylicytowane dzieło sztuki w Polsce.

Rzeczywistość

Dzieło Malczewskiego zostało sprzedane warunkowo – jego nowy właściciel lub właścicielka uzyska prawa do jego posiadania dopiero po rozstrzygnięciu, czy obraz trafił na aukcję w pełni legalnie. Proste: wywożenie za granicę obiektów uważanych za dziedzictwo narodowe jest nielegalne. Obraz Malczewskiego mógł zostać przetransportowany do Niemiec w latach 50. To dlatego 8 grudnia 2022 r. na aukcji „Sztuka Dawna. XIX wiek, Modernizm, Międzywojnie” w DESA Unicum pojawili się nie tylko pasjonaci sztuki i kolekcjonerzy. Obecna była także prokuratura i pracownicy Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Można było wylicytować prace Stanisława Wyspiańskiego, Olgi Boznańskiej, Tadeusza Makowskiego czy Eugeniusza Zaka, ale to „Rzeczywistość” Jacka Malczewskiego uruchomiła lawinę zgłoszeń. Obraz intrygował zapewne kolorem, detałem i złożoną sceną, pełną symbolicznych postaci. Malarz odwzorował na nim m.in. szopkę bożonarodzeniową, starego, posiwiatego Stańczyka, anioły, postaci z powstań wyzwoleńczych oraz swój autoportret. Praca powstała w 1908 r., zobaczyć ją było można w 1926 r. w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych we Lwowie, następnie trafiła w ręce prywatne. I tak było do czasu, gdy wnuk właścicieli zdecydował się na sprzedaż. Teraz o prawo do posiadania dzieła walczą przedstawiciele państwa i prywatni nabywcy. Jeśli śledztwo nie wykryje niepra-

widłości, „Rzeczywistość” stanie się najdrożej sprzedanym (a nie tylko wylicytowanym) dziełem sztuki w Polsce.

To tylko jeden ze spektakularnych wyników na ostatnich polskich aukcjach. Cztery dni po tym sensacyjnym wydarzeniu kolejny obraz sprzedano za 15 mln 120 tys. złotych. Cena wywoławcza za pracę Jana Matejki z 1883 r., zatytułowaną „Portret córki Heleny z krogulcem”, wynosiła 6 mln. Obraz trafił do rąk prywatnych. Aukcja Polswiss Art z 13 grudnia była niezwykle wydarzeniem także pod względem obrotów, największą aukcją po 1989 r. Sprzedano prace za prawie 47 mln złotych.

O rekordowych obrotach informowała również DESA Unicum, najpierw, gdy aukcje dzieł z kolekcji Grażyny Kulczyk przekroczyły pułap ponad 37 mln złotych, oraz po zakończeniu aukcji z 8 grudnia (gdy sprzedał się warunkowo Malczewski). Jej łączny obrót wyniósł 44 mln. O najdrożej sprzedanym dziele sztuki słyszeliśmy też wiosną 2022 r. – na aukcji 17 marca „Portret damy” Rubensa osiągnął cenę 14,4 mln złotych.

Tym samym (po wyjaśnieniach śledztwa) w 2022 r. na czele rankingu najdrożej sprzedanych dzieł sztuki w Polsce znajdują się kolejno: Malczewski, Matejko i Rubens.

Galop w oleju

W polskich rankingach najdroższych dzieł sztuki znajdziemy odpowiedź na naszą tęsknotę, dumę i dylematy tożsamości. Niezmiennie królują tu Malczewscy, Matejkowie i Siemiradzcy, w towarzystwie orszaku konnego w stepowym pejzażu.

Zespół T.Love śpiewał „Gdzie Hitler i Stalin zrobili co swoje” i choć tekst ten w założeniu dotyczył Warszawy, odnieść go można do mapy polskich gustów



XX wieku. Grabiono dzieła sztuki, potem ideologia demoludów likwidowała estetyczne wzorce. Pozostała pustka. Białe kwadraty i prostokąty w ramie z kurzu na poszarzałej ścianie z gwoździem.

W 1991 r. pada rekordowa wówczas kwota za dzieło polskiego artysty. Jest to praca Tadeusza Makowskiego „Grupa dzieci z koszem owoców”, sprzedana za 1 mld 20 mln starych złotych. Jeszcze przed denominacją praca „Maskarada” tego samego malarza pobije kolejny aukcyjny rekord, uzyskując w 1994 r. cenę 1,45 mld złotych.

Początek lat 90. przynosi spektakularny boom na kolekcjonowanie, tworzą się nowe prywatne galerie i domy aukcyjne, a kupujący poszukują malarstwa narodowo-obyczajowego. Panuje moda na „galop w oleju”, znawcy mówią o „hossie na Kossaków” – znaczny procent sprzedawanych prac przedstawia konie, a w pierwszych pięciu latach deregulacji sprzedaje się ponad 170 prac sygnowanych tym nazwiskiem.

Co zbierają nowi, demokratyczni Polacy? Poszukiwane są wątki patrio-



WOJCIECH OLKUŚNIK / EAST NEWS

Obraz „Rzeczywistość” Jacka Malczewskiego w domu aukcyjnym DESA Unicum. Warszawa, 29 listopada 2022 r.

tyczne, krajobrazowe, a także znani, pod ręcznikowi artyści, czyli Jacek Malczewski, Władimir Hofman, Stanisław Wyspiański, Alfred Wierusz-Kowalski, Józef Brandt. Przytoczone na początku ceny prac Makowskiego są więc wyjątkiem i zdają się nie potwierdzać trendu.

Na tym specyficznym rynku spotkać można marszandów, kolekcjonerów, antykwariuszy, ale także słynną spółkę Art-B, której siła nabywczą mocno wpływa na wzrost cen dzieł sztuki. Sytuacja zdaje się stabilizować w połowie lat 90. – właśnie wtedy pada kolejny ze wspomnianych rekordów, a stary miliard polskich złotych przestaje być sensacyjną, mityczną granicą, osiąganą przez nieliczne dzieła. Ale to dopiero początek. Te same nazwiska widzimy na aukcjach kilka lat później, gdy posługujemy się już dzisiejszą, znaną nam dobrze złotówką. Spekulacje na rynku, choć dalej toczą się w tle, są coraz szczelniej otaczane przepisami prawnymi, które – jak wiemy choćby z historii warunkowo sprzedanej „Rzeczywistości” Malczewskiego – regulują początkowo swobodny handel dziełami sztuki.

Na początku XXI wieku nadal triumfują sentymentalne, historyczne upodobania. Świetnie radzą sobie prace z okresu Młodej Polski, polscy malarze tworzący w Monachium czy też z École de Paris. W 2000 r. „Żebrzący rozbitek” Henryka Siemiradzkiego zostaje sprzedany za 2,1 mln złotych, w roku 2001 za „Próbie czwórki” Józefa Chełmońskiego nabywca płaci 1,2 mln złotych. Kolejny rekord pada dopiero w 2013 r. – to 2 mln 6 tys. za „Polskiego Hektora” Jacka Malczewskiego.

Szczególnie Malczewski jest powszechnie uznawany „bezpieczną opcją inwestycyjną”. Jego nazwisko nie schodzi z nagłówek branżowych gazet.

Magia ciemna i jasna

Rynek sztuki ma jednak kilka osobnych tropów, nietkniętych końskim kopytem. Zna modę na magiczny surrealizm i op-art wielkiego formatu. Ciemne, upiorne prace Zdzisława Beksińskiego oczarowywały nabywców. Wychudzona „Pościć” trafia pod młotek za 1,92 mln złotych. Steampunkowa brygada na obra-

zie pozostawionym bez tytułu odnosi aukcyjny sukces, sprzedając się za 1,15 mln.

To jednak jedyne prace przekraczające milion. Choćby posiadacze dzieł Beksińskiego nadal mogliby kupić mieszkanie za jeden jego obraz, ich ceny zdają się obecnie w stagnacji. Za to całkiem dobrze radzi sobie wesoły krajobraz surrealizmu, piękny sen, ujęty w pracach Jacka Yerki. Mamy do czynienia z mniej kultowym artystą, współcześnie tworzącym i żyjącym w Warszawie. Igra on z widownią przedstawiając nadzwyczajne krainy, zielone, tajemnicze i przystępne cenowo. Można do nich dolecieć już za około 200 tys. złotych.

Majestatyczne sny i fantazje tworzą także Rafał Olbiński i Tomasz „Senti” Sętowski, malarz fabryki snów. Prace pierwszego przypominają bajkową zagadkę, w której widz musi dostrzec granicę między złudzeniem a rzeczywistością. Sętowski również gra, ale z dużo większą dawką mistyki. Nagromadzenie symboli i arkanów astrologii w tych obrazach przypomina legendę, której zakończenie odbiorca musi dopisać sam.



„Bambini” Magdaleny Abakanowicz na wystawie „Biotekstura, tajemnica oddechu” w Muzeum Śląskim. Katowice, 10 listopada 2022 r.

→ Ten nurt, zwany „realizmem magicznym”, plasuje się na aukcjach całkiem dobrze. Choć nie osiąga spektakularnych wyników młotkowych (nadal jest to około 50-200 tys. złotych), to opiera się na obrazach żyjących i tworzących artystów. Dorobek każdego z nich sięga około stu prac będących w obiegu aukcyjnym. Dlaczego ludzie kupują malowane bajki? Eskapizm? Diagnoza zjawiska jest poza tematem tego tekstu, podkreślmy jednak, że ono występuje.

Twórczość Wojciecha Fangora tworzy trend osobny. To artysta spektakularny, prekursor sztuki przestrzennej oraz jedyny Polak, któremu Muzeum Guggenheima w Nowym Jorku, czyli mekka sztuki współczesnej, poświęciło indywidualną wystawę. Od lat 70. Fangor tworzył sztukę iluzoryczną, która w przeciwieństwie do magicznego realizmu nie przedstawia nic. Złudzenie powstaje bowiem na granicy kształtów i barw. Ogromne, falujące figury o rozproszonych kolorach działają hipnotycznie. Bez słów czy przedstawień konkret-

nych rzeczy wciągają odbiorcę. W roku 2018 praca „M39” Fangora osiągnęła cenę 4,7 mln złotych i przez dwa lata była najdrożej sprzedanym polskim dziełem sztuki. Aż do roku 2020, w którym to miano uzyskało... „M22”, inna praca Fangora, sprzedana za ponad 7,3 mln złotych podczas aukcji „Sztuka współczesna. Op-art i Abstrakcja Geometryczna” w DESA Unicum.

Pandemia i rekordy

Oba te rekordy odbijają się w ogólnopolskich mediach szerokim echem, a o rodzimym malarstwie współczesnym zaczyna być głośno. Nie tylko z powodu sensacyjnych cen. Grudzień 2020 r., w którym wycytowana została wspomniana praca, to przecież środek pandemii. Galerie, muzea, domy kultury są zamknięte, wiele osób musi się przebrzmować, tylko niektórym nie towarzyszy strach o to, co będzie jutro.

Są jednak branże i sektory, które przeżywają obłęd. Czy to z głodu piękna, czy może ze względu na potrzebę urozmaicenia domowej izolacji, obłędnie przeżywa polski rynek sztuki. Obroty na nim zwiększają się o 30 proc. przynosząc łącznie 634 mln złotych. To dane zebrane przez portal Artinfo.pl który monitoruje wydarzenia na polskim rynku aukcyjnym.

– Można wręcz powiedzieć, że nastąpiła pewna moda na posiadanie dzieł sztuki.

Co ciekawe, pandemia była akceleratorem wszystkich tych procesów, które obserwowaliśmy. Nasze zamknięcie, ale też poszukiwanie alternatywnych inwestycji spowodowały, że dzieła sztuki stały się ciekawą propozycją zakupową, jak i emocjonalną – mówi prezes portalu Artinfo.pl Rafał Kamecki. W roku 2020 odbyło się 467 aukcji. Rok później już 578. Dla porównania, w roku 2000 było ich 55. Ogromny wpływ na to zjawisko ma przeniesienie się kultury do sieci. W dobie pandemii w internecie zobaczyć możemy spektakle, wystawy, zapłacić za wykład online, a także – w końcu – licytować artystyczne prace online.

Ścieżka prowadząca do cyfryzacji tego rynku nie była łatwa, nie da się mówić o niej nie wspominając o Artinfo.pl, gdzie wszelkie aukcje, rekordy i trendy publikowane są w corocznych raportach. Sławny jest także ranking TOP 1000, czyli zestawienie najdrożej sprzedanych dzieł sztuki w Polsce. Tylko w 2021 r. ranking wzbogacił się o 318 nowych pozycji, deklasując poprzednie dzieła, natomiast rok 2020 przyniósł ponad 200 rekordowych prac.

W ciągu dwóch lat pandemii lista najdroższych dzieł sztuki zmienia się w ponad połowę. DESA Unicum odnotowuje aż 40 transakcji przekraczających milion złotych, oznacza to wzrost o 67 proc. w porównaniu do czasów sprzed koronawirusa. Obraz Andrzeja Wróblewskiego

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”. Stuchaj nas
w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Zakopane – 100,0 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Tarnów – 101,0 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM
Andrychów – 98,8 FM | www.radiokrakow.pl

„Dwie mężatki” idzie za 13,4 mln złotych, na chwilę stając się najdrożej sprzedanym dziełem sztuki w Polsce. Zaledwie kilka dni później pada nowy rekord – instalacja „Bambini” Magdaleny Abakanowicz zostaje wyceniona za 13,6 mln.

– Transakcji milionowych czy też aukcji z obrotem powyżej miliona jest w ciągu roku około stu, pozostałe to aukcje sztuki aktualnej, aukcje tematyczne, np. broni, plakatu, grafiki... Okazji do nabycia znacznie tańszych dzieł sztuki jest wiele. Na aukcji sztuki młodej ceny wywoławcze zaczynają się od 500 złotych. Skoro za około 800, 900 czy 1500 złotych możemy mieć ciekawe dzieło młodego rokującego artysty, to nabywcą zostać może praktycznie każdy – mówi Rafał Kamecki.

Potrzebę prywatnego obcowania ze sztuką trzeba jednak w sobie posiadać lub ją wykształcić. Dochodzi tu jeden ważny czynnik, który przy stereotypowym inwestowaniu prawie nie występuje. Chodzi o estetykę – akcje czy obligacje nie muszą się nam podobać, a w przypadku dzieła sztuki? Cóż, eksperci mówią, że powinno nas co najmniej intrygować. Sam segment rynku sztuki w Polsce jest na pewno rozwojowy, a prognozowane przychody mają na przestrzeni najbliższych lat wzrastać o około 17 proc.

Jeśli w naszym finansowym zasięgu nie znajdują się Malczewski, Matejko czy Wyspiański, pocieszającą informacją będą prognozy dotyczące bardziej współczesnych malarzy. Wedle wyliczeń domu aukcyjnego DESA Unicum sztuka współczesna w 2021 r. odnotowała wzrost cenowy na poziomie ponad 60 proc., przy czym sztuka dawna, powstała przed I wojną światową, zyskała jedynie 6 proc. na wartości.

Na takie podsumowanie ubiegłego roku musimy jeszcze chwilę poczekać, ale jedno jest pewne. Inwestycje rosną, podobnie jak ceny pojawiających się na aukcjach prac. Jak jednak pokazują trendy w poszczególnych kierunkach sztuki, nie wystarczy kupić – trzeba jeszcze wiedzieć, kiedy sprzedać. Chyba że kolekcja to kolekcja, a nie inwestycja.

© DIANA SAŁACKA

Niewygodne drzewa i monastiry

JAKUB MEJER Z GRUZJI

Czystki wśród konserwatorów, muzealników i urzędników kultury z rzadka wywołują w Gruzji protesty lub przedostają się na łamy prasy. Ale jedna sprawa u styku mediów, kultury i polityki angażuje nawet zagraniczne rządy.

NIE PRZEWIDYWAŁEM, ŻE ZNALEZIENIE osoby, z którą będzie można przeprowadzić dla „Tygodnika” wywiad na temat ludzi sprzed 1,8 mln lat, najstarszych odkrytych poza Afryką, będzie takim problemem. Wystawa ich czaszek jest atrakcją Muzeum Narodowego w Tbilisi, ale próby kontaktu z tą instytucją pozostawały bez odpowiedzi. „Nie pracuję już w muzeum. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę z obecnej sytuacji w Muzeum. Nie mam nawet pojęcia, kogo spytać, aby ci pomóc” – odpisał mi w końcu jeden z projektantów wystawy.

Od marca 2021 r., kiedy na stanowisko ministra kultury i wicepremiera powołana została Tea Tsulukiani, w nieco więcej niż rok zwolniono ponad 70 pracowników gruzińskich muzeów, w znacznej większości z różnych oddziałów Muzeum Narodowego (w obrębie którego działają na ogół najważniejsze placówki). W styczniu zwolnienie 30 osób z Muzeum Sztuk Pięknych spotkało się z protestem przed ministerstwem, a pracownicy i ludzie kultury skandowali o „bolszewickich czystkach”. W czerwcu 130 byłych i obecnych muzealników napisało list otwarty do premiera, prosząc aby „przyjrzał się” sytuacji w instytucjach podległych Tsulukiani, bo jej działalność „rozkłada instytucje naukowe i całkowicie niszczy muzealnictwo”, czyniąc „nienaprawialne szkody” krajowemu dziedzictwu kulturowemu.

– Zarzucono nam niekompetencję, a po dwóch miesiącach od wyrzucenia z muzeum dokonujemy odkrycia, które jest na czołowych stronach światowych gazet – mówi Giorgi Bidzinaszwili, kierownik wykopalisk archeologicznych w Orozmani, które zasłynęły odkryciem zęba człowieka sprzed 1,8 mln lat. – Premier pytał mini-

ster: czemu wyrzucasz ludzi, którzy dokonują odkryć? Ona jest bardzo trudna, nie umie się przyznać do błędu. Stwierdziła, że odkrycia dokonali studenci, a nie zwolnieni pracownicy.

Jego znalezisko leży w sejfie w muzeum, nawet nie ma do niego dostępu. A muzea to nie jedyne miejsce, gdzie widać twardą rękę minister. W marcu zwolniono ekspertów i kierownika Gruzjińskiego Narodowego Centrum Filmowego; ten ostatni nazwał działania ministra „niszczącymi wizerunek państwa i rządu”. 1 listopada jedna z byłych pracowników Agencji ds. Konserwacji Zabytków poinformowała na Facebooku, że w ramach „kolejnej represyjnej czystki” zwolniono 20 osób, w tym archeologów, historyków i konserwatorów.

Ekscentryczny przywódca

Tsulukiani teoretycznie podlega premierowi Irakliemu Garibaszwilemu, 40-letniemu technokracie. W praktyce jednak nikt nie ma złudzeń, że za sznurki pociąga ktoś inny – były premier Bidzina Iwaniszwili. Chociaż nasuwają się porównania do sytuacji w naszym kraju (starszy lider kierujący krajem z tylnego siedzenia; młodszy „ekspertki” premier; zastępowanie urzędników, w tym w kulturze, swoimi nominatami), to Kaczyńskiego i Iwaniszwilego więcej dzieli, niż łączy.

Iwaniszwili ma bardzo dużo własnych pieniędzy – agencja Bloomberg jego majątek szacuje na 5,6 mld dolarów, co czyni go obecnie 418. najbogatszym człowiekiem na świecie (i pierwszym w Gruzji), chociaż kiedyś w takich rankingach był nawet 300 miejsc wyżej. Dorobił się jako oligarcha w latach 90. w Rosji, głównie w przemyśle stalowym, bankowości →

→ i nieruchomościach. Według oficjalnej narracji wycofał się z moskiewskich interesów przed rozpoczęciem kariery politycznej w 2012 r., nie wszyscy dają temu jednak wiarę. Ukraińskie władze we wrześniu zaapelowały o objęcie Iwaniszwilego sankcjami, nazywając go „nieformalnym władcą Gruzji”, który „ma bliskie kontakty z rosyjską elitą i lobbuje na rzecz najbogatszych Rosjan, przez co jest odpowiedzialny za materialne i finansowe wsparcie działań, które zagrażają Ukrainie”.

Nawet przed rozpoczęciem działalności politycznej Iwaniszwili wspierał rodaków na wiele sposobów. Jest fundatorem budowy lub odbudowy niezliczonych cerkwi. W najtrudniejszych czasach przełomu ostatniego tysiąclecia, gdy dla Gruzinów nawet prąd był luksusem, wielu z nich wypłacał dodatkowe pensje – zarówno sąsiadom w rodzinnej wsi, jak i najbardziej znanym artystom w kraju. Po zdobyciu władzy też po nie sięgał – gdy w 2019 r. wątpliwa była trzecia reelekcja jego ugrupowania Gruzini Sen, należąca do jednej z jego firm fundacja zapowiedziała masowe spłaty długów, co przekonało wyborców.

Te pieniądze pozwalają mu też na wystawne życie. Jego kolekcja sztuki, szacowana dziesięć lat temu na 1,3 mld dolarów, zawiera dzieła takie jak „Dora Maar z kotem” Picassa, które kupił za ponad 95 mln dolarów w 2006 r. (ówcześnie był to drugi najdroższy obraz w historii). Większości z nich nie można jednak zobaczyć, nawet w wartym 40 mln dolarów szklanym domu w kształcie UFO, na górującym nad Tbilisi wzgórzu. Ubezpieczyciele nie zgodzili się na to, więc w domu są kopie, a oryginały w sejfie w Londynie. Fortuna umożliwiła też jego synowi, Berze, namiastkę kariery artystycznej – jako muzyk uczył się u Wyclefa Jeana, chwali się zdjęciami z Rihanną i Zendayą.

Iwaniszwili interesuje się nie tylko sztuką. Równie imponujące mają być też jego kolekcje fauny i flory. W prywatnym zoo podobno ma lemury, kangury, pingwiny i flamingi. Na arboretum nad Morzem Czarnym, gdzie na 60 hektarach można podziwiać 200 ogromnych drzew i 58 gatunków ptaków, miał wydać kilkadziesiąt milionów dolarów. W 2021 r. na festiwalach filmowych (m.in. Sundance, Berlinale i polskie Docs Against Gravity) pojawił się dokument „Poskromiony ogród”. Dobrze przyjęte dzieło Salomé Jashi (nominowane do Europejskich Nagród

Media ujawniły raport
niezależnej komisji
ekspertskiej dotyczący stanu
monastynu Gelati, jednego
z najważniejszych zabytków
w kraju. Niedawna renowacja,
**zamiast poprawić
jego stan, doprowadziła
do poważnych zniszczeń.**

Filmowych) pokazuje karkołomne wysiłki zwykłych robotników przy przesadzaniu monumentalnych drzew do nowego parku. Pracownicy marudzą, że praca przy jednym z drzew, ważącym aż tysiąc ton, trwała trzy miesiące. Inni umilają sobie czas opowiadając o babuszcze, która liczyła, że za drzewo dostanie 400 lari (ok. 650 zł), a dostała 40 tys. dolarów. „Nieważne, jak zły jest, przynajmniej coś robi. To jego pieniądze, a nie podatników” – mówi jeden z bohaterów, który wraz z rodziną zastanawia się, czy podczas budowy parku wyremontują też drogę obok ich domu.

Gruzińskie kina bały się dystrybuować film, chociaż na prowizorycznych pokazach w niezależnych teatrach widownia była pełna i zachwycona. W Akademii Filmowej po jednym pokazie wszystkie kolejne zostały odwołane. Jednym z koproducentów było Gruzińskie Narodowe Centrum Filmowe. Oficjalnie Gaga Czkeidze, który kierował tą instytucją, i jego współpracownicy zostali zwolnieni z powodu nieprawidłowości finansowych, jakie wykazał audyt. On odpiera te zarzuty i mówi, że jedyna rozmowa, jaką przepro-

wadził z Tsuliukani, dotyczyła właśnie... filmu „Poskromiony ogród”.

„Spotkałem ją tylko raz, kiedy jeszcze była parlamentarzystką, od razu zaczęła mówić o filmie. Nie podobało jej się to, co mówi autorka, i jego fabuła. Była rozczarowana, że Centrum finansowało film. Musiałem wytłumaczyć, jak podjęto tę decyzję, chociaż zapadła przed moim przyjściem tam do pracy w 2019 r. Wtedy film był już w postprodukcji” – mówił w jednym z wywiadów Czkeidze, dodając: „Nie tylko mnie to spotkało, zwolniła dziesiątki ludzi z różnych instytucji kultury w pierwszym roku w ministerstwie. To przypomina mi czasy radzieckie, gdzie każda instytucja miała swój własny komitet partyjny, który w rzeczywistości nią rządził”.

Styk polityki i kultury

Czystki wśród konserwatorów, muzealników i urzędników kultury z rzadka wywołują protesty lub przedostają się na łamy prasy. Ale jedna sprawa u styku mediów, kultury i polityki angażuje nawet zagraniczne rządy.

W listopadzie sąd apelacyjny utrzymał w mocy wyrok trzech i pół roku więzienia i grzywny dla Niki Gwaramii, dyrektora stacji telewizyjnej Mtavari Arkhi („główny kanał”). Sprawa dotyczy jego poprzedniej pracy, jako szefa stacji Rustavi 2. Zdaniem sądu w 2015 r. niekorzystne umowy reklamowe podpisywane przez niego spowodowały szkodę na rzecz spółki w wysokości 6,7 mln lari (ok. 11 mln zł), a cztery lata później otrzymał porsche w prezencie za reklamy.

Obrońcy Gwaramii twierdzą, że to wyrok na zamówienie polityczne. Rustavi 2 powstało w 1994 r. jako pierwsza prywatna telewizja. Od początku była kry-

tyczna wobec długoletniego przywódcy Eduarda Szewardnadze, a przy rewolucji róż w 2003 r. była głównym medium opozycji z Micheilem Saakaszwilim na czele. W późniejszych latach często była niewiele więcej niż tubą propagandową jego i jego partii – Zjednoczonego Ruchu Narodowego. Gwaramia, który zaczął nią kierować w 2012 r. (w tym samym momencie, kiedy doszło do zmiany władzy i Iwaniszwili został premierem), wcześniej był parlamentarzystą, ministrem sprawiedliwości i edukacji. W 2019 r. zmienił się właściciel stacji.

– Teraz Rustavi 2 jest mniej krytyczne wobec władzy – mówi Irina Guruli, wicedyrektor w gruzińskim think tanku Europejskie Centrum Badań Politycznych. Wyrok w sprawie Gwaramii często jest wkładany do tego samego worka – zarówno przez jego przeciwników, jak i zwolenników – z pobytem w więzieniu samego Saakaszwilego. Jedni widzą w nich rozliczenie z autorytarnymi skłonnościami poprzedniej władzy. Druzy – autorytaryzm obecnej.

Analiza sprawy Gwaramii z 2015 r. przeprowadzona przez gruziński oddział Transparency International, jeszcze przed finalnym wyrokiem, konkluduje, że „tylko w wyjątkowych sytuacjach decyzje menedżerskie podjęte dla dobra spółki przez dyrektora, które nie zakończą się powodzeniem lub zyskiem, są podstawą do sprawy w sądzie pracy, a co dopiero w sądzie karnym”. Rzecznik Praw Obywatelskich w sprawie samochodu zaznaczył, że przekazanie dyktorowi produktu za reklamę, jeśli wiedział o tym właściciel, nie jest przestępstwem.

Polski MSZ w maju wyrażał zaniepokojenie pierwszym wyrokiem w tej sprawie, zaznaczając, że może on „negatywnie

wpłynąć na wizerunek praworządności i wolności mediów w Gruzji”. Ambasador Stanów Zjednoczonych w Gruzji Kelly Degnan tuż przed świętami stwierdziła, że „wyrok jest nieproporcjonalnie wysoki w porównaniu z zarzutami”. Amnesty International nazwało wyrok „politycznym odwetem za krytykę”, a Human Rights Watch „fikcyjnymi zarzutami uderzającymi w wolność mediów i wypowiedzi”. Reporterzy bez Granic zaapelowali o niezależny audyt wyroku i przypomnieli, że dziennikarze obecnej firmy Gwaramii – Mtvvari Arkhi, jednej z większych telewizji opozycyjnych, są nękani przez polityków Gruzjińskiego Snu, takich jak... Tea Tsulukiani.

Siła Tamary

W sierpniu zapadł pierwszy wyrok w sprawie zwolnień w Muzeum Narodowym. Jedna z kierowniczek, reprezentowana przez lokalne NGO, wygrała, chociaż za doświadczenie było niskie, a sąd nie nakazał przywrócić jej do pracy. W tym samym miesiącu w sądzie pracy wygrały też dwie osoby zwolnione z Ministerstwa Kultury. W październiku wygrał pracownik Agencji ds. Konserwacji Zabytków.

– Ja też jestem przekonany, że wygram swoją sprawę – mówi Giorgi Bidzinaszwili, również zwolniony z Muzeum Narodowego. Obecnie toczy się co najmniej kilkadziesiąt podobnych spraw. Rzecznik Praw Obywatelskich uznał, że co najmniej kilka zwolnionych osób w Muzeum Narodowym było dyskryminowanych.

Pod koniec listopada gruzińskie media ujawniły raport niezależnej komisji eksperckiej, składającej się z profesorów z Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych i Szwajcarii, dotyczący stanu monastyru Gelati – świątyni z XII wieku wpi-

sanej na listę światowego dziedzictwa UNESCO, jednego z najważniejszych zabytków w kraju. Chociaż eksperci odwiedzili budynek na początku maja, to dokument długo był utajniony. W środowisku spekuluje się, że jego ujawnienie to kontrolowany wyciek z patriarchy. Raport jest bardzo krytyczny, zauważa „poważne zniszczenia i ubytki malowideł z powodu wilgoci i rozpuszczonych w wodzie soli”.

Gelati od dawna jest w złym stanie – do 2017 r. było wpisane na listę dziedzictwa zagrożonego UNESCO. Sama Tsulukiani nazwała renowacje z lat 2008-2020 „nieudanymi eksperymentami”. Raport powstały na zlecenie patriarchy jest jednak krytyczny również wobec tego, co dokonano już za kadencji nowej minister. „Zabiegi ratunkowe zostały przeprowadzone bez odpowiednich badań” – piszą autorzy, zauważając, że ślady soli pojawiają się też w miejscach, w których były one przeprowadzone. Podają w wątpliwość także niektóre z narzędzi używanych lub proponowanych do użycia w renowacji.

Przeciwnicy minister uważają, że to kolejny dowód braku doświadczenia jej oraz jej podwładnych, którzy nie mają kompetencji w dziedzinie kultury. Wielu z nich przyszło wraz z nią z Ministerstwa Sprawiedliwości (kierowała tym resortem w latach 2012-20), nowym dyrektorem Muzeum Etnograficznego został były dyrektor Centrum Nauczania Więźniów.

Najbardziej uderzające w tym dokumencie są jednak zdjęcia pokazujące, jak mocno zanikły malowidła w zaledwie kilkadziesiąt miesięcy. Wiele osób boi się, że Gelati spotka los innej świątyni – katedry Bagrata. Obie wpisano na listę UNESCO w 1994 r., ale w 2017 r. katedra została z niej wykreślona – właśnie z powodu odbudowy, przez którą utraciła dawne walory. W Gelati pochowani są (według tradycji) dwaj królowie: Dawid IV Budowniczy i jego córka Tamara (Gruzini nie używają formy królowa dla władców płci żeńskiej), powszechnie uważani za najwybitniejszych w historii kraju i uosobienie tzw. złotego wieku Gruzji przypadającego na XI, XII i XIII wiek.

– Gelati to może być dla ludzi w tym kraju kropla, która przeważą szalę goryczy, i minister będzie się musiała pożegnać ze stanowiskiem. Przynajmniej w normalnej sytuacji tak by było – uważa Giorgi Bidzinaszwili. © JAKUB MEJER

Kadr z filmu „Ujarzmić ogród” Salome Jaszi.

Rejs w chmurach

ANITA PIOTROWSKA

Być może już sam tytuł tego filmu – w dosłownym tłumaczeniu „Trójkąt smutku” – zawiera wszystko. Bo nie chodzi przecież o żadne głębie, tylko o rozluźnienie naszej mimiki.



DLA PORZĄDKU PRZYPOMNIJMY: w „trójkącie mimetycznym”, opisanym przez francuskiego myśliciela René Girarda, pragnienia są zapośredniczone, toteż pragniemy zazwyczaj tego, czego pragną inni. Ale nowy film Rubena Östlunda, choć opowiada o bogactwie i wektorach jego pożądania, sam oznajmia, że wcale nie sięga tak daleko.

Już na początku okazuje się, że tytułowy trójkąt to po prostu... „lwia bruzda”, która tworzy się pomiędzy brwiami, gdy czymś się martwimy albo złościmy. I nawet jeśli w świecie rosnących nierówności społeczno-ekonomicznych jest się czym martwić i złościć, nagrodzony Złotą Palmą film o luksusowym rejsie działa bardziej niczym poprawiający wyraz twarzy zastrzyk botoksu niż intelektualna prowokacja. Żeby tego dokonać, szwedzki reżyser gotów zabawić swego widza na śmierć, zadłgać ostrzem satyry, unurzać w torsjach i ekskrementach. Organizuje więc kolejny bal na Titaniku i stara się udowodnić, że ów statek płynie dalej, choć od czasu do czasu następuje próba przetasowania na jego pokładach. Mało w tym odkrywczych prawd, lecz inne rozkosze są gwarantowane.

Od ponad dekady Östlund z pazurem diagnozuje współczesny świat zachodni, a właściwie rozdrapuje szczeliny w jego niby stabilnej, postępowej konstrukcji. Spod warstwy wielokulturowości i politycznej poprawności wydobywa na światło dzienne najgłębiej skrywaną przemoc i rasizm. Pod równouprawnieniem płci

i świadomością ról genderowych znajduje uśpione atawizmy. W kręgach sztuki współczesnej, tej krytycznej i z gruntu lewicowej, demaskuje sprzedajność, hipokryzję i artystyczną hochsztaplerkę. Coraz lepiej się przy tym bawi.

Z filmu na film reżyser staje się coraz bardziej mainstreamowy, przebijając od środka bańkę kina festiwalowego, na ogół dostępnego tylko elitom. Tak właśnie jest z filmem „W trójkącie”. Nie ma znaczenia, czy znasz „Kapitał” Marksa – jeden z bohaterów i tak zreferuje go w krótkich kapitańskich słowach. Na czas seansu nie ma także znaczenia, czy ubierasz się u Prady, Balenciagi czy w H&M – wszyscy dostają po głowie, choć oczywiście najmocniej ci najbardziej uprzywilejowani. A wszelkie wyrafinowane aluzje i tak zostają przykryte przez hektolitry złego smaku, który niemal wylewa się z ekranu.

Na plakacie reklamującym film jedna z bohaterek wymiotuje złotem – nic dodać, nic ująć. Pasażerami tego statku pijanego są bowiem postacie obrzydliwie bogate i jakże w tym stereotypowe: rosyjski oligarcha z rodziną, brytyjski producent broni z małżonką i – na razie potencjalnie – młoda para z branży influencersko-modowej. Kino czasów kryzysu lubuje się w „zjadaniu” bogaczy, również w znaczeniu eksploatacji tematu („Wilk z Wall Street”, „Big Short”, „Parasite”, „Glass Onion”, seriale „Sukcesja” czy „Biały Łotos”). Zawsze to miło popatrzeć, jak bardzo bohaterowie należący do mitycznego

„jednego procenta” są odklejeni od rzeczywistości.

W „W Trójkącie” najdosadniej ucieleśnia to niemiecka milionerka po udarze, wykrzykująca raz po raz swoje absurdałne „In den Wolken!”, czyli „W chmurach”. Każdy tu zresztą buja w jakichś chmurach. Kamera zaś kompromituje i zarazem fetyszyzuje nadmierną konsumpcję, syci oko podskórnymi napięciami z udziałem załogi i obsługi statku. Wiadomo jednak, że musi przyjść ów krytyczny moment, kiedy nastąpi tąpnięcie. A wraz z nim totalna dezorganizacja, próba przejęcia władzy oraz uzyskania dostępu do zasobów i w konsekwencji odwrócenia hierarchii.

Lecz reżyser nie wierzy w żadną rewolucję, albowiem przynosi ona ze sobą nowy nieporządek, zwycięża w niej ułomna strona natury ludzkiej i koniec końców przetrwają najtwardsi. Scenariusz „W trójkącie” jedynie do pewnego momentu ma charakter kompensacyjny. Taki zresztą zarzut stawia się jego twórcy – że podczas rejsu poszedł na całość w mało wybrednych ekscesach, a następnie zaszerwował widzowi dość oczywistą przewrotną, finalnie popadając w cyniczny fatalizm i nie proponując żadnej, nawet najbardziej utojonej „trzeciej drogi”.

Na szczęście są jeszcze sceny, gdzie raz po raz kłania się stary dobry Östlund, który błyskotliwie problematyzuje międzyludzkie konflikty. Jak choćby w pierwszej części tryptyku, gdy dopiero poznajemy Carla i Yayę, pięknych i mło-



FREDRIK WENZEL / GUTEK FILM / MATERIAŁ PRASOWY

W TRÓJKĄCIE

(Triangle of Sadness)
– reż. Ruben Östlund.
Prod. Szwecja/Wielka
Brytania/Francja/
Niemcy 2022.
Dystryb. Gutek Film.
W kinach.

Podczas minionego roku Ruben Östlund rozbił niejedną bank. „W trójkącie” wygrało festiwal w Cannes i otrzymało Europejskie Nagrody Filmowe (za najlepszy film, reżyserię, scenariusz i rolę Zlatka Buricia). Wcześniejsze jego tytuły: „Gra” (2011), „Turysta” (2014) czy „The Square” (2017) również były wydarzeniami, a urodzony w Szwecji twórca to dziś jedno z ważniejszych nazwisk europejskiego kina.

dych z modowego świata. Najciekawiej wypada nie tyle jego karykaturalne przedstawienie (bo sam bywa często własną karykaturą), ile słowne potyczki uprawiane przez młodzież zarabiającą krocie na swych idealnych ciałach. Ujawnia się w nich anachroniczne zaplątanie w różnego rodzaju nierówności, czytaj: współzależności między płcią i pieniądzem, czego odwróconym odbiciem będzie erotyczny trójkąt z aktu trzeciego.

Życie dopisało zresztą ponury epilog do tego wątku, kiedy pięć miesięcy temu Charlbi Dean, grająca Yayę południowoafrykańską aktorka i modelka będąca u progu kariery, zmarła nagle na sepsę. I bez tego przestroga „nie znieć dnia ani godziny” zdaje się wisieć nad bohaterami „W trójkącie” jako zapowiedź gwałtownej burzy na społecznym morzu i finałowej karnawalizacji dotychczasowego układu sił.

Obsceniczna historia o ludziach, którzy sprzedają innym ludziom jakąś „kupe” i dzięki temu stać ich na wypasione jachty, kąpiele w czarnym kawiorze i prawdziwym szampanie, na ekranie ma także literalny autokomentarz. Składają się nań bravurowe dysputy prowadzone przez kapitana statku (wyborny Woody Harrelson) i Dymitra, krezusa od nawozów (jeszcze wyborniejszy Zlatko Burić). Czyli przez amerykańskiego komunistę i postradzieckiego kapitalistę, obu na mocnym gazie. Z tego połączenia skompromitowanych „izmów” wyrasta anarchizujący i raczej bezlitosny ton filmu.

Östlund nie bawi się jednak w złego proroka, w pełni zadowala go funkcja szopkarza. To z pewnością za mało na kino, które mierzyłoby się z rażącymi podziałami współczesności (nie tylko ekonomicznymi, ale i kulturowymi czy cywilizacyjnymi – patrz postać arcyprzedsiębiorczej Azjatki) i stanowczo za dużo na całkowicie odstressowującą komedię. Za to w sam raz na dwuipółgodzinny rejs z licznymi atrakcjami. Z wieloetniczną menażerią, wrzutkami à la Slavoj Žižek, przewlekłą chorobą morską i chwilową utratą równowagi w pakiecie *all inclusive*. ©

Lektor:

Świat odbity w języku



■ Eliza Kącka
STREFA ZGNIOTU
Lektor,
Kraków 2022,
ss. 336

MIEJSCE I CZAS: POLSKA, LATA 2013-2021. POLE badawcze spore: warszawska kamienica, w której mieszka narratorka z córką zwaną Rudą. Inni, często się zmieniający i ruchliwi lokatorzy. Spacerowicze, z psami i bez. Także koty (jeden niestety nieżywy). Okoliczne sklepy, środki komunikacji miejskiej, czasem taksówki. Biblioteka – ze staruszką, który uparcie wybudza bohaterkę, kiedy ta zapadnie w drzemkę, bo obawia się, że umarła. Korespondencja ze studentami (choć najciekawszy okazuje się folder „Inne”). Przychodnie lekarskie. Szpital. Telefony; wśród rozmówców wyróżnia się jedna z sąsiadek, zwana Staruszką od Ciśnienia (ma bogate i dziwne sny, uważa, że pani Eliza podobna jest do ryjówki olbrzymiej), a także dawny polonista, który opowiada o katuszach, jakie przeżywa pracując w szkole. Telefony omyłkowe. Wyprawy do rodzinnego Lidzbarka Warmińskiego, figurującego tu jako LW, i rozmowy z klientami ojca-weterynarza.

I potok słów, konsekwentnie gromadzonych. Odbijają i równocześnie karykaturują naszą rzeczywistość, realia i teorie spiskowe, ewolucję języka i jego chłonność na zapożyczenia, napięcia międzypokoleniowe. Trzeba mieć wspaniały słuch i pamięć, by budowanie takiej prozy się udało, byśmy mieli wrażenie, że znaleźliśmy się w środku czyjegoś życia i słyszymy autentyczne głosy. Pojedyncze podsłuchanie, jak je nazwała kiedyś Wisława Szymborska, układają się w całość, oświetlają wzajemnie i niejako rozmawiają ze sobą. Co jest i śmieszne, i czasem straszne. Bo ta budząca rozbawienie rzeczywistość podszyta jest dramatem.

Na krawężniku, róg Rakowieckiej i Puławskiej, siedzi starszy pan i płacze: „już nie mogę, ale coś pani powiem. pani powiem. mam 88 lat. walczyłem, wykształciłem się na lekarza, strajkowałem. wie pani, jak się czuje ktoś taki jak ja? teraz? dziś nad tym myślałem, kiedy nie spałem. jak ktoś, kto został sam w domu, który budował latami. już to jest gorzkie. ale raptem puka do drzwi jakaś obca banda i każe mu wyjść, bo kontrola. i na jego oczach, kiedy on stoi bezradnie za płotem, wznieca z głupoty pożar i gasi go tak niemrawo, tak nieudolnie, że zostają zgłiszczka. i on na tych zgłiszczkach kładzie się i ma nadzieję, że zginie razem z tym domem. wszystko cuchnie. to jest ten swąd. bezradności. to nie tak miało się kończyć. tyle powiem”. ©TP

OLGA

Drenda:

Wyjście ewakuacyjne



NOWY ROK I NOWE POWODY DO (LEKKIEJ) irytacji: półsen i bezkształt towarzyszące kilku poświęceniom dniom sprzyjają dobrej, skutecznej pracy jak żadne inne (to chyba to samo zjawisko, które powoduje, że łatwiej się

skupić wcześniej rano albo późno w nocy). Tymczasem wraz z pierwszym pracującym dniem nowego roku wkrada się napięcie, obawa przed pośpiechem. Piotr Skrzynecki słusznie mawiał, że pośpiech poniżej, niestety bywa on również zaraźliwy. Mimowolnie oddajemy się wówczas tym śmiesznym i daremnym ruchom pozorowanym, być może zakładając, że skoro kto inny się spieszy, to widocznie jest do czego. Ten pośpiech to rodzaj zaszczepienia szkodliwym miazmatem – sprawia, że można żyć w iluzji robienia czegoś istotnego i niecierpiącego zwłoki, podczas gdy jest to na ogół tylko nerwowe trzepotanie i gest znanego ze starego mema „dramatycznego pieszka preriowego”.

Jestem na siebie zła, gdy daję się nabrać na tę iluzję, tym bardziej że mam porównanie. Otóż kiedyś, wiele lat temu, do pewnego stopnia odizolowałam się od spraw bieżących. Nie dlatego, żeby zamknąć się w wieży z kości słoniowej czy dla snobizmu – to raczej samo się stało, gdyż wciągnęłam mnie nauka oraz ówczesne pasje. Z wiadomości wiedziałam jedynie o rzeczach najważniejszych, natomiast zupełnie poza radarem pozostawała gorąca debata polityczna i sfera opinii. Nie miałam pojęcia, co kto sądzi i jakie idee krążą w obiegu. Jak to się stało, mimo aktywnej obecności w mediach społecznościowych? Po prostu śledziłam w nich Inne Rzeczy; dzięki temu zdobywałam wiedzę i bu-

dowałam swój własny korpus ulubionych lektur i teorii. Do dziś mi się przydaje i często, gdy na coś się powołuję, pochodzi to właśnie z dzieł wówczas poznanych.

Oczywiście takie częściowe wypadnięcie z kursu niesie pewne koszty: odbiera przyjemność uczestniczenia w zeitgeście, kokoszenia się w swojej racji, zabierania wszystkowiedzącego głosu o czymś, o czym „się mówi” (w końcówce lat 50. – „Witaj smutku” i bomba atomowa; w latach 70. – książki profesora Kępińskiego i „Trzy filary zen”; na przełomie milleniów – owieczka Dolly; dzisiaj pewnie Harari, serial „Biały lotos”, pop-neurobiologia i spekulacje, kto będzie nowym światowym liderem). Poczuć się wszystkowiedzenia, przyjemność gdybania i spekulacji (a potem paskudnej satysfakcji z „a nie mówiłem”), spełnienie z powodu uczestniczenia w Czymś, nawet jeśli po łebkach – to wszystko realne sprawy. Ale zanurzenie w tym „się” grozi niebezpieczeństwem utraty własnych myśli i opinii, bezwiednym powtarzaniem tego, co się widziało i słyszało, i to często w wersji rodem z Radia Erewań.

Dlatego ucieszyło mnie, gdy ostatnio kilkakrotnie spotkałam się z wielką ekscytacją na wieść o wznowieniu książki Antoniego Mączaka „Życie codzienne w podróżach po Europie w XVI-XVII wieku”. Pasjonować się reedycją dawnej książki o czasach jeszcze dawniejszych, w dodatku autorstwa historyka, który zmarł przed dwudziestu laty? To eskapizm na całego, powiedziała by ktoś, może dodając coś o różach i lasach, bo przecież żyjemy w czasach przełomowych i groźnych wydarzeń. Ale nie jest to opinia zbyt pożyteczna. Skupienie się na „czymś innym” ma bardzo wiele sensu.

Nie jest dobrze pocieszać się tym, że „inni mają gorzej”, ale warto wyciągać wnioski z opowieści o tym, jak ludzie radzili sobie, gdy było naprawdę strasznie. Wynika z nich, że bufor przeciwko rzeczywistości, umiejętność przeniesienia się myślami w innym kierunku to nie luksus, a potrzebna broń. Niedawno w „Tygodniku” Wanda Traczyk-Stawska wspominała o wykładach z filozofii organizowanych przez towarzyszek niedoli w obozie jenieckim. Kazimierz Wyka pisał, że w czasach okupacji olbrzymią popularnością cieszyło się „Przeminęło z wiatrem”. Dziś, mimo trwających rosyjskich ostrzałów, Dmytro Solovyov (@ukrainianmodernism na Instagramie) nie rezygnuje z fotograficznej pasji, robi zdjęcia i oprowadza wycieczki po Kijowie, ucząc innych o pięknie tego miasta.

Oczywiście nasza codzienność to nie ta sama skala – dziś w Polsce mamy szczęście żyć w pokoju i choć mierzymy się z niepewnością, napięciem, samotnością, brakiem stabilności, to jednak na ogół jesteśmy pewni, że przeżyjemy kolejny dzień. Dlatego nie chodzi o licytację na trudności, lecz o branie dobrego przykładu: jeśli nie mamy osłony przed rzeczywistością, wyjścia ewakuacyjnego, czegoś, co fachowcy czasem nazywają „kontrolowaną dysocjacją”, choćby w postaci czytania o starożytności, gier komputerowych czy oddawania się marzeniom, to zetrze nas ona jak papier ścierny. ©

Wehikuł ewakuacyjny, chwilowo zaparkowany.



OLGA DRENDA

PAWEŁ

Bravo: O wilku, kucyku i komisji



DWADZIEŚCIA PIĘĆ TYSIĘCY KILOMETRÓW kwadratowych w granicach Polski znajduje się pod kontrolą wilczych watah. To mniej niż jedna dziesiąta terytorium naszego państwa, skądinąd w całości zasiedlonego przez innego wilka, tego w ludz-

kiej skórze – ale do kwestii politycznych wrócimy później. To wbrew pozorom całkiem sporo jak na zaawansowany w urbanizacji i przemysłowym rolnictwie kraj w środku Europy. Od jakichś dwóch dekad jesteśmy nawet eksporterem tego gatunku – powolna odbudowa populacji wilka w Niemczech zaczęła się od napływu pierwszych osobników z Polski.

Czas nadszedł taki, iż powinniśmy z poczuciem odpowiedzialności pozwolić niektórym z nich z powrotem czmychnąć za Odrę, bo nie są tam mile widziane. A jak niemieckie państwo uzna coś za problem, to zwykle rozwiązuje go z wysokim stopniem skuteczności, tak że zostaje tylko kurz i stopy filozoficznych referatów o dialektyce oświecenia czy też innej akurat aktualnej epoki, która rozum spuściła ze smyczy i postawiła racjonalność ponad życiem.

Choćby taki dorosły samiec nazwany GW950m (bo pod rządami rozumu każdy problem ma swój numer i teczkę) – lepiej by zrobił kierując się z powrotem na wschód. Od pół roku jest bowiem wyjęty spod prawa i nie obejmuje go żadna ochrona. Licencję na jego zabicie wydano z racji szkód, jakie zuchwale czynił w gospodarstwach Dolnej Saksonii. Miał bidak pecha, albowiem późnym latem zakradł się, nieświadom politycznej rangi swej wyprawy, do posiadłości przewodniczącej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen – która to polityczka, jako osoba wychowana w siodle, trzyma na swojej daczce liczne konie – po czym zagryzł jej ulubionego kucyka.

GW950m nie tylko przypłaci swoją lekkomyślność i dewiację (zdrowe wilki raczej nie atakują koni) życiem, ale jeszcze napyta biedy pobratymcom w całej Europie. Przewodnicząca zażądała od podległych sobie struktur Komisji, by przeanalizowały zasadność dotychczasowych ram zapewniających wilkowi ochronę, choć, wbrew temu co się czasem słyszy, nie taką totalną. Załącznik V do tzw. dyrektywy siedliskowej Unii wymienia wilka wśród gatunków, których „pozyskiwanie ze stanu dzikiego i eksploatacja może podlegać działaniom w zakresie zarządzania”. A tak bez nowomowy? Krąg śniegu wydeptany, w tym kręgu plama krwawa – tak ów „zakres zarządzania” widział Kaczmarek, ale w naszej kulturze to normalne, że poeta więcej powie o świecie niż urzędnik.

Równoległe lobby hodowców bydła w paru ważnych krajach już zeszłej jesieni wymogło na europarlamencie rezolucję wzywającą mniej więcej do tego samego, co przewodnicząca KE – żeby się przestać z wilkiem cackać. Mowa jest w niej o tym, że należy ochronić zwierzęta hodowlane przed cierpieniem spowodowanym przez drapieżniki i to jest do-

piero pojęciowe salto mortale: faceci, którzy na zarzynaniu owiec lub krów zbudowali majątek i poczucie własnej wyższości, rzewnie biadolą nad cierpieniem tychże zwierząt zadany przez inne zwierzę, które zagryza, bo musi (i które łatwo od pastwisk odstraszyć).

Może w tej całej obłudzie i poplątaniu chodzi o banalną zazdrość – no bo to skandal, że wilk, choć pozbawiony bielizny termicznej, GPS i noktowizora, lepiej sobie radzi z podejściem do jelenia niż myśliwy. I rozumiała, choć groźna zazdrość, że w jego wypadku zabijanie dla przetrwania oraz walka na kły z przedstawicielami drugiej watahy jest czymś oczywistym, czego nie trzeba owijać w eufemizmy i obudowywać dyrektywami, by potem te dyrektywy kreatywnie omijać.

Ekscesy saksońskich wilków i strasburskich postów niech będą noworoczną przypowieścią. Za sprawą głównie wojny, ale i wielu innych spektakularnych niegodziwości, z kończącymi rok zawodami piłkarskimi na czele, mocno nam się zdewałuowała przereklamowana do mdłości czułość, którą w ślad za mową naszej noblistki tyle razy międlono w każdym kontekście. Aż stała się zapychaczem rozmowy o tym, że świat jest w gruncie rzeczy bardzo nie w porządku. Mieliliśmy wiele powodów, by zejść do emocjonalnych piwnic i przeżyć zapasy pierwotnego strachu, głodu, złości, które kisały tam w zmętniałych słojach. Szczycimy się tym, że nie musimy ich otwierać. Ale dobrze je przetrzeć, policzyć i się z nimi liczyć. I skoro sami sobie zabraniamy zabijać, zostawmy wilki w spokoju. GW950m, może jesteś trochę chory na twym wilczym umyśle, ale trzymam za ciebie kciuki. ©

*Pierwsze tygodnie po przesileniu poświęciłem na przegląd zapasów „na zimę”. Słoje nie zmętniały, ale za to ostatnia dynia deklarowała pilną chęć odejścia, więc zaraz upiekłem ją, pokrojoną w kosteczkę, z szalwią i wędzoną papryką, po czym wykorzystałem do pięknego risotta, do którego zamiast masła dałem na koniec dużo gorgonzoli. Następne zimowe risotto zrobić już z fenkułem – to stary przepis, w podweneckich wsiach zwany **risi e fenoci**. Bierzemy w sumie **ok. 1/2 kg fenkułu**, zdejmujemy zewnętrzne, zeschłe łuski i wycinamy głąb – nie wyrzucamy ich, tylko dodajemy do **bulionu warzywnego**. Resztę (powinno tego być ok. 300 g) drobniutko siekamy, dusimy pięć minut na **maśle**, na którym uprzednio krótko zeszkliliśmy małą, posiekaną w kostkę **cebule**. Dodajemy **ryż (także ok. 300 g)**, prażymy, podlewamy wrzącym bulionem jak zwykle, aż ryż stopniowo wszystko wypije i stanie się miękki. Na koniec, jak zawsze, **łyżka masła, parmezan i odrobina tartej skórki pomarańczowej**. Spróbujcie, jeśli macie, do bulionu dodać, oprócz pieprzu i lauru, także **gwiazdkę anyżu**, pasuje profilem aromatycznym do fenkułu.*

ANDRZEJ TOKARSKI / ADOBE STOCK

ZIEMIA, PLANETA PELÉGO

Sen o jedności rodzaju ludzkiego i piekło nierówności.

Niewinność gry i medialno-komercyjna machina.

Łądowanie na Księżycu i mundial w Meksyku. Cały świat w życiu jednego piłkarza.

MICHAŁ OKOŃSKI

PISZĄC POŻEGNANIE REI DO FUTEBOŁ, CZYLI KRÓŁA FUTBOŁU, NAJPROŚCIEJ zacząć od którejś z jego akcji. I co ciekawe: choć w trakcie całej kariery zdobył ponad 1200 bramek, a tę tysięczną, strzeloną w 1969 r. na stadionie Santosu z rzutu karnego uroczysto celebrowano – nie musi to być wcale akcja zakończona golem.

Podczas meczu z Czechosłowacją na mundialu w 1970 r. spróbował np. przelobować bramkarza uderzeniem z połowy boiska. Minimalnie chybił, ale wszyscy ci, którym – jak Davidowi Beckhamowi – po latach udało się w podobnej sytuacji trafić, byli już jedynie epigonami Pelégo.

W półfinale tamtego turnieju z kolei zwiódł bramkarza Urugwaju: zamarkował strzał i pozwolił piłce minąć zarówno jego stopę, jak i próbującego go powstrzymać rywala. Futbolówka potoczyła się prawą stroną Ladislao Mazurkiewicza, Pelé wyminął Urugwajczyka z lewej, później zaś dopadł do niej, uderzył z ostrego kąta i choć tym razem również przesła obok słupka, jeszcze wiele lat później historycy futbolu analizowali „najpiękniejszego gola, którego nigdy nie było”.

CZUŁOŚĆ MISTRZÓW | Ale można też zacząć od zdjęcia, również zaliczanego w dziejach piłki nożnej do najpiękniejszych. Może dlatego, że choć przedstawia zwycięzcę i pokonanego, to na pierwszy rzut oka nie wiadomo, który jest który. A może dlatego, że – zważywszy, iż przedstawieni na nim mężczyźni różnią się kolorem skóry – ich bliskość zdaje się symbolem tak żywych wówczas nadziei na lepszy świat.

Na tym samym mundialu w Meksyku odbył się mecz między broniącymi tytułu mistrzowskiego Anglikami a Brazylią; mecz, w którym Pelégo powstrzymał wprawdzie Gordon Banks – interwencją okrzykniętą z kolei najpiękniejszą w dziejach bramkarskiego fachu – ale który Brazylijczycy wygrali po голу Jairzinho. Dwaj liderzy swoich drużyn wymienili się właśnie koszulkami, a teraz, szeroko uśmiechnięci, gratulują sobie znakomitej gry. Ręka Pelégo opiera się o pierś Bobby'ego Moore'a, dłoń zbliża się do głowy kapitana reprezentacji Anglii. Palce Moore'a dotykają policzka Pelégo. Jasne: Anglicy z tamtych lat trzymali dystans, więc o przytuleniu nie może być mowy, ale czułość widzimy tu z pewnością, nie mówiąc już o tak charak-

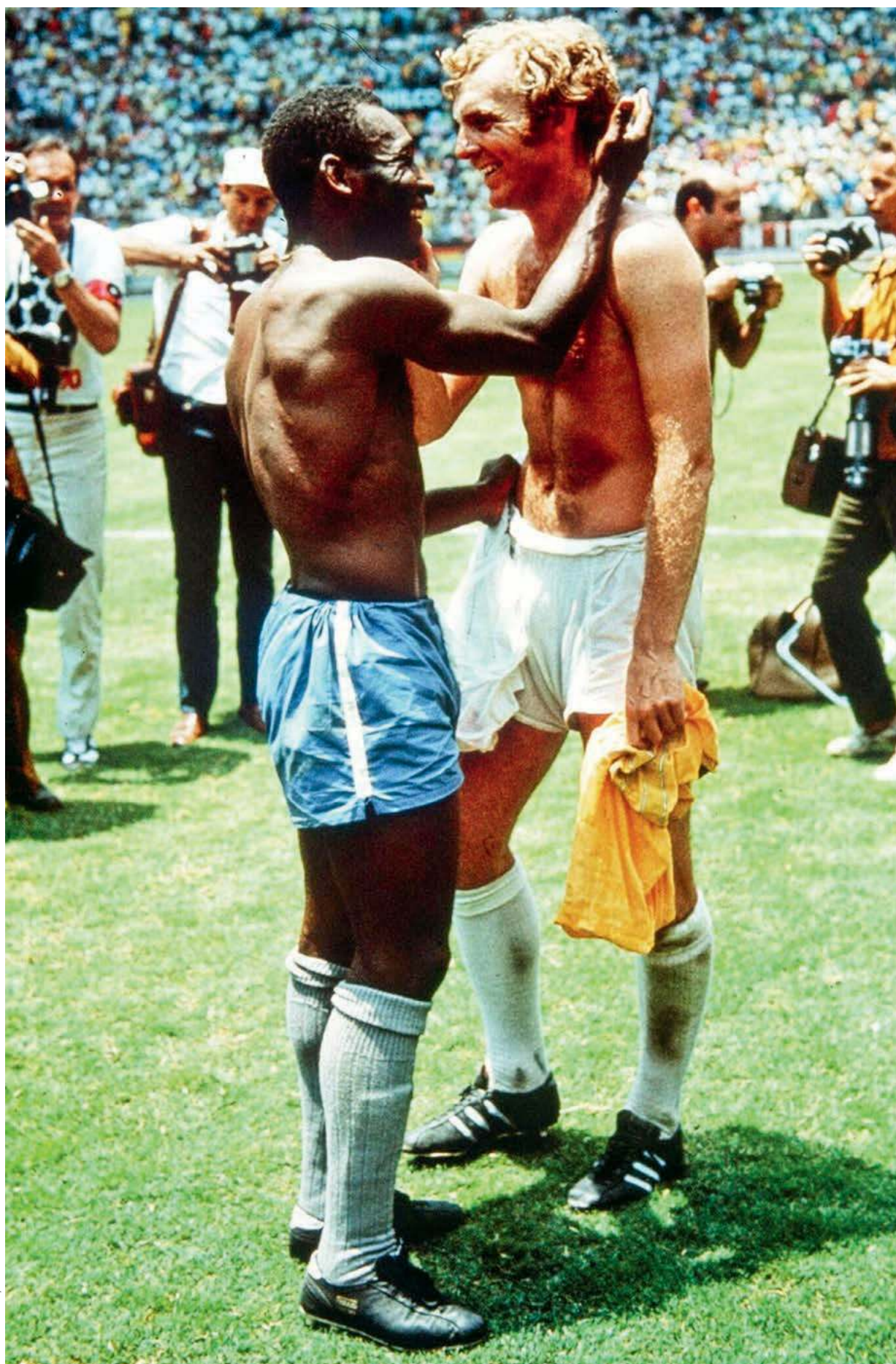
terystycznym dla sportowców najwyższej klasy uznaniu dla kunsztu rywala; uznaniu przekraczającym, co oczywiste, różnice narodowe, religijne czy rasowe.

OBROŃCY NA POLOWANIU | Wielu jednak pisze o nim tak, jakby był postacią mityczną. I pewnie trudno się dziwić, bo choć wszyscy znaliśmy jego przydomek (naprawdę nazywał się Edson Arantes do Nascimento, wybierając imię chłopca rodzice przekreślili nazwisko wynalazcy Edisona), to mało kto widział na żywo, jak gra. Pochodził więc nie tyle z ubogiej rodziny mieszkającej w brazylijskim stanie Minas Gerais, co ze świata wyobraźni, ożywianej przez filmy w mocno już wyblakłym kolorze lub wręcz czarno-białe. Nazwać je filmami z wieku niewinności piłki nożnej nie sposób tylko dlatego, że pokazują również, jak brutalnie był faulowany. Wiele złego można napisać o dzisiejszym futbolu, ale przynajmniej w trakcie meczów stara się dbać o pozory i chroni zdrowie zawodników, za pomocą czerwonych kartek nie dopuszczając do nadmiernie ostrej gry – w latach 50. i 60. jednak, kiedy zaczynała się i rozwijała kariera Pelégo, na takich napastników obrońcy urządzali polowania z nagonką.

Jako reprezentant Brazylii uczestniczył w czterech mundialach, z trzech wyjeżdżał jako mistrz świata, ale tylko dwa razy mógł zagrać w finale – po szwedzkim triumfie z 1958 r., w 1962 r. w Chile kontuzji doznał już w drugim spotkaniu i Canarinhos do wygranej poprowadził Garrincha, w 1966 r. w Anglii niemiłosiernie kopany przez Portugalczyków i Bułgarów Pelé nie był w stanie dać drużynie nawet wyjścia z grupy.

IKONA W KOLORZE KANARKOWYM | Tego wszystkiego jednak nie mogliśmy przecież widzieć. Nie tylko dlatego, że większości z nas nie było jeszcze na świecie. W 1970 r., który był rokiem jego ostatniego mundialowego triumfu (miał 29 lat – z dzisiejszej perspektywy powiedzielibyśmy, że zawodnik w podobnym wieku mógłby jeszcze rozegrać jeden, jeśli nie dwa takie turnieje) i który po raz pierwszy w dziejach przyniósł światu możliwość →

*Pelé i Bobby Moore na mistrzostwach świata w Meksyku.
Guadalajara, 7 czerwca 1970 r.*



JOHN VARLEY / EAST NEWS

→ oglądania mistrzostw w kolorowej telewizji, władze PRL nie zdecydowały się na zakup praw do transmisji. Mundial pokazywano wprawdzie w Czechosłowacji – ale oznaczało to, że jedynie szczęśliwcy mieszkający na południu Polski, jak wspomina dzisiejszy naczelny „Tygodnika” Piotr Mucharski, „montowali ze sklejek i drutu potężne anteny, żeby »łapały Ostrawę«”.

Ów medialny przełom jest ważnym kontekstem tej opowieści: to właśnie dzięki upowszechnieniu telewizyjnego przekazu Pelé stał się pierwszą w dziejach piłki globalną ikoną, porównywalną z odnoszącymi w tym samym czasie największe sukcesy Beatlesami. Był pierwszą futbolową „marką”, z zarejestrowanym znakiem towarowym, a także pierwszym futbolowym celebrytą, który po zakończeniu kariery odcinał kupony od własnej legendy, występując w filmach, audycjach radiowych i telewizyjnych, a nawet nagrywając płytę z całkiem przyzwoitymi bossa novami.

NIEZIEMSKIE PRAWO CIĄŻENIA | Niecały rok przed mundialem w Meksyku amerykańscy astronauta po raz pierwszy postawili stopę na Księżycu – co zresztą również pokazywały telewizje całego świata. „Setki milionów ludzi, siedząc w wygodnych fotelach, a przecież z zapartym oddechem, śledziło na ekranach telewizorów kolejne etapy tej zdumiewającej przygody, oglądało – oczom własnym z trudem wierząc – jak po powierzchni globu odległego od Ziemi o 385 tys. km porusza się człowiek, krokiem świadczącym o innych niż ziemskie prawach ciężenia” – pisał w „Tygodniku” ówczesny naczelny, Jerzy Turowicz. Jeśli przywołać w tym miejscu zdanie włoskiego obrońcy Tarcisia Burgnicha, który daremnie usiłował powstrzymać Pelégo przed zdobyciem pierwszego gola w meksykańskim finale – „Wyskoczyliśmy razem, tylko że ja spadłem, a on zawisł w przestworzach” – to zestawienie nie będzie całkiem od rzeczy.

Inna sprawa, że piękniejsze jeszcze od tamtej, zaiste nieziemskiej główki było zagranie Pelégo do obiegającego go Carlosa Alberta przed trafieniem na 4:1. Wpiszcie sobie w wyszukiwarkę frazę „Carlos Alberto Goal 1970 World Cup Final” i podziwianie zarówno potężne uderzenie brazylijskiego kapitana, jak poprzedzającą je długą, płynną akcję, z ostatnim, dziewiątym podaniem, wykonanym niemal od niechcenia, po cudownej chwili zatrzymania. A potem piorun z jasnego nieba. Jeśli pod koniec życia sam zdawał się wierzyć we własną boskość, tamten moment mógłby posłużyć mu za argument: kiedy przekładał piłkę z lewej nogi na prawą, nie patrzył w stronę kolegi, ale miał pełną świadomość jego ruchu. Na boisku faktycznie był wtedy wszechmocny i wszechwiedzący.

PIŁKA JAK SATELITA | O tych kwestiach trzeba pisać równolegle: o czasach, z których pochodzi, i o tęsknotach, jakie żywili wówczas mieszkańcy planety Ziemia. O dokonującym się wtedy cywilizacyjnym i kulturowym przełomie, którego skalę pozwala uświadomić sobie choćby fakt, że nawet piłka, jaką rozgrywano czwarty mundial Pelégo, nazywała się jak satelita telekomunikacyjny. O tym, jakie możliwości otwierała przed wielkimi gwiazdami globalnej wioski (termin, który Marshall McLuhan wprowadził do obiegu w 1962 r., a więc w roku jego drugiego mundialu) ich popularność: Pelé jako pierwszy z piłkarzy stał się milionerem, a w trakcie kariery i po jej zakończeniu reklamował m.in. buty, benzynę, pastę do zębów, rum, napoje gazo-

wane oraz (jakżeby inaczej, skoro z podbojów miłosnych słynął) środki na potencję.

Ale pisać trzeba też o tym, z jakimi dylematami wiązała się taka popularność: rządząca Brazylią junta chciwie wykorzystywała sławę Pelégo, a on bez widocznych oporów pozował do zdjęć z wojskowymi odpowiedzialnymi za prześladowania i tortury.

ŚWIECIE NASZ | To z kolei opowieść o naszych czasach. Kiedy umarł, w światowych mediach mnóstwo było należnych hołdów dla Króla Futbolu. Ale nie brakowało też głosów, w których pobrzmiwała nuta rozczarowania. Dlaczego w zasadzie nie bierał głosu na temat rasizmu i nierówności w swoim kraju? Czy – korzystając z sowitych apanaży – nie stał się maskotką establishmentu, na użytek tłumów ograniczając się do wygłaszania gładkich komunałów o miłości? Ze wszystkich zarzutów, jakie można mu postawić w tym kontekście, fakt, iż zadedykował wydaną w 2010 r. autobiografię symbolizującemu korupcję w światowym futbolu Seppowi Blatterowi, wydaje się i tak stosunkowo najmniej kompromitujący.

Pomijając ahistoryczność części z tych krytyk, powiedzieć można jednak, że sposób, w jaki grał w piłkę, wynosił go ponad polityczne czy biznesowe machlojki. I że sam fakt jego obecności na futbolowych szczytach pomagał zwalczać uprzedzenia. Siła fotografii zrobionej po meczu Brazylija–Anglia polega także na tym. „Najcenniejszą stroną wyprawy człowieka na Księżyc wydają się nam jej skutki moralne” – pisał Jerzy Turowicz o sukcesie misji Apollo 11, odwołując się nie tylko do „emocjonalnego uczucia solidarności, które ogarnęło całą ludzkość w nocy z 20 na 21 lipca”, ale do „pogłębiającej się świadomości, że ludzkość jest jednością”. Wszystko, co ową jedność i solidarność ludzi rozdziera, jest szaleństwem i absurdem; ludzie są siostrami i braćmi, związanymi wspólnym losem – to przesłanie, które biło nie tylko z Księżycza, ale także ze stadionu w Guadalajarze.

CYSORZ TO MA KLAWE ŻYCIE | Tim Vickery, ekspert od futbolu w Ameryce Łacińskiej, usiłował kiedyś uporać się z jego portretem w ten sposób, że przeciwstawiał sobie dwie osobowości: prywatną, o której nic tak naprawdę nie wiedzieliśmy, i publiczną. Ale Tostão, który przez lata występował z nim w reprezentacji kraju, obalił ów koncept. „Istnieje tylko ten publiczny Pelé” – mówił Vickery’emu w rozmowie dla kwartalnika „Blizzard”. „Od kiedy skończył 15 lat, szykował się do bycia osobą publiczną. Sprawia wrażenie, jakby nie wiedział, co to depresja, niepokój czy lęk będący konsekwencją utraty jakiejś części swojej tożsamości. Jest zawsze zadowolony z siebie i świetnie przygotowany. Wiecznie uśmiechnięty i pełen optymizmu. Nigdy nie okazuje złego humoru. On po prostu uwielbia być Pelém”.

Ze wszystkiego, co o nim wiemy, wynika więc, że nie miał najmniejszych problemów z pogodzeniem własnego człowieczeństwa z własnym mitem – inaczej niż Garrincha, z którym zresztą był często zestawiany i z którym rozegrał niejeden mecz w reprezentacji, a żadnego z nich Canarinhos nie przegrał.

Co ciekawe, w książce „Futebol” – historii brazylijskiej piłki pióra Alexa Bellosa – stronie o Pelém znajdują się właśnie w rozdziale o Garrinchu. A rozmówcy autora twierdzą, że to „Anioł o krzywych nogach”, jak nazwał starszego kolegę Pelégo poeta Vinícius de Moraes, był jeśli nie najlepszym, to z pewnością najbardziej kochanym piłkarzem w dziejach kraju. On

nie zrobił na futbolu kariery finansowej – był przez futbol wyzyskiwany tak, jak wyzyskiwana była większość Brazylijczyków. Jeżeli elegancki na boisku i poza nim Pelé był ich królem, to Garrinchę nazywali Radością Ludu. Pelégo czcili, Garrinchę uwielbiali.

PAMIĘTAJCIE O GARRINCHY | „Podczas gdy Garrincha oddawał się wszystkim używkom, do jakich miał dostęp, Pelé zawsze zachowywał się jak modelowy sportowiec – pisze Bellos. – Pelé uczył się od innych i z czasem stawał się coraz lepszy, Garrincha był nieedukowalny. Pelé miał perfekcyjne ciało atlety, Garrincha wyglądał, jakby nie był w stanie prosto chodzić” (przeł. M. Nałęcz). Wyjaśnijmy: jako sześciolatek zachorował na polio, miał krzywy kręgosłup i jedną nogę krótszą – było to tyleż zmorą obrońców, co przyczyną problemów zdrowotnych piłkarza. Grając, zdzierał chroniącą kolana chrzastkę.

Pelé pasował do nowych czasów także dlatego, że widział znaczenie kolektywu. Garrincha z kolei w trakcie przedmeczowych odpraw czytał komiksy o Kaczorze Donaldzie, a później wychodził na boisko i czarował dryblingiem – legendy mówią, że w jednym ze spotkań wyciągnął za sobą obrońcę na bieżnię otaczającą murawę i nawet tam bawił się z nim w kotka i myszkę, a oczarowany sędzia nie przerywał gry.

Mimo iż pokazali się światu razem, podczas mundialu w Szwecji, ich losy nie mogłyby być bardziej odmienne. Pelé zrozumiał, że we współczesnym futbolu na indywidualizm w tak skrajnym wydaniu, jak prezentowany przez Garrinchę, nie ma już miejsca.

RADOŚĆ NAJWYŻSZEJ JAKOŚCI | O biznesowym zmyśle Pelégo (choć przyznajmy: karierę piłkarską przedłużył na skutek tarapatów finansowych, w jakie popadł za sprawą nieuczciwych wspólników) już wspominałem – pozbawiony zabezpieczenia społecznego Garrincha zarobione na grze pieniądze upychał do miski, a potem przepuszczał; umarł w nędzy. „W pewnym sensie Pelé bardziej należy do globalnego dziedzictwa niż do brazylijskiego – czytamy w „Futebol”. – Jest międzynarodowym punktem odniesienia, a do tego niezwykle zrozumiałym: biedny czarny chłopak, który dotarł na sam szczyt dzięki oddaniu i talentowi”.

Ale jest coś jeszcze: Pelé, mimo iż opowiadając o nim zacząłem od akcji niezakończonych golem, jest symbolem zwycięstwa. Garrincha zaś symbolizował radość gry. „Brazylia nie jest krajem zwycięzców – zauważa Bellos. – To kraj ludzi, którzy lubią dobrze się bawić”. Zwłaszcza – dodajmy – że mają świadomość, ile wokół smutku.

Oczywiście Pelé na boisku bawił się równie dobrze jak Garrincha. Jego sylwetka była jednak sylwetką sportowca idealnego. Potrafił przebiec sto metrów w 11 sekund, ale potrafił też raptownie się zatrzymać i zmienić kierunek sprintu, gubiąc rywali. Znakomicie grał obiema nogami, a wybijając się w powietrze przekakiwał wyższych od siebie o głowę obrońców. Jego znakiem firmowym był strzał z woleja po przyjęciu piłki na klatkę piersiową. Była to więc radość grania, ale radość najwyższej jakości. Taka, która wie, jak zadowolić nawet najbardziej wymagającego odbiorcę spośród kilkusetmilionowej widowni. Zgodnie z du-

Cieszył się grą i była to radość
najwyższej jakości. Zgodnie
z duchem czasu, którego
zmianę symbolizował:
**umiał dać satysfakcję
konsumentowi.**

chem czasów, których zmianę symbolizował, można by powiedzieć: umiał dać satysfakcję konsumentowi.

CZY PELÉ MOŻE UMRZEĆ | Wszystko, co napisałem w tyłu akapitach, Eduardo Galeano zawarł w czterech prostych zdaniach: „Urodził się w biednej rodzinie w zapadłej wiosce i doszedł na sam szczyt władzy i sławy. I to tam, gdzie czarni mieli zakaz wstępu. Poza boiskiem nigdy nikomu nie podarował minuty swojego drogocen-

nego czasu, a z kieszeni nigdy nie wypadła mu najdrobniejsza nawet moneta. Ale ci, którzy mieli szczęście go oglądać, dostali wiele podarków rzadkiej urody – chwil godnych uwiecznienia, które pozwalają nam wierzyć w nieśmiertelność” („Blaski i cienie futbolu”, przeł. M. Zglinicki).

„Pelé umarł, jeśli Pelé może umrzeć” – można było przeczytać dzień po jego śmierci na pierwszej stronie dziennika „Estado de São Paulo”, gdzie obok tego tytułu i wielkiej jasnej sylwetki zawodnika napisano białymi literami na czarnym tle, że jak olimpijscy bogowie, Pelé ani się nie zestarzał, ani nie odszedł: „Będzie wiecznie żył w pamięci całego świata, jako Brazylijczyk, który przy użyciu piłki sprawił, że ludzkość mogła marzyć”.

Ale o boskich przymiotach Pelégo świadczą nie tylko głosy zza Atlantyku – przyznam, że najlepszy znany mi podwórkowy apokryf o Królu Futbolu usłyszałem od Piotra Mucharskiego. Głosił on, że Brazylijczyk zawsze grał z czarną opaską na lewej nodze i że starał się tej kończyny nie używać, bo kiedyś strzelając nią karnego trafił w serce stojącego na bramce brata i w ten sposób pozbawił go życia.

OTWARTA KLATKA | Przyszedł na świat w rodzinie, która popadła w nędzę po tym, jak dobrze zapowiadającą się karierę piłkarską ojca przerwała kontuzja kolana. Jako siedmiolatek był pucybutem. Matka robiła wszystko, żeby nie poszedł w ślady męża, ale ten zdołał w jakiś sposób nauczyć chłopaka podstaw, które rozwinął w trakcie niezliczonych *peladas* – meczów na piaszczystych placach czy ulicach, rozgrywanych często na bosaka i przy użyciu piłki, która z prawdziwą nie miała nic wspólnego.

Jego wyjątkowy talent dostrzeżono bardzo szybko: już jako 15-latek trafił do Santosu, a klub nie wypuścił go przez blisko dwie dekady, co ugruntowała podjęta w 1961 r. przez prezydenta Brazylii decyzja o nadaniu mu statusu „niepodlegającego eksportowi skarbu narodowego” (stąd się wzięły liczne zagraniczne *tourneé* zespołu – „skarbu narodowy” stał się, jak to ujął Paweł Wilkiewicz, „kanarkiem w złotej klatce”, obwozonym po świecie ku uciechu tyleż miejscowych tłumów, co brazylijskich księgowych). Gwiazdą mundialu w Szwecji został jako 17-latek, w ostatnich trzech meczach turnieju strzelił sześć goli. Już wtedy obwoływano go królem, już wtedy brazylijski dramaturg Nelson Rodrigues nazwał go geniuszem, który mógłby witać Dantego czy Homera poufałym „Jak się macie, chłopaki”. „Michał Anioł jest Pelém malarstwa i rzeźby, a Pelé jest Michałem Aniołem piłki” – pisał Rodrigues.

Nie wiem, czy diagnoza Tostão jest prawdziwa. Wiem, że Edson Arantes do Nascimento zmarł w wieku 82 lat na raka jelita grubego. A czy Pelé pyta właśnie Michała Anioła o samopoczucie? Wolalbym, żeby zapytał Garrinchę. ©© MICHAŁ OKOŃSKI

STANISŁAW

Mancewicz:

Bigos hultajski



KTOŚ DZIŚ ZAPYTA, PO „SYLWESTRZE MARZEŃ”, co oto jest ciekawe, czy w ogóle jest cokolwiek interesującego tu i teraz, w kraju, z którego Jacek Kurski wyjechał bądź zaraz to zrobi? Oto najciekawsza tu jest prawica. Prawicowość jest tematem

szokująco interesującym, choć wymaga może doszczegółowienia – chodzi nam mianowicie raczej o ludzi prawicy, a nie o mgławicową, bo już nie do zdefiniowania, ideologię. W odróżnieniu od akademików, którzy z mozołem starają się prawicowość ubrać w nowe, bardziej przystające do dzisiejszych realiów formułki, my, jak tu ponuro siedzimy, musimy postarać się o krzesanie obrazu świata nieco mniej schematycznego.

Chciałoby się rzec, może pochopnie, że nigdy w naszej historii nie było formacji umysłowej tak jednolitej pod każdym – popatrzymy – względem, tak zbiorowo widzącej to samo i tak samo widzącej wciąż te same kształty i w tych samych kolorach. Nigdy nie mieliśmy w kraju tak wielu ludzi, tak zgodnie i bez wątpliwości, identycznie smakujących życie, a jest to – zważmy nie bez zawiści – smakowanie dające wielkie szczęście. Ktoś teraz powie, że pochopnie zbliżamy się do granicy oceny schematycznej. Że brniemy w uproszczenia, które zawsze są krzywdzące. Owszem, ale nikt nie jest – jak powiadają Anglicy – doskonały. Choć nasze – każdy to przyzna – epokowe odkrycie, że w Polsce każde danie dąży do smaku bigosu, jest oceną może schematyczną, ale właśnie doskonałą.

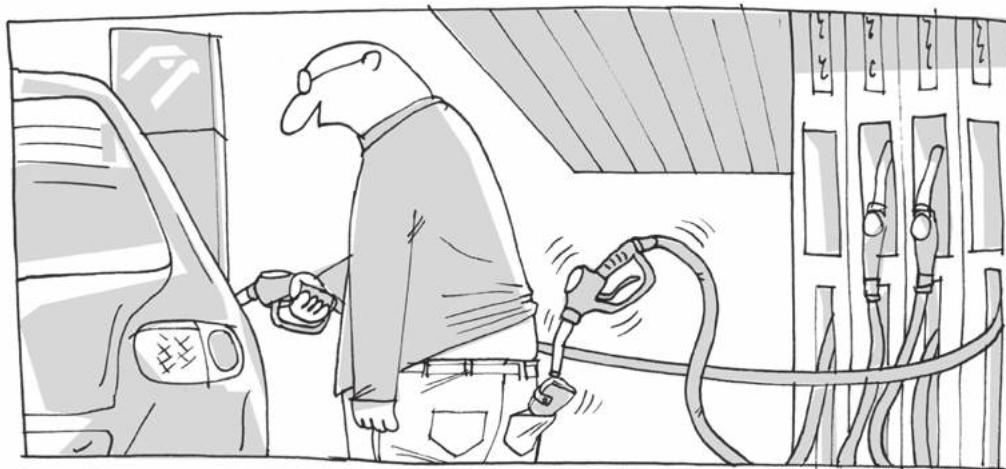
Tu musimy zatrzymać się na sekundę, bowiem zewsząd słyszymy głosy, byśmy choćby pokrótce objaśnili polskie dążenie wszystkiego do bigosu. No więc, by zrozumieć, o co idzie, trzeba zjeść po kolei każde danie, w każdej w Polsce re-

stauracji: chińskiej, wietnamskiej, koreańskiej, japońskiej, włoskiej, francuskiej, amerykańskiej, południowoamerykańskiej, każdej afrykańskiej, słowem dowolnej niemającej w swej ofercie dań kuchni polskiej. Otóż wszystkie te dania bez wyjątku są na etapie specyficznego rozwoju czy może raczej przemiany. Owidiusz ongiś zsumował i omówił – wydaje się – wiele mitycznych metamorfoz, że oto człowiek – czytamy u niego – może zmienić się w drzewo bądź w rzekę, bądź, jak kto woli, w chmurę czy w kamień. Podobnie jak Owidiusz zauważamy, choć chyba jednak idziemy ku celowi odważniej i bardziej twórczo, że wszystko zmienia się w bigos. Wszystko ku bigosowi dąży, ku niemu mknie, bądź pełźnie, *Eppur si muove!* Ku bigosowi! – jak by rzekł Galileusz. Smak ten jest już wszędzie obecny choćby śladowo, bądź nieunikniony, jest przeznaczeniem i zapewne końcem ewolucji smaków. Tak uważamy, marząc o tym i owym po ostatnim „Sylwestrze Marzeń”, tak mniemamy patrząc na Jacka Kurskiego, który albo już to zrobił, albo za moment stanie na lotnisku Okęcie, by tamże wsiąść – a jakże – do dreamlinera.

Wracając do odnotowanej tu identyczności w postrzeganiu świata, a zwłaszcza w jego smakowaniu, wypadałoby teraz podać jakiś przykład. Najlepiej nienachalny i nieskrajny, ale jednak reprezentatywny. Niewątpliwie obecna europosłanka Beata Kempa z PiS-u spełnia te warunki, nadto jej reprezentatywność i reprezentacyjność jest idealna, jeśli chodzi o prawidłową prawicowość widzianą najwłaściwiej. Jest to prawicowość zbalansowana, wolna od na jej temat złudzeń bądź mitów. Jest ona, europosłanka Kempa, w stu procentach zawsze zwyczajna, przewidywalna, zrozumiała i, jako się rzekło, szczęśliwie smakująca właśnie. Jej ocena jedzenia podawanego na stacjach benzynowych firmy Orlen niech nam będzie skromnym przykładem, zacytujmy: „Tanie paliwo, świetna kawa i obłędne polskie jedzenie! Niech inne kraje się uczą!”. Popatrzymy do jadłospisu punktów żywieniowych Orlen: panini neapolitańska i konkret burger, karkówka sous-vide. To rzecz jasna nie wszystko, bo są i pierogi, i schabowy, ale wszystko to razem pokazuje, że przemiana każdego materii w bigos jest u nas możliwa, ona się dzieje. Niech inne kraje się uczą.

©

BARTOSZ MINKIEWICZ



Data Center dla Twojego biznesu w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy **S-NET Data Center**

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.



Gwarancja SLA



Transmisja danych
do krajowych operatorów



Redundantne połączenie
z siecią Internet



Obiekt klasy Tier 3



Samodzielny dostęp
do szaf w trybie 24/7



Monitoring 24/7
oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.



Systemy
przeciwpożarowe



Systemy
chłodzenia



Niezależne
zasilanie



s-net.pl/data-center



Skontaktuj się z nami

+48 12 395 71 00

Wielka spuścizna papieża. Dlaczego warto czytać Benedykta XVI

Benedykt XVI pozostawił po sobie liczne pisma: poruszające homilie, medytacje i katechezy. Mimo że uważany za radykała, a niekiedy nazywany „pancernym”, zmarły papież wiarę rozumiał nowocześnie i pisał o niej z żywą i gorącą miłością.

W serii papieskich wykładów, które ukazały się w Polsce dzięki wydawnictwu WAM, Benedykt XVI mądrze i głęboko rozważa tajemnice chrześcijaństwa, ale nie zamyka się na człowieka.

W „Modlitwie Jezusa” zbliża się do Boga dzięki doświadczeniu ufnej i gorliwej modlitwy,

w „Przyszłości wiary” pyta zaś o rolę i obowiązki Kościoła we współczesnym świecie.

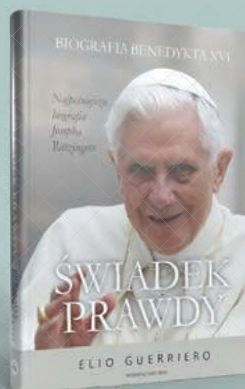
Nawet wśród ludzi wierzących szerzy się poczucie, które mają zapewne pasażerowie tonącego statku: wierzący pytają siebie, czy wiara chrześcijańska ma jeszcze przyszłość i czy w wyniku duchowego rozwoju nie stała się już przestarzała – ostrzega Benedykt XVI.

Zrozumieć papieża-intelektualistę

Twórczości Benedykta XVI nie sposób w pełni zrozumieć bez wniknięcia w jego bogate życie.

To, jak dotąd, opisał najpełniej włoski teolog i historyk Elio Guerriero. W książce „Świadek prawdy”, wydanej w Polsce przez wydawnictwo WAM, śledzi on karierę Josepha Ratzingera od seminarium duchownego aż po salony Watykanu – a w efekcie tworzy nie tylko pasjonującą biografię, lecz także wyczerpujący przewodnik po myśli i duchowości Benedykta XVI.

W sytuacji kryzysowej najlepszą postawą jest staniecie przed Bogiem z pragnieniem odzyskania wiary, aby móc iść dalej w pielgrzymce życia – wyznaje papież w rozmowie z Guerrierem.

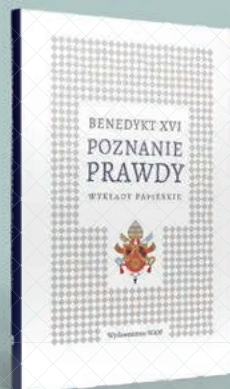


-25%

Świadek prawdy. Biografia Benedykta XVI Elio Guerriero

Ta książka to nie tylko pasjonująca biografia. To także wyczerpujący przewodnik po myśli i duchowości Josepha Ratzingera. Odstania źródła jego często niezrozumianych decyzji – najpierw tych, które podejmował jako prefekt Kongregacji Nauki Wiary, kontynuującej tradycję Świętej Inkwizycji, i w końcu jako papież.

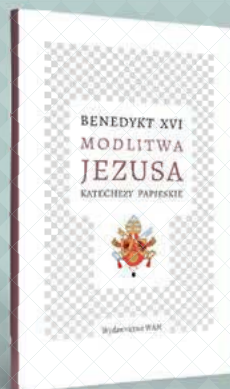
-59,90 zł
44,93 zł



29,90 zł

Poznanie prawdy. Wykłady papieskie Benedykt XVI

Benedykt XVI podejmuje kluczowe pytania, z którymi zmagą się nasza cywilizacja: Jaka jest rola rozumu w życiu wiary? Na czym polega misja Kościoła w dzisiejszym świecie? Ponadczasowe wykłady jednego z największych myślicieli naszych czasów.



Modlitwa Jezusa. Katechezy papieskie Benedykt XVI

Sposób, w jaki Benedykt XVI pisze o Jezusie, promieniuje gorącą miłością i żywą wiarą. Katechezy są zapisem pragnienia modlitwy.

36,90 zł



339,90 zł

Benedykt XVI komplet 12 książek

Poruszające rozważania Benedykta XVI. W tym unikalnym zbiorze papież odpowiada na pytania nurtujące każdego wierzącego i dotyka tematów fundamentalnych. Seria książek Benedykta XVI przybliży nas do zrozumienia tajemnic wiary i kondycji współczesnego świata.

WSZYSTKIE TYTUŁY DOSTĘPNE TAKŻE JAKO EBOOK

ZAMÓWIENIA
KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA



zamowienia@wydawnictwowam.pl
tel. 12 62 93 260

Przy zamówieniu prosimy podać kod **TP23S**
Przy zakupie od **99 zł** wysyłka w Polsce **GRATIS**